



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

### **Usage guidelines**

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

### **About Google Book Search**

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>

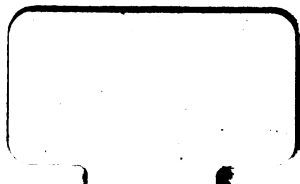


5/a v 7/15.6.32

HARVARD COLLEGE  
LIBRARY



BOUGHT FROM THE  
AMEY RICHMOND SHELDON  
FUND











*Wm*





**GAWĘDY  
O LITERATURZE I SZTUCE.**





KRASZEWSKI

# GAWĘDY

## O LITERATURZE I SZTUCE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

*Dicendi periculum non recusa.*

Cicero.

Ciąg I.

WE LWOWIE,

NAKŁADEM KAROLA WILDA.

1857.

Slav 7115.6.32

✓



---

W DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH.

I.

**O POWOŁANIU LITERACKIEM.**



**W** jednej z tych chwil znużenia i wątpliwości, które przychodzą nie wiedzieć z kąd i dla czego, i wszelką siłę odbierają człowiekowi, bo mu wszelką odejmują wiarę, siedziałem u wygasłego komina w jakimś zdrtwieniu moralnem, rzuciwszy czytana książkę, i myślą biegnąc w przeszłość.

Wróciłem pamięcią do lat moich młodych, zazdroszcząc sobie tej chęci gorącej, tego zapału niezmożonego, z jakim u zarania żywota rzuciłem całą przyszłość w zapasy umysłowe, w niewdzięczną pracę głowy i pióra. Z dzisiejszego stanowiska ta odwaga wydała mi się niemal niepojętą śmiesznością; nie umiałem sobie wytłumaczyć, jak się to stało. Wszystkie wpływy jakim uległem, dziecinne wrażenia, kierunek późniejszy, nie mogły mi dostatecznie rozwiązać zagadki — niepojętej. A jednak życie to papierowe, suche, ciężkie, przeplatane rzadkimi chwilami pociechy, a często żółcią pojone, było isto-



tnie ofiarą wówczas, gdy obok niego inne, spokojne, ciche, ustronne, postawić zależało od woli. Cóż parło i zmuszało, żeby się rzucić tą drogą, od której odstręczali wszyscy?...

Nie próżność pewno i chęć stania się głośnym, bo ilaż upokorzeniami okupić było potrzeba jedno ciekawie niezyczliwe wejrzenie, jedną szydersko-laskawą wzmiankę? A co kłopotów na tej drodze, a ile na niej postrachu i boleści.

Wy, coście jak ja tego chleba pracy szkosztowali w pocie czoła i w pocie serca, powiedźcie mi i wytłumaczcie, co was do obrania niewdzięcznego zawodu skłoniło, co wam szeptało w kolebce o koniecznem męczeństwie i koniecznem przeznaczeniu, co pchnęło w drogę boju i poświęcenia?

Może mi lepiej mnie samego wytłumaczycie, możecie podsłuchali wyraźniej do was od kolebki mówiący głos tajemniczy: tą a nie inną pójdziecie drogą!...

Dumą jest, powiecie mi, wierzyć w posłannictwo swoje. O nie! pokorą panowie! Jakkolwiek ma-luczkie ono, zatarte, drobne, pozbawia przecie woli i samoistności, jak skoro jest posłannictwem nieodwołanem; myśmy z niem wyrobnicy na niwie wielkiego pana, zmuszeni pańszczyznę odrobić!...

Dopieka nam skwar południa, potem oblewa się czoło, mdleją ręce, myśl zamiera znużona, zataczają się nogi, ale dnia dopracować potrzeba na pańskim zagonie, choć jutro nikt nie powie nawet, którą kopę, jaką bruzdę polałeś łzą i potem swoim. Nieznani pracownicy, przyniósłszy siłę naszą w ofierze, pójdziemy spocząć, nie wiedząc sami, cośmy zrobili...

My jedni tutaj zostaniem bezpłatni...

Z równym jenjuszem, z talentami równemi, losy nasze nie jednakowe. Ten odśpiewał pieśń swoją wśród ciszy, i przesłuchały jej tłumy, ów wyjęczał duszę wśród gwaru, i niczyjego ucha nie doszły słowa jego; tamtemu sąsiad podchwycił tajemnicę i rzucił ją za swoją, poparłszy głosem donośnym, innego zduśli sąsiedzi... Na stu robotników w tej winnicy, jeden może pogrobowe weźmie wieńce, a dziewięćdziesiąt dziewięciu zamrą odepchnięci lub wysmiani...

Cóż więc nas pędzi tą drogą i pełnym pyłu a błota gościńcem? Czemu nie zwabi nas cicha chata, stojąca na ustroniu, szumiący las, domowa strzecha i byt inny? Czemu oplwani i wyszydzeni ciśniemy się mimo wszystko, mimo wszystkich, do nie dosyć widnego celu? Nie jestli to zagadką?...

Dla czego ledwieśmy się z tego snu rozbudzili po za którym ciemności i nieznane światy, już czujemy co nas czeka? W dzieciństwie bawim się już krzyżem przyszłości i uśmiechamy do cierniów, co skroń oplotą...

Pamiętam, było nas wielu... rówieśników, równie młodych i równie na jedno wystawionych wpływy, jednego słuchających głosu. Czemu on nie przemówił do piersi tamtych, a uwiązał w naszej tylko? Dla czego budził w nas jakby wspomnienie jakiegoś nakazu, jakby gdzieś już usłyszane wprzód myśli? Czemu na widok zbutwiałej książki drgało w nas serce dziecięce, jak na widok motyla i kwiatu, a biała karta jątrzyła chętką rzucenia niedojrzałej myśli, i świat widomy o jakimś nieznanym mówił świecie?

Nie wierzę w przeznaczenie, a jednak... rozumiem posłannictwa... i patrzę i pojmuję jak nas kilku z liczby większej, co się zrazu rzuciła drogą otwartą, wytrwaliśmy sami do ostatka. Trzymało nas coś innego niż próżność, niż upór lub nałóg, bo byśmy dawno upadli...

Teraz spojrzawszy za siebie, obliczywszy straty, pojąwszy ofiary i chwyciwszy za serce, musimy podać się myśli, że coś nas do pracy zwołało i pań-

szczyzną tę odbyć zmusiło. Cóżemy wyrobili sobie w końcu. Ciekawości trochę, nieprzyjaźni wiele, sąd błahy i niesprawiedliwy najczęściej, imię wątpliwe, zapomnienie niezawodne. A za to chwila dawnego życia, jak nam gorzko spłynęła, to Bóg chyba jeden policzy...

Tyle ofiar, a skutek niewidoczny... Kazano nam skopać grzędę, obleliśmy ją znużeniem naszym, a co na niej przyszłość zasieje, i kto z niej plon zbierze.. nie wiemy.

I stęknąć nam utrapionym nie wolno, bo śmiać się będą wypaśli brzuchacze z boleści naszej i powiedzą nam: macie sławę wy pięcio-milową, wy drudzy pietnasto- wy inni trzydziesto. Na ulicy pokazują was palcami, litografują wasze fizyognomje, czegoż możecie więcej pożądać? A że was szarpia po książkach, i depczą was nadchodzący po piętach, to słuszna, boście i wy dla poprzedników nie byli lepsi, a nie jednego ukąsili...

Dzieje się tedy tak, że dawszy nam trzy grosze owe, wypychają już nas za drzwi, jako dostatecznie i nad zasługi opłaconych, zapomniawszy, że my im daliśmy życie...

Zresztą, czegoż to wymagać więcej możemy, i co nam świat dać może. Nie jemu to praca nasza,

ale posłannictwu większemu odpowiedziała. Ktoś inny nam kazał, pchnął i żywot nasz wyznaczył na tej ścieżce.

Tak jest. A jednak przyszło zwątpienie i usiadło u wygasłego komina, i patrzy na mnie oczyma zbladłemi, i grozi mi ręką drżącą, i poziewa, i trzęsie się od chłodu, i trupią swą twarzą mi urąga, i pyta mnie com zrobił, i depcze kartki podarte kościstemi nogami, których pożyczło od śmierci?

— Coś zrobił? powiada... nic! nic! nic! a życie zmarniało, a struleś je sobie, a grzechy twoje zaszczepliłeś drugim, a słowo złe jadem poszło i trucizną, choć dobre wiatry rozwiały? Połowa tych kartek, nad którymi bezsenne trawiłeś nocy, już pochwycone burzą, zginęły w otchłani, drugą połowę wiatr po gościńcach miota, reszta pójdzie za niemi.

I słowo twoje nie było twojem słowem, nie. Mówiłeś jak dziecię za panią matką pacierz, co ci szeptał duch wieku, co cię okrażało i latało w powietrzu, nie wynalazłeś nic, nie stworzyłeś nic, nie zbudowałeś nic, ani przyłożyłeś się do niczego, nie masz zasługi żadnej...

A życie stracone, a począć go drugi raz nie można. Tak, życie stracone.. przegrana stawka... to pewna... szczęśliwsi gracze pochwycili ją między sie-

bie; a jednak gdyby drugi raz życie rozpoczynać przyszło, może bym powtórnie ten sam błąd popełnił...

Niepojęta! niepojęta czy słabość ludzka, czy wola boża!

Któż wie zresztą czyśmy byli powołani, czy głos z góry był echem odbitem, i przysłyszał się słabemu uchu i dziecinnemu sercu. Widzimy obok siebie tych, co idą dźwigając ciężary dobrowolne, nie rozumiejąc dokąd ich pędzi pielgrzymka... padających wśród drogi, bezsilnych, powracających, milczących, zrażonych, którzy pół życia tylko przynieśli w bezużytecznej ofierze... i o sobie wątpiemy...

Jedni powychodzili upojeni natchnieniem, a powracają złamani wątpliwością, inni od pierwszego ciosu cofnęli się z przekleństwem nazad, ci przez dumę zamilkli, bo królować chcieli, tamci popychają eudzą taczkę bo się na swoją nie zebrali. Jakże nie zwątpić? jakże nie powiedzieć tym, co zrana wstając, wesoło garną się do roboty: czekajcie słońca i wyglądajcie głosu.

Boć nie każdemu przeznaczono iść tą drogą i tak boleć i tak zginąć. Nie my większą mamy zasługę, ale ci co spełnili pokornie posłannictwo swo-

je, czy ono zależało na tarzaniu się w złocie, czy na dźwignieniu pokruszonej bryły kamienia.

Słuchajcie więc głosu wewnętrznego, nie głosu próżności, i nie sądzcie, żeby pióro, umaczone w atramencie kreślące próżne słowa, uczyniło was wielkimi, lub od prostego wyrobnika lepszymi...

Jeśli na dnie serca nie ma u was prawdy, którą potrzebujecie wyrzec i dla której byście umrzeć gotowi, otwarte wam drogi czynu, bogatsze od drogi myśli, łatwiejsze od nich, a do jednego wiodące celu.

W maluczkiej chatce pokorna niewiasta wychowująca dzieci w bojaźni bożej, w cnocie i poczciwości, ażali nie więcej warta od nadętego pisarza, który cudze głupstwa swojemi słowy powtórzył? A ten wieśniak, co wam daje chleb powszedni, sam go prawie nie mając, ażali nie wyprzedzi owego mecenasa, który okruszyny swojego stołu daje pochlebcom literatom, za to że go jaśniewielmożnym bratem swoim nazywają?..

Czyn, nie słowo, stanowi wartość człowieka, lecz bywa słowo czynem i bywa czczem słowem, a ci co pięknemi słowy całe życie się zabawiają, są jak dzieci, których do pracy napędzić nie można.

Wiek nasz cały przeszedł w słowa, i przesadzono ich wartość. Zasypani jesteśmy papierem i próżnemi wyrazami, a zapomnieliśmy że w innem życiu, przy ogólnym obrachunku z dnia roboty, nie spytają nas, jak to ktoś dobrze powiedział, cośmy umieli, ale cośmy uczynili.

Wiek nasz z tego względu jest na drodze fałszu. Wszystko co prowadzi do dobrego, dobrem jest, i słowo także; ale słodkie słowo, do niczego nie wiodące, na cóż się przydało?

W młodem sercu i głowie pełno uczuć i myśli, zarodków idei i uczynków. Bóg tam je włożył nie na to, żebyśmy grzechocząc niemi, bawili się jak dzieci dźwiękiem który wydają, ale żebyśmy z nich wysnuli życie nasze przyszłe. Tymczasem przeciwnie się dzieje. Powołani i nie powołani z zabawki czynią sobie życie, i śpiewają za chleb powszedni pieśni karczemne dla ubawienia tłumu.

O wielkiem powołaniu i kapłaństwie pisarzy, któż dziś nie wie? Myśl ta znalazła się w ustach wszystkich właśnie w chwili, gdy jest najmniej kapłanów i powołanych, gdy wszyscy sądzą się być namaszczeni do nauczania, lub szczerzej mówiąc, do zabawiania.

Z tą już dziś Niemcy przemieniły się w stos papieru i bibuły, i codziennie wzrastająca liczba książek



zaleje literaturę, doprowadzeniem jej do ostateczności i przerostu chorobliwego.

Całe życie poświęciwszy temu powołaniu, dziwno zapewne, że widzę w niem niebezpieczeństwo, i grzechów mając wyżej głowy, na oczy je drugim wymiatam. Ale prawda przedewszystkiem, a chodzi mi głównie nie o powstrzymanie od pisania, bo w literaturze dziś i języku cały możliwy żywot nasz; ale o wprowadzenie myśli zbawiennej, że słowo niczem jest, jeśli nie jest czynem, i jeśli mu czyn nie towarzyszy, niczem jeśli się nie zgadza z życiem, niczem jeśli oderwane od niego i nie mające z niem związku. Jeżeli nauczyciel kraju i narodu nie wyświęci się wprzód ukształceniem własnem i czynem do powołania swego, na cóż się zda to słowo, któremu żywot jego poświadczać nie będzie?

Zkąd w człowieku popłynie słowo piękna i dobrego pełne, słowo prawdy i miłości, jeśli źródła ich nie utworzy w sobie, jeśli jak to zwierzątko co perły wydaje, śpiewać będzie perlami, a żyć śliskiem cielskiem ślimaka?... Mogaż ludzie uwierzyć temu, który każe a nie pracuje, zachwala im pokarmy a sam ich nie tyka, wysmiewa a grzeszy godnym śmiechu sposobem, kształcić chce drugich a sam gmuśnie leży w barłogu?..

Oto pisarz maluje nam obrazy ułomności wieku naszego, ogniście chłosta, oburza się, wysmiewa, szydzi, unosi, strofuje i moralizuje; trafność jego sądów, talent od Boga mu dany, słowo żywe, plastyczność wizerunków, żywe odwzorowanie charakterów, porywa, pociąga, budzi chęć zbliżenia się do tego człowieka, który tak dalece stał się wyższym nad wiek swój i otaczającą społeczność. Szukamy go, gorąco ściskamy dłoń jego, nachylamy czoło, zbliżamy się by go poznać w prywatnem życiu, rozpatrujemy w niem, i ze zdumieniem znajdujemy kupkę przepalonych popiołów, w których zablakana, niedogasała, świeci iskierka. Naówczas za igraszkę poczytujemy słowo, czyn je zmazuje. I poczynamy wątpić nawet o świętej prawdzie, która przed chwilą odziana szatą tak wymowną, zdała się nam tak przekonywającą.

Nikt nie myśli o tem, że ze zdrowego tylko źródła napój czysty popłynąć może, że potrzeba studnię kopać, aby się z niej napić, a z kałuży nie się nie wyczerpnie prócz błota. Każdy, niżeli siebie uczyni dobrym, stara się poprawić drugich.

Ta troskliwość o losy współbliźnich najpocieszniej wydała się nam w chwili szału reform, którym jeszcze przed niewielą laty rozgorzała była Francja. Z głębi szynków i lupanarów, ochryple głosy odzy-

wały się o odbudowaniu świata, z ust, których ogień żaden nie oczyścił. Zajrzawszy w życie tych panów, nie wiedzieć co było podziwiać więcej, czy niepraktyczność ich myśli, czy nielogiczność ich własnego żywota, zbudowanego wcale na innych zasadach. Zdaje mi się, że to co się za najwyższe dobro wskazuje drugim, najpierwej by do siebie zastosować potrzeba. Tym czasem wcale tak nie jest.

Byli u nas tacy, co bardzo głośno i pięknie mówili za skasowaniem szynków demoralizujących i rozpajających lud wiejski. Pytano ich nieraz czemu pierwsi nie dadzą przykładu z siebie?.. Odpowiadali zawsze że gotowi to uczynić, gdy wszyscy zgodzą się na dopełnienie reformy. Chcieli być pierwszymi myślą, a ostatnimi uczynkiem. Tak samo właśnie działo się i z innymi reformatorami, tak dzieje się z pisarzami prawie powszechnie. Czekają oni z poprawieniem siebie, aż się świat cały poprawi.

Tym czasem w świecie słowo bez czynu jest niczem, a najsilniejszą dźwignią wszelkiej reformy tylko przykład i uczynek. Żaden wielki prawodawca i reformator nie szedł ze słowem w ustach, ale z żywym czynem, porywającym, dźwigającym, unoszącym ludzi za sobą.

Lepiej jest zapewne mówić dobrze, a źle czytać, niżeli i źle robić i źle propagować, ale słowo gołe nic nie znaczy.

Literatura im bardziej staje się wyrazem konwencjonalnym przyjętych jakichś pewników, wiecznie w sferach idei zamieszkujących, bawidełkiem i mrzonką, piosnką ładnie ubarwioną, wyuczonym szczebiotaniem, tem mniej skutkuje i działa na ogół.

Płynąć ona powinna z życia i być jego wyrazem, ostateczną treścią, essencją. W ten sposób, jak dziś wyrasta tylko grzybem na ciele społecznym, i choć coś z soków jego przejmuje, nie wyraża zdrowych jego zasad, staje się pasorzytem nie potrzebnym.

W czasach pierwotnych żadne słowo nie było próżnem. Myśli i uczucie zbierały się na urodzenie go w ciszy uroczystej i natchnieniu. Śpiew Homera, księgi Mojżeszowe, wyrosły wprost z życia i czynu, a nie obok niego i bez niego. Dla tego one są wielkie i znaczące dziś jeszcze, a przy prostocie swej zachwycają nas głębokością. Dla tego tam kilka ryśów, na pozór nie znaczących i nie obmyślanych sztucznie, potężnie malują i mówią.

Nie dawno jeszcze widzieliśmy w XVIII. wieku literaturę, wyrastającą z jakiegoś pognoju, i to co ją

tworzyło, mając sobie niemal za obowiązek, za cechę powołania, rozpasanie życia, wyuzdanie namiętności zupełne. Na jednego J. J. Rousseau, którego jednak życie wcale nie jest zgodne z pismami, bo mu tyle słabości wyrzucić można, ile wielkich prawd wymownie ogłosił, iluż stokroć jeszcze niżej nadeń stojących labusiów, dworaków, opojów i podpieraczów szynkowych, szukających natchnienia w butelce i poezji u kolan bogiń teatralnych! Ale tamta literatura nie czyniła sobie przynajmniej zadaniem poprawy społecznej, ani się kryła z tem, co przez nią tchnęło. Dziś uczyniony krok ogromny, uznano godność słowa, kapłaństwo pisarza, podniesiono go, emancypowano, ukoronowano. On sam wziął berło sobie należne, ale nie wszyscyśmy namaszczenia godni.

Więc pierwszą myślą powołanego być powinno, nie to co stworzy, ale to czem siebie ma uczynić, pierwszym obowiązkiem i zadaniem jego, siebie poprawić i uzaćnić. Nieczyste ręce mogli dotknąć świętego przybytku?... oczy zamglone dojrzeć blasku piękności, usta skalane wygłaszać prawdę, której fałsz zadały gorączką co je spaliła?

Jakąkolwiek pisarz obierze sobie formę, cokolwiek przedsięwzię, choćby najohojętniejsze i najlichsze na pozór, musi weń wlać część ducha swojego,

a duch nieczysty wszędzie się przebiję i wypłynie na wierzch, u jednych ułomnością formy, u drugich opuszczeniem rysów, u innych pobłażaniem własnej słabości, okrywaniem jej i t. p. Człowiek, choćby jak kłamać chciał i usiłował, nie potrafi tego uczynić tak, aby śladu fałszu nie zostało. Zawsze w samej usilnej negacji prawdy, uwybitni się na co choruje i co go niepokoi. Instynkt i potrzeba dzielenia się z ludźmi słowem, którego dusza jest pełna, najżywiej pospolicie odzywa się w młodości. Człowiek za mało zna świata, by mógł przeczuć, jak już wiele wypowiedzianem zostało. Napastuje go coraz dłań nowe, i wydaje mu się nowem dla wszystkich. Rodzi się w nim chętką wypowiedzenia tego, co mu dokucza, wylania zbytku swej duszy, i bierze to za iskrę powołania, choć to bywa tylko zbytkiem sił młodych, nie zużytych. Tak często młodzieniec kocha się w osiemnastu latach w pierwszej ujrzałej kobiecie, nie żeby dłań w istocie przeznaczoną była zgodnością harmonijną organizacji swej, ale że sił miłości nie zużył jeszcze, i sercem podzielić się musi.

Wieluż to ludzi uwiodły takie popędy młodzieńcze w miłości i literaturze; nie rozmierzywszy sił swych, rzucili się i padli. Dotąd bowiem objawy życia duchowego tak były światu pożądane, a tak

rzadkie stosunkowo, że wszelki owoc przyjmowano, byle się zjawił. Ale tak dłużej być nie może, i ludzkość wydając ich codzien więcej, musi się stać wybredniejszą. To co przed kilkuset laty zasługiwało na uwagę i wdzięczność, dziś przy podniesieniu stopnia kształcenia ogólnego, stanie się powtórzeniem oklepanką; trudniej jest wyrzec słowo i zdobyć wyższość nad ogółem. Najlepszym to jest podobno dowodem postępu ludzkości i jej rozwinięcia. Wprawdzie postęp widoczny, choć nie tchnął jeszcze nie żywniejszego, nie odrodził człowieczeństwa, ale go ku temu przygotował. Od punktu wyjścia, do tego co osiągniono, droga przebieżona dziwną przedstawuje scenę zabiegów, obłądów, poszukiwań, rzuceń; ryli się jedni w głąb, drudzy podlatywali do góry, inni uciekali w bok, mało kto garsć pielgrzymów powiódł za sobą krokiem dalej ku ziemi obiecanej.

Mówiąc ogólnie o piśmiennictwie i pisarzach, nie wyłączamy tu żadnego rodzaju, żadnej ze sfer, w których się literatura obraca. Wszystkie one są częścią wielkiej całości, solidarną formując jedność. Najmniej ważny objaw życia, najpłochszy utwór, mimowolnie przetwarza sobą jakiś symptom stanu społecznego i usposobień indywidualnych. Tylko umysły płytkie w świecie stworzonym i w światku ludzkiego

utworu, dzielą na ważne i nie ważne kreacje Boga i człowieka. Wszystko to trzyma się, wiąże i ma pewne znaczenie, myśl swoją, miejsce, potrzebę...

Spiewka pastusza i pieśń bojowa, tragedia i skazka, epos i powieść, krytyka i poemat, dziennik i dzieło erudycji zajmują place swoje, i bez ducha wewnętrznego i znaczenia jakiegoś być nie mogą. Dla tego człowiek, istotnie głębiej pojmujący rzeczy, żadnego utworu nie waży lekce i nie odpycha pod pozorem formy lub błahości, z każdego dobada się jakiegoś symptomu życia. Ale wiele z nich są próżniami i czczem powtórzeniem tylko dzisiaj, i to poniekąd poniża literaturę i zraża od niej. Jeden mistrz i forma tworzą bezmyślnych naśladowców bez końca, dopóki wyczerpana idea i kształt nie staną się lupiną suchą i nie zużyją do ostatka.

Każdemu zdaje się że pisać może, kto tylko czytać potrafił, gdy zadaniem piszącego być by powinno mówić tylko, gdy czuje że ma co powiedzieć ludziom. Wprawdzie i powtarzania i kopje są jak ryciny i litografie, które myśl artysty roznoszą i rozpowszechniają, sięgając czasem dalej, niż same oryginały, ale w końcu traci na tem powaga słowa i ono się staje szelestem próżnym, bawiącym ucho tylko.



Dla tego pragnęlibyśmy aby każdy zamierzający ująć brzemie, rozrachował się dobrze z siłami *quid valeant humeri, quid ferre recusent*, sumiennie przygotował do pracy, jasno rozpatrzył w celu, i z chętnem na męczeństwo sercem spełnił kapłaństwo i posłannictwo swoje.

Tymczasem cóż widzimy w około siebie? Oto trzpiotowatych roztrzepańców, którzy dla popisu, dla próżności bez namaszczenia, z jakiejś świerzbiączki, z nagabania fałszywego, nominują się sami posłanikami, i popróbowawszy zawodu, rzucają go nic w nim nie dokazawszy. Pierwszemu zdało się, że będzie pisać historją, drugiemu że jest poetą, trzeciemu że urodził się na krytyka, wyrywa się z zagrody w której mu wróble chwałę jego śpiewały, wychodzi na widownię, i nie otrzymawszy oklasków i wieńców, jakich sądził że się ma prawo spodziewać, łamie pióro z pogardą i przekleństwem. Dla tego widzimy codzień tylu ludzi, coby w innej sferze lepiej sił swoich użyć mogli, rzucających się do cyrku, i padających pod konie, a potem na resztę życia, do niczego prócz szyderstwa nie zdatnych. Nic bowiem tak nie wypełnia goryczą i kwasem piersi, jak zawód miłości własnej, jak przekonanie nieudolności.

pokryte płaszczem nieuznania, nad wyśmiane porwanie się napróżno.

Pełno jest w literaturze naszej tych ludzi z zachceniami, z pożądlivostkami, a bezsilnych właśnie dla tego, że jakim to kilkakrotnie powtórzył, nie zbadali się wprzódy, nie chcieli pracować nad sobą, nie dojrzeli, gdy już owocami karmić świat zapragnęli.

O! jak usilnie kształcić się powinien człowiek, który choćby dwa słowa ma powiedzieć braci swej, i wyrwać się do przewodniczenia. Władza ta jaką daje ducha siła i potęga słowa, wielką jest i chlubną, ale nie bezpłatną. Wszystko się okupuje ofiarami, i kapłaństwo także. Bez ofiary nie ma siły.

Ten kto sądzi że jemu tylko ofiary i kadzidła palić powinni, a sam je przyjmować ma i niemi się upajać, myli się zupełnie, bo to nie odbierać, ale dawać obowiązkiem, nie poić się, ale upajać, nie przyjmować dań, ale ją z ostatka krwi swej złożyć potrzeba.

Całego życia się zaprzecć, ludzi wyrzec, zaprzecć przyjaźni i związków rodzinnych, czas swój oddać, spokój sprzedać, uczynić sługą myśli i naczyniem posłusznem natchnienia, a żywić w sobie ogień który je daje.

Tym ogniem są wielkie trzy cnoty, o których tak wymownie powiada święty Paweł:

— „Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest; miłość nie zajrzy (zazdrości), złości nie wyrządza, nie nadyma się.

„Nie jest czci pragnącą, nie szuka swego, nie wzrusza się ku gniewu, nie myśli złego.

„Nie raduje się z niesprawiedliwości, ale weseli się z prawdy.

„Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się nadziewa, wszystko wytrwa...

„Miłość nigdy nie ginie...

„A teraz trwają wiara, nadzieja, miłość, to troje, a z tych większa jest miłość” (do Koryn. R. 13. w 4. następnym).

Wiarą tylko, nadzieją i miłością, która je wszystkie w sobie zamyka, bo kto miłuje, ten wierzy w umiłowanie i spodziewa się odeń bez granic, wiarą, nadzieją, a nadewszystko miłością buduje się, mówi do serc, tworzy, podnosi, uzacnia, nią powstają pisarze, poeci, kapłani, prorocy i bohaterowie.

Jednym mniej, drugim więcej dano jest miłości, a jak wszystko na świecie niedoskonałe i ułomne, tak i tu jedni z iskry którą z sobą przynieśli wypielegnowali ogień, drudzy płomyczek, inni garstkę

żaru, a kaźden co ognia tego nie zgasił w sobie, w miarę ciepła jakim nas ogrzewa, znaczy w świe- cie i działa.

Te miłość jedni wyczerpują w sobie, drudzy tłumią, ci studzą, owi rozpalają, a najlepiej kto ją objawia czynem, i ten istotnie ma prawo wypowie- dzieć ją w słowie, kto wprzód przejawił ją hasłem życia całego. Gdyby wolno było maluczkie sprawy nasze równać i mierzyć z najwyższem na ziemi dzie- łem odkupienia, przywiódł bym tu Chrystusa, który nie samem słowem nauczył i odrodził świat, ale krwią i ofiarą. Na mniejszą miarę, wszelkie kapłaństwo jest męczeństwem.

A naprzód miłość wymaga zaparcia się siebie. Z natury swojej uczucie to łączy, jednoczy, wiąże i części nie dozwala stawieć się na miejsce całości. Materja, ten antagonizm ducha, której prawa najczę- ściej wbrew na pozór są przeciwne prawom duchow- ym, istnieje zwierzęcym instynktem miłości wła- snej, która konserwacyjnym będąc żywiołem w zwie- rzęciu, w człowieku staje się rozprzegającym i niszczącym.

Miłość więc naprzód nakazuje zaparcia się sie- bie, ofiarę, a pierwszą i najtrudniejszą: z wszelkiej próżności i samolubstwa. To prawidło ogólne w

zastosowaniu do pisarza, kapłana, łatwo się rozwinąć daje. Nie dla siebie on działa, a zatem o sobie myśleć, swej próżności, dumie, sławie, rozgłosowi dogadzać i powodować się niemi, nie powinien.

Uderzmy się w piersi, któż z nas nie zgrzeszył, i nie pokłonił się Baalowi w zwierciadle? Komu największą często pobudką do pracy, nie była myśl samolubna, stanąć na podstawie posagowej i zarobić na wieniec wawrzynu?..

Nieco dawniej, sięgając w dzieje literatury, było to nawet jedynym, uznanym celem pisarza, który nie pracował dla treści, ale zarabiał na nieśmiertelność, często sposobem Erostratesowym. A na Boga! cóż to ten liść wawrzynu najczęściej pogrobowy? Jestli on trwalszy nad wszystko ziemskie, i co nam po takiej nieśmiertelności, gdybyśmy innej nie mieli? Wystarczyłoby to pragnieniu naszemu żywota, ten rozgłos w którym już żadnego nie mielibyśmy udziału?

Gdyby ci powiedziano: oto się poświęcisz i życie dasz za to, żeby imię twoje sławionem było na drugiej półkuli ziemi, ale ty o tem wiedzieć nie będziesz, i nie zakosztujesz słodkiego kadzidla, które ci tam palić będą: nie byłoby to właśnie równe sławie pośmiertnej, i kto by pożądał takiej nagrody?..

Niewiem w jaki sposób przez długie wieki mogli poeci żyć nadzieją wawrzynu, nie wpadłszy na myśl i cel inny.

Jedna łza, cicho płynąca ze skromnego serca, którą wielkie wywołało słowo, droższa jest sercu nad tysiące oklasków... Sława podbudza wprawdzie, ale upaja, a że się ją otrzymuje tysiącem środków różnych, ktoby jej pragnął, miałby powód zarówno najtrudniejszych czynności i największych głupstw się dopuszczać.

Zrozumiano nareszcie, że celem nie jest dla poety i pisarza, rozgłoszenie nędznego imienia, że sztuka którą się przedstawia, sama sobie jest celem i końcem. Ale na tem drugim stanowisku nie długo się zatrzymawszy, niepokojem ogarnieni heretycy, spojstrzegli się, że w wyrażeniu sztuki dla sztuki jest coś nie pełnego i nie dostatecznego. Z tego więc nowe systemata i teorje, wiodące do uznania, że piękno mieć powinno za cel dobre... że dzieło winno mieć cel moralny. W wyrażeniu tem zaszło znowu nieporozumienie i obalamucenie, z rozdwojenia jednego pojęcia wynika.

Piękno i dobro stanowią tak nierozdzielną całość, że jej rozłamać niepodobna; nie może być pięknem co dobrem nie jest, a wszelkie dobro ma pię-

kność swoją. W literaturze by co pięknem i wielkiem uznanem zostało, musi być dobrem natchnione i przejęte, i choć nie stawilo sobie celu odrębnego, cel ten osiąga naturą swoją.

Łatwo mi zarzucić, że w literaturze są dzieła wielkiej piękności, które dobra nie dają i nie mają go w sobie, zwodniczym wdziękiem kryjąc jad i truciznę. Ale to zarzut powierzchowny i pozorny.

Nie ma utworu ludzkiego, coby był samym fałszem i zgnilizną, w każdym choć cząstkowa jest prawda, i ta cząstka właśnie dziełu daje piękność, życie, trwałość. A że wszystko jest niedoskonałem, my mierząc krytyką naszą niedołęzną dzieła sztuki i czynności ludzkie, nie dopatrujemy co w nich istotą, a co zbytkiem szkodliwym i superfetacją.

Ten stary axiomat, tak szczęśliwie odgadniony przez Platona, że piękno jest blaskiem dobra, jakże nie zupełnie wyraża naturę jego, jakże zanadto rozdwiają to, co stanowi nierozzerwaną całość. Piękno jest zewnętrzną formą dobra, dziś by powiedzieć można, a więc jego integralną częścią, nie może się odeń rozdzielić i wyosobnić. Jeżeli w prawdziwej piękności nie widzimy dobrego, samiśmy temu winni, winna ślepota nasza, nie czytamy jasno w tej księdze.

Ale na ziemi wszystko jest ułamkowe, nie ma absolutnego dobra i absolutnej piękności, są tylko odłamane ich okruchy. Objawy cielesne, z natury swej niedoskonałe, mając wyrażać to, co się w nich pomieścić nie może, w jednych więcej, w drugich mniej objawia się nadziemskiego pierwiastku z mniejszym lub większym blaskiem.

W jednych utworach nie dostrzegamy piękności, w drugich jej nie rozumiemy choć widzimy ją, złąd sądy nasze fałszywe o samej naturze dobra i piękna. Historycznie dosyć by tego dowiodła zmienność sądów ludzkich o dziełach literatury i sztuki, które coraz lepiej uczymy się sądzić i oceniać. Zepsucie smaku i ślepotą na piękności, powiecie, zwiastowałyby w pewien sposób moralny usterk w narodzie; zdaje mi się że tak jest w istocie. Skrzywienie idei o piękności jest wybitną cechą wieków; które chorują moralnie i w sądach o dobru tak się myślą, jak w wyrokach o utworach sztuki. Ideał każdego wieku i narodu daje najlepszą miarę jego wykształcenia i moralnej wartości.

W XVI. wieku poznano się u nas na Kochanowskim, w XVII. Wojna Chocimska przeszła niepostrzeżona a z nią cały Waclaw Potocki; sam język



tęj epoki pokaleczony, przedstawia doskonale stan umysłów, a z niemi stan moralny narodu...

Bez wiedzy poety i pisarza, przezeń mówi czas, narodowość jego, stan i indywidualność, i choćby chciał pokryć wielkimi słowy zepsucie, którego zarody wyszał lub wypielegnował, zawsze się ono wyda i jakąś szparą pokaże.

Tu komedja jest niepodobieństwem, oszukać ona może tylko umysły płytkie i powierzchowne; Jeśli piszący niemiał szczerzej chęci dobrego i zamiłowania cnoty, najlepszy utwór jego będzie kaleką i stanie się niebezpiecznym.

Życia od powołania oddzielić niepodobna. Człowiek prywatny i publiczny nie są dwoma, są jednym. Kto naucza i karci, winien być godnym nauczać i karcić; pracować musi, aby stanął na wysokości powołania. Mistrz powininen, o ile człowiekowi dozwolono, być mistrzem w duchu i mistrzem w żywocie. Jak Hebreowie wychowywali ludzi na proroków i usposabiali do wieszczania, tak poeta i pisarz sam siebie winien wychowywać, usposabiać i udoskonalać. Jest to główne zadanie jego życia, prawość i cnota dadzą mu wielkość i natchnienie. Iskry genjuszu nie wleje praca, lecz choć w pewien sposób przesadzo-

ne, wysoce prawdziwe jest zdanie: *le génie c' est la patience.*

Tej cnoty wytrwania zawsze najwięcej nam brakło i najbardziej na wyrobienie jej w sobie pracować byśmy powinni; trwać całe życie i ozuwać na stanowisku, jak kropla wody spadać w twardy kamień, by na nim maluczki ślad wyżłobić, ciężka i trudna. Ale nam dotąd przynajmniej łatwiej było we wszystkim o największe wysiłki i ofiary doraźne i chwilowe, gwałtowne i porywcze, niżeli o poświęcenie ciche, powolne a ciągłe. Nie jeden gotów dać życie na jeden raz, ale go nie podzielił na ofiarę lat długich męczeństwa.

Tej cnoty braknie nam wszystkim, a ona się nie nabywa do razu, i na nią pracować potrzeba. Każdy z nas chce zdobyć jednym skokiem cel, by spoczywał... Od maluczkiego począć, iść powoli, a iść ciągle, zdobywać, pomnażać, nabierać siły, rosnać stopniowo, upadłszy powstać, zranionemu milczeć, cierpieć w milczeniu, zakryć blizny, nie skarżyć się, nie rozpaczać... oto czego nam potrzeba.

Pierwszym obowiązkiem tego, który się nauczaniu i karmieniu braci poświęca, wykształcić samego siebie i uczynić godnym powołania. Tu nie dosyć genjuszu, nie dosyć nauki, nie dosyć chęci, potrzeba

namaszczenia, poprawy, ofiary.. A gdy się człowiek wykształci sam i podźwignie duchem, reszta, wedle słów pisma, dodana mu będzie...

Czcze słowo najszcześliwiej wypowiedziane, gdy w niem ducha nie będzie, pozostanie konchą martwą, na której świecą się tylko barwy, ale w niej życia niema. Omamić niepodobna, bo wszystko się kłamie, ale ducha skłamać nie może, kto go niema.

Spójrzmyż jak ludzie przystępują do tego kapłaństwa, i jestli u nas choć jeden, coby mógł uderzywszy się w piersi powiedzieć: pracowałem nad sobą i oczyściłem źródło, z którego ma bić żywa woda..

W młodem sercu, młoda zagrała namiętność, zaświtała myśl żywa; pierwszemu jej wyrazowi ktoś przyklasnął, i oto rodzi się wielki człowiek.

Na gościńcach wieku, po targowiskach myśli pozbierał łachmany cudze; barwi je pstro, układa i zszywa, i został poetą..

Pomiędzy rupieciami, które pościągał po świecie, były i podarte szmaty kilku prawd, w słowie było trochę ognia młodości, w sercu była iskra z której roztleć mógł ogień, więc tłum uniesiony krzyknął mu wielkim głosem: poeta! I wyrósł poeta..

Ale wnet zachorzał na serce, i zmąciło mu się w głowie, za wielkością swoją, siebie już i świata

nie widzi, nie modli się o natchnienie, ale go czeka jak sługi, nie pracuje nad sobą naczyniem myśli, ale postawił się na ołtarzu i uznał nicomylnym. Nie rozumie się sam, nie rozumieją go drudzy, tem głębszy, raz pozwoiliwszy sobie upoić się natchnieniem, upojony na wieki. Nie pytaj o jego życie... Służyć mu tylko powinno co go otacza, uwieńczony, zapoznał wielkość pokory i świętość pracy. Sercu, zamiast niem kierować, puszcza cugle i dziwaczyć dozwala, nie umiejąc go powstrzymać, dłonie ścisnął na wiekuiste próżnowanie, i puścił się w chmury dumać nad światem. Poecie, powiada sobie, wszystko wolno, a co dla gminu maluczkiem, jemu wielkiem się mierzy naczyniem, co w innym byłoby występkiem, dlań tylko niewinną muszką, podkniętą przez olbrzyma. Pychą staje się karłem i pycha w końcu czyni zeń rodzaj tajemniczego bóstwa, którego nikt nie pojmuje, w które nikt nie wierzy, o którym narzeczcie wszyscy zapomną.

Wyspiewał mgliste wyroki ludzkości, przejrane w chwili natchnienia, ale wielkości prawd, poświęcenia, ofiary, zaparcia nie zrozumiał i nie szkosztował dla siebie. Wszystko co go otaczało, musiało być ofiarą i krwią swą karmić nienasyconego, spokojem go kołysać, poszanowaniem mu kadzić; zamiast żyć

z ludźmi, apostoł miłości i braterstwa wzgardził niemi i zerwał wszystkie związki. Chcecie żebym uwierzył w takiego poetę, choćby mi śpiewał pieśń najwznioślejszą?... Nie mogę... Czcze to słowo, które się w pruchno obróci, czyn jest w niem nieustannie, ale jak on pobudzić mnie może, kiedy nie popchnął do czynu tego, co go wyśpiewał na chłodno, z założonemi rękami. Tajemniczość, osłaniająca poetę, zagadkowość, mglistość zarówno kryć mogą słońce blaskiem, jak nicość czarną i próżnię. Co wielkie jest jasne i proste... Ze schorzałej duszy i serca przeoroślego dumą, nic zdrowego popłynąć nie może.

Dla naszego wieku w słowach takiego poety może być pozorna wielkość i omamienie. Kłamiąc nam musi użyć wyrazów i myśli, będących w obiegu i najpewniejszym kluczem otwierających serca, ale następnych sądów surowość obnaży fałszerza. Ostygnie co w nas wrzało, przestaną drgać napięte struny, z wyżyny przyszłości spojrzą wnukowie i w głąb tego chaosu zapuszczają źrenicę... i... ujrzą nicość, z której opadły pożyczane barwy...

Ten drugi w próżnowaniu spędził młodość całą, i pierwsze wyrazy które wymówił, cudzoziemcem go, kosmopolitą uczyniły. Wyrastał na wielkiego pana, przeszłość kołysała go wspomnieniami dziadów i

pradziadów, po których odziedziczył dumę i ruinę. Zaczął od obojętności i niewiary, od rozpusty i zezwierzęcenia, gdy nagle poklask dla dowcipu uczynił go pisarzem... Staje się obrońcą wiary, której nigdy w sercu nie miał, obrońcą przeszłości, którą zaparł całym życiem swoim, czyni sobie z tego stan, wyrabia stanowisko, ale nigdy mu na myśl nie przychodzi, żeby siebie uczynić godnym placu, który zajmuje.

W nieustannej sprzeczności słowo jego i sprawa, pisarz i człowiek, język powszedni i urzędowy, a spinką co ma ująć i spoić te dwa bieguny przeciwnie, dowcip, który antagonizmami żyje. Natura osobliwsza, wrażliwa, miękka, zepsuta, kameleońska, dziś płacze nad tobą szczeremi łzami, jutro nielitościwie szydzi i sprzedaje brata wyściskanego za talerz truflí u jaśnie wielmożnych. Sztandarem pism jego jest wiara, a chorągwią żywota żołądek, prawi o godności człowieka, a zniża się do dworactwa dla strawy i mulem zaprzęga do wozu, wywożącego śmieciska. Dziś pobożny, jutro jawnogrzesznik; moralista, surowy dla drugich, pobłażliwy dla siebie, nie widzi nawet nielogiczności drogi, którą idzie. Słowo prawdy mieni wyrazem nienawiści, a każąc o miłości chrześcijańskiej, knuje zemsty pokątne; policzkuje

się przed ołtarzem i całuje nogi Chrystusowe, ale ludzkość, odkupioną krwią jego, dzieli na rasy, jak bydło...

Nic wierzę by przez te pokalane usta Bóg do ludzkości mógł przemówić.

Patrzcie komu płynie prawdziwe z niebios natchnienie, to orleańskiej dziewczeczce z Dom - Remy, to surowemu kapłanowi, X. Markowi, to wieśniakowi w pocie czoła i samotności rozmawiającemu z Bogiem, to pobożnej niewieście co wyplakała oczy, to prostaczkowi który wielką boleścią nie swoich nieszczęść pierś miał rozdartą... ale nie zgnitym szczątkom rodzin, w których krwi płynie tradycyjne zepsucie... a podnieść się nie mają siły, ni woli.

Poetą u mnie ten Kochanowski, który wolał żyć na ustroni z Bogiem, niż w senatorskiem krześle zasiadać, a umarł broniąc sprawy przyjaciela; poetą Kazimierz z Królówki, tęskny spiewak chwili tęsknej, skowronek pól naszych, poczciwy i niewinny jak ptaszę, poetą kapłan Woronicz, istna postać arcykapłana ze starego testamentu, olbrzymio wielka, poważna i czysta...

Mniej już poezji widzę w Reju, i mniej jej w nim w istocie, bo człowiek pożarł własną duszę i namiętności splamiły suknię kapłańską, ale przez

zburzonego temperamentem nieszczęśliwym zapaśnika, widać poetę jeszcze, co drogi nie wiedząc, szuka jej pilnie, choć sobie pobłąża..

Wiek także uniewinnia go trochę, o ile pocziw autor żywota pocziwego człowieka, o tyle wielki i wzniosły, a nadewszystko żywy, o ile słaby w życiu, o tyle niedołączny i w pismach. Co kulaje w jego biografji, odzywa się kalectwem w książkach.

W stanisławowskiej epoce to kryterjum wielkości pisarza, wybitniej jeszcze zastosować się daje. Niektórym uczucie miłości dla kraju, wielkie, święte i pocziwe, bo w niem tkwi miłość ludzkości, nie idealna, ale żywa i praktyczna, daje siły i znaczenie. Ci którzy i jej nie mają, a ogołoceni są z wiary, i na jednym honorze i naturze oparci, słabo migocą wśród tej nieszczęśliwej zamieci.

Porównaj żywoty a ocenisz najpewniej wartość pisarzy. W dworaku z powołania najmniej będzie siły, w rozpustniku najwięcej czczego dowcipu, którym jak dzieci kawałkiem papieru można rozmaite sztuki pokazywać, kapucyna i łódkę, nożyce i krzyż, ale w rzeczy to świstek gałgana tylko. Ten to nieszczęsny dowcip, najwięcej ludzi obalamuca. Bóg udziela często swoim działkom i czeladce, ale częściej szatan namaszcza nim sługi wierne. Broń obo-



sieczna, różnobarwne znamię, całą jego wartością że siecze i rżnie w napadzie, by mu kłaśnięto...

Dowcip więcej może światu złego zrobić, niż natchnienie dobrego. Ludzie boją się go jak straszdyła wróble, i często palą mu ofiary przekonania nawet, byle nie paść pod ostrze jego...

Naturaliści postrzegają zdaje mi się, że zwierzęta które łów nie mają, śmiać się umieją. Człowiek jak jednej z najstraszniejszych klęsk obawia się sztyderstwa, choć sztydzić tak łatwo.

Na myśl się nigdy nie zdobędzie głupiec. Znam dowcipnych bardzo ludzi, a jednak najzupełniej zresztą głupich. Nie jest to więc tak niechybnem znamieniem rozumu i wyższości, jakby się zdawać mogło.

Nic smutniejszego zresztą nad człowieka, który jak kuglarz z kubkiem i galkami, chodzi całe życie z dowcipem pod pachą i sztuki pokazuje...

Nad to nie widzę już większego upodlenia, prócz prostytutki umysłowej tych ludzi, co bez żadnego przekonania, są na usługi wszystkich. Sceptycyzm i indyferentyzm czyni im równem cokolwiek przed sobą mają, dowodzić będą za i przeciw, dla korzyści, dla przyjaźni, dla fantazji.

Dzięki Bogu jeszcze tak przedajnych pisarzy nie mamy, ale iluż za to bez silnego przekonania i jawno oznaczonego celu, ilu co literaturę mają za igraszkę, szermierstwo, zabawkę, popis, lub sposób wytłumaczenia niedołęztwa swojego!

Oto w zadymionej izbie lichej kawiarni, po której się parę zręcznych dziewcząt uśmiechnionych uwija, wśród wrzawy i rozmów, pisku lada jakiej muzyki, stukotu kul bilardowych i brzęku szklanic bawara, blada twarz młodego człowieka, zjedzonego zawczesną rozpustą... Z oczów nie ogień poezji, ale blask upojenia mu patrzy, usta uśmiechają się głupawo, ręka dźwiga kij bilardowy, przyszedł tu zrana, wyjdzie gdy zamkną kawiarnię, pocałunkiem nieczystym kończąc dzień poczęty ziewaniem. Chciałem się litować nad upadkiem człowieka, wstrzymało mnie, to wielki poeta!

Cóż go do tego stanu przywiodło? czy rozpacz i brak wiary?.. Nie, rozpusta i próżnowanie..

A jednak spójrz na to czoło, tak ślicznie ręką bożą wytoczone, zmieściłaby się w niem myśl.. Był w piersi ogień... była iskra w tym człowieku, zalał ją nieszczęśliwy i zgasił... i dymią pogorzeliśka...

Chcecie bym skłonił głowę przed poetą?

Nie! nie! stokroć nie! Poeci po pijanemu nie włączają się po brukach miejskich, nie tarzają po rynsztokach, nie spoczywają po lupanarach. To ludzie kontemplacji, miłośnicy natury, asceci, pustelnicy, marzyciele, mistycy, a gdzie w życiu takiej istoty godzina poezji?...

Piękne słowo, słowo gorzkie, z oburzeniem wyrzeczone przeciw drugim, nie stanowi poezji, choć brzmi na pozór jej dźwiękiem... Wino i bawar mogły być dobrem źródłem poezji dla pogan, ale nie dla nas. Nam świętego upojenia, nam innego napoju potrzeba.. Dostyc tej żółci i octu, które kosztujemy codziennie, dostyc boleści naszej, która nas upoić powinna...

Innemu Bóg dał szaloną fantazję i ruchliwą wyobraźnię. Nie pyta na co jej użyje, nie zakreślił sobie drogi i celu, pochwyił formy, wiekowi ulubione, i błaznuje przed tłumem.. prawi koszałki opałki.. Jednakże, jakby mimowolnie część oddawał prawdzie, kilka wielkich fraz i słów włożył do kieszeni, i kiedy niekiedy posypuje nimi pisma swoje.. Braterstwo! postęp! miłość kraju! i tak dalej. Za paszportem tych frazesów przejeżdżają i absurda i obscena, i lichota i próżnota...

W dodatku pisarz ten z niezachwianą powagą prawi o posłannictwie swoim, i karci tych co mu winnej czci nie oddają... Dziś z brata drze pasy i szyje z nich powieść pod pozorem, że brata poprawić potrzeba, jutro z kobiecej słabości zrobi dramat, tajemnicę winy cudzej a niepoczciwości swojej, wlokąc na deski i pokazując je za pieniądze świata...

Żaden kuglarz na Elizejskich polach w Paryżu tyle nie prawi o sobie co on. Posłuchajcie go: Gdzie tylko był, działały się cuda do koła, on dawał nauki wszystkim, on rej wiódł gdzie zawitał; zawracał głowy niewiastom, wskrzeszał umarłych, nawracał niewiernych, umie wszystkie języki, odkrył tajemnicę stworzenia, i z panem Bogiem gadał poufale w jego gabinecie...

Ludzie się śmieją i czytają, on się z nich śmieje i pisze. O! nieupokarzającaż to komedja! nie wstydzę mu wyprawiać te sztuki łamane dla obalamucenia i zabawki tłumów...

Nie nazywajcie mi go pisarzem, nie mianujcie poetą. Spójrzcie na godnych imienia tego ludzi wybranych, i wstyd was za profanacją tego imienia ogarnie...

Ale otóż i ogień wygasł na kominie, i z dumań czarniejszy jeszcze smutek, większeje szcze zwąt-

pienie na duszy... Widzę tych których znam do głębi, uznanych przez współczesnych, postrzegam obok poczciwych, w ciszy nie mogących dobyć głosu.. i nie pojmuję woli Bożej, dającej rozgłos niegodnym, siłę szalonym, a spychającej wierną czeladź swoją.

Ale to bluźnierstwo! nie! nie! Wola Boża wie dzie wszystko ku dobremu celowi.. Ci kuglarze muszą jakąś myśl cudzą roznosić po świecie i zasiewać powoli, a cichego pracownika, bolejącego zapoznaniem i szyderstwem, właśnie boleść usposabia, podbudza, i kształci... Jeszcze rok, dwa i ci histrjonowie rozsypią się w proch, a pieśń poety wypłynie majestatycznie, i w zebraniu ducha słuchać jej będą. Nie pierwszy to raz w historii literatury sąd współczesnych mylny, wieńce zdobywają najczęściej ci, którzy pochlebiają namiętnościom czasowym, błędom i upodobaniom epoki; mnóstwo utworów utrzymuje się nie wartością swoją istotną, tylko związkiem jakimś z zaprzątzeniami chwilowemi. Sąd następców jest dla tego sprawiedliwszy, że już nań nie wpływa nic ubocznego, nic mimowolnie farbującego wyroki nasze; nie patrzy on chwili w której słowo wyrzeczone zostało, ale je ceni na szali prawdy bezwzględnej.

Wiele może w koszach okruchów, pozostałych po nakarmieniu stuleciów, zostanie niesłusznie odrzuconych kartek i zabytych słów wielkich, wiele imion zgaśnie choćby świecić powinny, ale cóż imiona, co sława człowieka.. Wypowiedzieli prawdę, szczęśliwi jeśli zapieczętowali ją krwią i życiem swoim, to dosyć, nagroda ich nie z tego świata.

Dnia 10go marca  
1856.

---



II.

**OBRAZY PRZESZŁOŚCI.**





**O**d lat już kilkudziesięciu na miejscu teorii dawnej: kształcenia się na wzorach i naśladowania starożytnych i uznanych za doskonałych mistrzów, mamy całę inną i nową teorię — oryginalności i samoistności. Przyszła ona w samą porę, gdy literatury wszystkich narodów z wyjątkiem wybitnych indywidualności, poczynały już chorować na bladaczkę; dziś więcej daleko kolorytu i barwy, ale niewiem czy przez to oryginalności jest więcej.

Zawsze to przymiot nie nabyty, trudny i rzadki, dar Boży nie sprawa ludzka, ta niepościgniona oryginalność. Dziś ta tylko różnica, że zamiast Wirgiliusza i Horacego, naśladują Szekspira, Goethego, Mickiewicza, a dalej Sopicę i jego autora, a dalej pierwszego z brzegu, kto do smaku przypadł.

Zyskaliśmy na tem emancypacją zupełną, bo nikt się kształcić i pracować nie widzi potrzeby, piastując w sobie oryginalność, którą zatrzeć się obawia,

jak gdyby ją wziąć i zrzucić można!... I mamy w literaturze wedle wyrażenia jednego pełnego żółci krytyka... istny sądny dzień żydowski. Ale wśród tłumu pisarzy, policzmy tylko tak szczerze, zapomniawszy stosunków i przyjaźni, ilu też oryginalnych? ile wybitnych indywidualności? Zda mi się, szereg nie długi.

To pewna, że recepty na jenjusz i za sto lat nie wynajdziemy, a dzisiejsza bardzo nie dostateczna. Oryginalności nie mamy tylko tyle, ile jej Bóg dał, a natomiast zyskaliśmy dziwactwo dobrą miarą.

Złe zrozumiawszy słowa nasze, możnaby nas posądzić o tęsknotę i chętkę powrotu do klasycyzmu, ale naprzód przekonani jesteśmy że do niczego w literaturze powracać niema potrzeby i całkowicie, gdyby się nawet chciało, nie można; powtóre, wszelkie nasze prawdy cząstkowe mogą łatwo być wypaczone i doprowadzić przesadą do fałszu. Tak i tutaj. Powiedzmy że potrzeba być oryginalnym to jest sobą samym jak Bóg nas stworzył, święta prawda, ale jeśli zamiast oryginalności otworzym pole dziwactwu i obnażeniu bezwstydnemu tych stron człowieka, które przez wstyd i poczciwość nigdy odkrywać się nie powinny, wpadniemy w błąd szkaradny

Widzieliśmy jak z pięknych początków zaszła do szaleństw i skończyła na bezpłodnej bezsilności literatury francuzka.

My choć chorujemy na oryginalność, choć pokuszamy się o nią ciągle, dotąd nie wiele jej mamy, a sumienny rozbiór tego co nam dały lata ostatnie, okazałby niespodziane ubóstwo. Kilka indywidualności, koło których grupują się po staremu małpiarze, oto obraz terażniejszego stanu literatury.

W XVIII. wieku pełne utopij powieści, bo i w Krasickim ta ochota przerabiania świata widoczna, a widoczniejsza w Podolance itp. drugą swą stroną nieprzyjazne były terażniejszości i przeszłości, niektóre z nich cechowała najostrzejsza krytyka. Dopytując przyczyn upadku na który bolano, starano się go zwalić na ramiona przeszłości, odkrywano tylko stronę czarną bytu dawniejszego, szydzono sobie ze szlachty, potępiano arystokracją, wyśmiewano nieuctwo i ciemnotę.

Nagle XIX wiek przetrząsnął nas w ostateczność przeciwną, w bałwochwalstwo dnia wczorajszego. Wielbię ja piękną przeszłość naszą, nie przeczę że ten obraz należycie oświecony i odkryty, przedstawia się majestatycznie wspaniałym i wielkim, ale mnie to nie zaślepia jak pewnego pisarza, któryby rad

Istotnym winom zadać kłamstwo, wszystko obrócić w cnoty, i cały był miniony jednolitym ideałem uczynić. Z dobrą wiarą przypatrując się historii naszej domowej, niepodobna znów bezwarunkowo przyjąć jej za doskonałość, zwłaszcza sądząc z obrazów, które dziś za najprawdziwsze uchodzą i apologją jej stanowią mają.

Zjawienie się pamiątek Starego Szlachcica (*Soplicy*) stanowi u nas epokę, nie bez korzyści dla literatury i sztuki, ale dziś już może do zbytku się przeciągająca. Autor *Soplicy* był synem pana, który pod starość nawykł z tęsknicy powtarzać dowciple i charakterystyczne anegdotki swojego czasu. Obdarzony pamięcią niezmierną, dowcipem, łatwością przejmowania się duchem otaczającym i wrażliwością artystyczną, syn zapamiętał opowiadania starca, przyczynił do nich co od drugich pochwycił, i to był pierwszy zarodek tego, co na istotne w swoim rodzaju arcydzieło urosnąć miało w *Soplicy*. Ale wartości tych naiwnych i przejętych opowiadań sam autor podobno nie bardzo znał dobrze; dla zabawki odgrywając sobie niejako komedję przeszłości, powtarzał swoje historyjki zgromadzonym wówczas w Rzymie Polakom, między którymi znaj-

Chł.

1840 a. 1841 a.

pow.

zaczny ksiądz Stanisław  
nie liczę.

tów, pisanych naówczas  
wielki poeta uczynił  
... „Gdyby, powiada,  
to co opowiada, tak  
jednem arcydziełem w  
poety odgadł Soplicę  
pojął, dla którego pi-

sanie we własnym języku... wychodziło z wielką tru-  
dnością, bo, jak to sam chętnie wyznaje, nigdy ani  
grammatyki jego, ani nawet ortografij nie umiał, choć  
ducha tak czasem wybornie odgadnąć potrafił, a  
tradycjami przejął się tak głęboko...

Słowo Mickiewicza zrobiło Soplicę. Napisano na-  
przód jeden rozdział, może najlepszy, potem ich  
wzorem następne, i nowy rodzaj powstał w litera-  
turze. Jak Pan Tadeusz ojcem jest niezaprzeczonem  
wszystkich *gawęd szlacheckich*, tak Soplica wszyst-  
kich *szlacheckich powieści*, a najbliżej nas Kaczkow-  
skiego. Wszystko to razem, prawdę powiedziawszy,  
popłynęło z jednego źródła, z piersi Adama.

Soplica wyszedł w chwili tęsknoty za ginącą  
przeszłością, której był żywą apologją; pochwycono  
go z entuzjazmem, wszystkich oczy i serca zwróciły

się ku szlacheckiemu żywotowi, ku jego wspomnieniom, ku idealizowaniu tego co wczoraj jeszcze tylko śmiesznem i barbarzyńskiem się zdawało.. szkoła została stworzona. Zyskała na niej nie tylko literatura i sztuka, jakieśmy już przyznali, ale nawet historia, sumienniejszem rozpatrzeniem się w przeszłości.

Ale obyczajem wszystkich czasów i krajów, stworzona forma wywołała mnóstwo mniej więcej szczęśliwych naśladowców, którzy w końcu idealizując żywot szlachecki, przerobili go na karykaturę. Zamiast wyolbrzymić, wyciągniony na tem łożu Prokrusta ręką oryginalności, stracił prawdomówność.

Soplica jest prostem w duchu przeszłości powtórzeniem jej podania, jej pojęć i przedstawia nam świat ów widziany nie z naszego, ale z własnego jego stanowiska. To stanowi jego oryginalność, charakter i zasługę pisarza, który tradycje wiernie powtórzyć umiał. Nie rozpatrzywszy się w tem dobrze, naśladowcy którzy ze stanowiska właściwego swej epoce zejść już nie mogli, przyjmując Soplicowski sposób zapatrywania się na przeszłość, popełnili, że się tak wyrazić pokuszę, błąd perspektywy w dziełach swoich. Jest to coś, jak gdyby malarz, niezważając punktu widzenia obranego do obrazu, po-

postawił w nim figury cudze, wzięte z wizerunku, którego linja pozioma była całkiem inną. Kaczkowski ustrzegł się tego niekiedy, przenosząc się odważnie na stanowisko swego prototypu, ale nie mniej jest tylko naśladowcą, z olbrzymim talentem i przejęciem, z wielką sztuką. Forma której użył do swych powieści, nie jest jego własną, jest wydoskonaleniem i rozwinięciem Soplicowskiej, której ułamkowość przechodzi tu w jednolitą całość, a przynajmniej ku temu zmierza. Ale opowiadania Rzewuskiego, w takiej formie w jakiej się zrodziły, nie tylko nie traciły na fragmentarstwie, zyskiwały nawet na niem, gdy pomieniony kształt, nadany tradycij przez Kaczkowskiego, skaleczył ją chcąc podnieść wyżej i wypełnić.

Z natury swej pamiętki Soplicy, pozwalam że genialne, były rodzajem podrobienia (*pastiche*). Autor przebierał się, mając mówić, za kontuszowego szlachcica, za swego ojca czy dziada i gawędał nam jakby zmartwychwstały nieboszczyk... Ułamki te dawały opowiadaniom jedną więcej cechę prawdziwości, naiwności, wręście gdy nie stawało jednolitego wątku, miały prawo się przerwać, a obcego nic nie dotaczać. Przy takim samem przebraniu za dziadunia Nieczuję, w tej samej komedij literackiej, Kaczkow-



ski stworzyć zapragnął całkowitą epopeję, z kunsztem, którego w owych wiekach, na jakich stanowisko przenosi, nieznano. Wydoskonalenie więc jego, manjery Soplicowskiej, jest już poniekąd jej skrzywieniem; innym pędem robi się mały szkic, inaczej obraz wielki. W dodatku musiało mu zabraknąć nie raz wątku i materiału, musiał zgadywać i dorabiać, a to nie zawsze szczęśliwie się udaje; choćby Kaczowskiemu.

Ale to nie o to jeszcze nam chodzi. Są to zadania uboczne, których tylko mimochodem dotykamy, nie mając czasu szerzej się tu zastanowić nad niemi. Chcemy mówić o charakterze przeszłości i pojęciu jej dzisiejszem przez nas.

Soplicowski szlachcic polski stał się dziś prototypem wszystkich obrazów, przesadzono jeszcze jego wady i przymioty, narysowano ostro cechujące go zarysy, i stworzono niebywałą istotę, podając nam ją za najwyższy, niepościgniony ideał. Głównymi cechy w tym obrazie są: ślepa umyślnie pobożność, i religijność posłuszna bez rozbioru prawom Bożym i kościoła, meztwo zapamiętałe, odwaga kipiąca, owszem kłótniwość nawet, skłonność do awanturnictwa i żyłka do bojów i szermierki, wiele tyranij i absolu-

tności; razem z tem uczucie braterstwa, i popęd do dziwactwa i oryginalności.

W ogólności więcej tu serca i temperamentu niżeli głowy, krwi zimnej i rozsądku. Z tych rysów to jeden to drugi przesadzony dobitniej wyróżnia postacie występujące na scenę, a są niektóre trwałe już służące wszystkim, naprzykład: zawadjectwo, pijatyka i domowa absolutność w stosunkach z rodziną.

Pomimo wad i śmieszności, jakie rosną naturalnie z przesady tych rysów, ogólnie postacie wystawiane mają ochotę przeważać przymiotami i stroną idealną, choć czasem najdziwniej pojętą.

Coś jednego płaci za resztę. Dziś już ten sposób pojmowania i malowania przeszłości, tak się stał niewolniczo - jednym i ciągle się powtarza, że z góry zobaczywszy ledwie końce wąsów, można odgadnąć do kogo należą. Razem jednak zebrane te częściowo trafne wizerunki, dają nam zupełnie fałszywą, apologetyczną ale niedoleżną całość, odtworzoną w chwili entuzjazmu, lecz artystycznie i historycznie nieprawdziwą.

Chcąc z innego punktu dowodzić tego, mielibyśmy rozpocząć na nowo proces przeszłości całej, wytoczyć go, przesądzić z dokumentami w roku i

dowiedź, że nie zawsze takimi a nie takimi tylko byliśmy.

Ze stanowiska sztuki jednak łatwiej się o fałszywości obrazu tego przekonać możemy. Ludzkość i wszelki naród, przy barwie właściwej sobie a głównej, jest w rozwoju swym nieskończonej różnorodności; ludzie są sobie podobni, ale się nie powtarzają kubek w kubek, gdy tu, rzekłbyś że jedna postać coraz się tylko przebierając inaczej, ciągle a ciągle występuje. Już to jedno dowiodłoby w potrzebie, żeśmy na złej drodze i że takie odwzorowywanie jest ani artystycznie ani historycznie prawdziwem.

Niepodobna zaprzeczyć, że przez całe dzieje nasze, jeden stałe charakter narodu przesnuwa się ze ścisłą logiką, że niektóre postacie pokrewne występują na czoło i skupiają w sobie rysy główne typu narodowego; ale czytajmy dzieje, jaka w nich różnorodność, jaka barwa! jaka prawda! W tym drogim a nieoszacowanym naszym klejnocie, Pasku, z którego dotąd wzięto tylko co było najpospolitszego: zawadjectwa, bijatykę i pijatykę, wasy i czuprynę, szerpentyny i szabliska, ile to różnych występuje ludzi! A że z żywota przeszłości to co w nim najgłośniej krzyczało najdłużej pamiętne, myśmy owe wrzaski wzięli za jedyny i cały głos z mogiły. For-

tesujący za życia, głuszą jeszcze i po śmierci tych co siedzieli cicho.

Z obrazów wczorajszej doby pozostały wizerunki zamętu, walki, sporu, uczyty i biesiady, zabójstwa, wojny i wrzawy, i w nich utonęło co obok nich żyło równem prawem w spokoju i ciszy.

Wielkiej potrzeba umiejętności i wieszczęj siły dla odtworzenia przeszłości, tem potężniejszej, że ona się nam sama niejako fałszywie przedstawiać musi, jeżeli badając ją, nie pomyślemy o naturze ludzkiej i naturze pozostałości po człowieku. Jak z życia indywiduów tak z żywota narodu, najgłośniejsze a nie koniecznie najcharakterystyczniejsze fakta wypływają na wierzch, rzekłbym nie ogólne prawa, ale bijące wyjątki. Ludzie dotąd zawsze skłonniejsi byli zapisywać excentryczności i wybryki swoje, niżeli przebieg codzienny, zwykły bytu powszedniego. Ztąd gdy przyjdzie sądzić o przeszłości, nawet z tego co ona nam sama zostawiła po sobie, bez siły wieszczęj i znajomości powszechniej natury ludzkiej, najczęściej wyjątki zastępują prawidła, a dziwactwa istotną barwę przeszłości. Rzekłbyś spłowiła szata, na której tylko jaskrawsze barwy przeżyły.

Nie zapisywał nikt godzin życia ubiegających w ciszy, spokoju i regularnem spełnianiu obowiąz-

ków, notowano heroizmy i zbrodnie, występy aszranków, walki bohaterskie lub dziwactwa, i te pozostały. Tę dla nas nieznaną, dotworzyć go potrzeba, lub trudniejszą daleko badaniem dójść do odgadnienia.

Dziś gdy z tych szczątków pokruszonych, widoczniejszych i całszych, przychodzi artyście kleić i budować to co zmarło na wieki, postrzega się może za późno, że przystające do siebie części formują całość dziwną i fałszywą.

Jesteśmy w konieczności, ograniczając się materiałami temi, albo malować same bohaterzy, lub samych zbrodniarzy, za jasno lub za czarno, nigdy tak jak było.

Nie wnoszę z tego, byśmy czysto odgadywać mieli tylko całą zasłonią nam część życia ubiegłego, ale sądzę, że dla odtworzenia jej zarówno późno potrzeba do tego, co maluje powszednie dzieje, jak do materiałów, do dziś dnia szczególnie używanych, odtwarzających nam same pos'acie wyjątkowe.

Dotąd po większej części oryginały bierzemy za typy, karykaturę za idealność.

Wszystka szlachta nie mogła być podobną do genialnego zawadjaki Paska, ani do jemu pokrewnych. Zresztą odwzorowując w ten sposób część

jej sejmikującą, kiereszującą, rąbiącą się i procesującą, zapomnieliśmy o ciekawszej połowie, która przy szabli zardzewiałej uprawiała ziemię i w cieniu lip starych modliła się na ustroni.

Życie wiejskie w Polsce, może najodrębniejsze i najoryginalniej nasze właśnie, dotąd ani razu szczęśliwie odtworzonym nie było, bo ono po sobie najmniej zostawiło śladów, a sercem nikt go odgadnąć nie śmiał. Kobiety polskiej nikt nie pojął, i przyszliśmy do tego, żeśmy jej niemal exystencij zaprzeczyli, nieumiejąc jej sobie wyobrazić. W Soplicy kobiet niema, a w innych tegoż autora obrazach występują najniezszczęśliwiej, rzekłbyś: heroiny z Gonzałwa z Korduby.. M... Gr... wielki krytyk tej szkoły, usiłując ten fenomen wytłumaczyć, zaprotestował przeciwko miłości w małżeństwie i przeciw samoistnemu życiu kobiety i skazał ją na najzupełniejsze nicstwo.

W obrazach tych przeszłości i to fałszem jeszcze, że samą się ograniczają szlachtą, pod pozorem iż w niej wyłącznie spoczywało życie narodu. Szlachta zaprawdę najwięcej po sobie pozostawiła śladów, najłatwiej nam ją było odmalować, ale nie pożarła tak dalece sił i żywota wszystkich, by reszta przy niej zniknąć powinna zupełnie i nie miała się prawa ukazać.

W starożytnej Grecji również ani politycznego, ani samoistnego życia nie miał niewolnik; przecież kto by go wymazał z obrazu społeczeństwa greckiego i malował bez niego tę całość, byłby nie pełnym i dobrowolnie skaleczyłby swój wizerunek.

Szlachcie w Soplicy tak pochłonał wieśniaka, mieszczanina, żyda i wszystko co obok żyło, tak sam stanął na czele, uosabiając wszystko w sobie, że po za nim ani widać reszty. Naśladowcy nie mając do tego prawa, przesadzili jeszcze ten błąd pierwotny. Zgadzam się na to nawet, że co było najlepszego i co najgorszego, to najłatwiej i najwybitniej w sobie i sobą przedstawiał u nas stan szlachecki, ale ostateczności nie są jeszcze całością. Potrzeba idealizowania nawet, dla której fantazja chwytła figury zawsze najżywsze i najpodniosłejsze, nie wymawia tu artystów; jest również idealną, może idealniejszą ta sfera, której właśnie nie tknięto.. idealna cierpieniem, idealna milczeniem, pokorą, zaparciem, boleścią cichą, nicością swoją. Łatwo to przyjdzie zdaje mi się zrozumieć każdemu, kto zechce.

Szlachcie zawadżaka, pobożny do fanatyzmu a nie chrześcijanin, piszący się bratem a szablą dominujący się braterstwa, szlachcie żołnierz, przez którego usta przemówiła do nas przeszłość, nie mo-

że być jedynym jej reprezentantem. Bogatszą ona jest daleko, niż się nam dziś zdaje. Znikają nam z oczów heroizmy ciche dla głośnych i czwaniących się sobą, ale przyjąć musi dzień sprawiedliwości dla wszystkich.

Obok prawdziwych dziejów, jak blade i mizerne wygląda ta monotonna, artystycznie stworzona przeszłość nasza. Patrzymy na rozwijającą się całość od Mieczysławowskich i Bolesławowskich, do Saskich i Konfederackich czasów, na których stanęliśmy u kresu, szukając w nich sumy całej przeszłości. Co to tam za barw, różnaitości, jaka epok różność i odcechowanie, ile charakterów, ile zmian, a w odwzorowaniu tego wszystkiego, zawsze jak na lichym teatrze, jeden zszarżany kontusz, i jeden wypłowiały żupanik. Spójrzmy na wioski i ich żywot cichey, na drobną szlachtę, bliżej wieśniaka stojącą, na ścierające się z nią stany, zstępując aż do chaty chłopca, ile tu postaci, nie mniejsze mających prawo obywatelstwa od tych, którym je wyłącznie nadano.

Wszystkiego dowodzić i pozornie nawet dowieść można, a ci co dziś stoją twardo przy onych obrazach prawdziwości, poklaskując im jako wywieszzonej przeszłości, łatwo potrafią na swoją obronę wynaleść argumenta przekonujące, że to co było ja-



drem i ogniskiem bytu, winno go po wsze wieki przedstawiać. Aleśmy dziś pod wrażeniem uczucia, które ukochać każe i przycisnąć do piersi wracającego do domu marnotrawcę, choć paśł trzody i zwał się z pastuchami.

Po oczernieniu niezasłużonem całej przeszłości, pali nam usta pragnienie jej usprawiedliwienia, a wszystko co do tego dąży, już dla nas piękne, prawdziwe... Tym czasem jeśli tak dalej będzie, a literatura ograniczy się cackaniem kilku typów, na które trafiła, wprędce się one wyczerpią i skarykaturują. Te wiekuiste gawędy szlacheckie i powieści szlacheckie, z postaciami coraz inaczej chrzczone i przedstawianymi zawsze jednakowo, przejdą jeśli już nie przeszły w nieznośne komunały. Będzie to coś na kształt studenckich ćwiczeń, opisujących pożegnanie Hektora z Andromachą, gniew Achilla, lub spalenie Troi. Potężny talent i w te dane, nie szukając nowych i nie mozoląc się o poszukiwanie dróg nowych, potrafi wlać życie, tchnąć ducha, ale wreszcie zużyją się one i rozsypią.

Typ tego szlachcica, który nieustannie zdaje się oglądać tylko, na kogoby szabli dobył, zapija się, syna wychowuje boćkowską metodą, żyda za psa niema, rąbie się co pijatyka, a co dzień ucztuje,

szaleje, modli się a broi... niepodobna żeby w sobie przedstawiać miał przeszłość całą. Obok takich byli i inni, spokojni wsi mieszkańcy i rzeczywiście mężni, ale ducha poważniejszego ludzie. Obok tych ojców, za najmniejsze przestępstwo do batoga porywających się na dzieci, byli drudzy, którzy je prowadzili miłością i słowem prawdy, obok fanatyków modlących się i leżących krzyżem, a po wyjściu z kościoła rzucających się wściekle na każdego co im nie ustąpił z drogi, być musieli istotnie pobożni i światli, a w pokorze chrześcijańskiej wychowani ludzie; obok tych opojów co dla przyjaźni, wychylali beczkami węgryzna, byli trzeźwi i wstrzeмиęźliwi, którym zalanie głowy nie smakowało. I nie wszystkie zapewne kobiety wyglądały tak jednostajnie i nieznaczaco, jak te które w powieściach naszych wychodzą. Wprawdzie daleko łatwiej malować te przesadzone figuryńki, niż nowych typów się dobadać i nadać im życie a charakter właściwy narodowości; ale od czegoż praca i jenjusz?

Krytyka także znaczną część winy jaka spada na nas za to, przyjąć na siebie powinna; przyczyniła się ona niemało do wprowadzenia literatury na tę drogę i utrzymania jej na niej, niepomiernymi oklaskami okrywając malarzy konwencjonalnej przeszłości.

Rzekłbyś słuchając jej aplauzów szczerą sypanych dłońmi, że trafiono na niwę złotą, w której żyłach niema już najmniejszej mieszaniny rudy niepotrzebnej, a wszystko co się z niej dobywa jest szczerym kruszcem. Przyjęto od razu wszystkie postacie za dobre i uprzywilejowano niektórych pisarzy do tworzenia arcydzieł; ci wybrani nie już słabego zrobić nie mogą, świętokradztwem jest widzieć w nich jakąkolwiek słabość i niedostateczność, zbrodnią nie uznać w ich wadach nawet znaczenia głębokiego, piękności niedopatrzonej, doskonałości absolutnej.

Tym sposobem weszliśmy na drogę, na której dziś swobodnie broić można. Szlachetne zresztą zamiłowanie przeszłości naszej, trzyma nas w tym kierunku popychając dalej. Ale czy w interesie nawet tej przeszłości jest takie obrazowanie, niewiem i wątpię?...

Cząstki i wyjątki, wzięte za całość, fałszywie ją przedstawiać muszą. Przeszłość nie zyskuje na apologij jakby zyskała na objawieniu się nam całkowitem. My co z duchem wiary i pobożności wpatrujemy się w te wizerunki, zaślepieni jesteśmy, ale weźmy obcego człowieka i posłuchajmy sądów jego, a przekonamy się, że uczucie chwalebne ale za daleko bo do zaślepienia posunięte, obłąkało nas... Słyszę od nieda-

wna dowodzenia że najpiękniejszym w naszej literaturze, to co się z niej na żaden język przełożyć nie daje, to co nam tylko właściwe, a reszcie świata niedostępne. Zdaje mi się, że i w tem jest przesada ogromna; prawdziwa i potężna piękność nie należy do żadnej parafij, jest własnością ludzkości całej i pojętą dla wszystkich... Widoczna jest że *Chauvinisme* literacki przeszedł u nas w chorobę i teorię nawet sobą zaraził.

Nie, zaprawdę zda mi się, że mimo tych uniesień, do dziś dnia nie mamy jeszcze obrazu pełnego, tego tak rychło a tak nieodżałowanie zgasłego żywota naszego, który w rzeczy samej był charakteru pełen, nie dziwactwa i monstrualności jak dziś chcą ci panowie. Odgadniono miłością wielką niektóre tajemnice jego, ale nie w pełni, pozostało wiele zakrytego dla oczu naszych, a to co nam dano, niezaspokaja i oburza. Ta miłość nawet co kierowała artystyczną wieszczbą, że nie była całkowitą i pełną, spowodowała fałszywe obrazy. Chcąc odgadnąć byt wczorajszy, usiłowano stanąć nie na stanowisku dzisiejszem, ale na wyjątkowym, dawnem, przenosząc się niby w przeszłość dla lepszego jej osądzenia; tem właśnie pozbawiono się władzy wszelkiego sądu.

Zaszła w tem i u Soplidy widoczna, ale tam jeszcze jako w prostym pastichu darowana a przynajmniej wytłumaczona omyłka, które dzieło to zbudowane na podstawie konwencjonalnej i kłamliwej, pozbawia na przyszłość znaczenia; w naśladowcach Soplidy proste to już małpiarstwo. Pisarz nigdy nie powinien odgrywać komedij, przedewszystkiem musi być sobą i synem swojego wieku. Kłamiąc i przebierając się za pradziada, trudno by tamtego dosięgł i sobą odtworzył, to pewna że obcina sobie skrzydła, sąd własny wykrzywia i czyni dobrowolnie jakimś nieokreślonym mieszańcem, pół trupa pół żywego człeka.

Wszystko co w literaturze ma mieć trwały byt i uznanie, szczerem być musi, natchnione żywotem własnym, naiwno-prawdziwe; wszelkie te udawania na nic się nie zdały. Największy jenjusz z tak fałszywego nie wywiąże się zadania. Przez utwór, mający odtwarzać bodajby najwierniej przeszłość, musi mówić ten co go kreśli, musi być widać autora i człowieka; zapierając się siebie niknie pisarz, ale niepodobieństwem jest prawie by opuściwszy ciało własne, znalazł inne, któreby mu posłuszne na zawołanie, oblec się dało. Odgadując najszcześliwiej przeszłość, znajdzie się zawsze coś, czego nie wy-

wróży, strony ciemne i zakryte; szczerze na swoim trwając stanowisku, będąc sobą, stron tych ani unikać, ani ich fałszywie zgadywać nie ma potrzeby, udając zaś protoplastę, zawsze w chwili danej znajdzie się w potrzebie dosztukowania natchnienia czemś współczesnem i nieodpowiedniem całości. Najwidniejsze to w Kaczkowskim. Forma ułamkowa ocaliła Rzewuskiego, który nigdy nie popada w podobne błędy, a w Murdeljonie co latek i naciągów!

Choćby zresztą dzieło pozornie odpowiedziało warunkom sztuki, będzie w niem coś nieprawdziwego, podrobionego, coś komedjanckiego i rażącego. Nie widać tego w wybornym malarzu przeszłości, Chodźce, który z trafnością wielką nie zszedł ze stanowiska na jakim go Bóg postawił i pozostał sobą, gdy tym czasem w Kaczkowskim, tyle uwielbianym przez krytyków, razi co chwila jakaś komedja i maszkarada, a przez aktora przegląda świeżuteńki i młodziuchny człowieczek.

Jedne jego postacie wprost z podania wzięte, uderzają prawdą potężną, żywotnością swoją; inne mimo wiedzy pisarza wyczerpnięte z pojęć naszych, z obyczaju już nie tamtej epoki, wyraźne są jakoby do obrazu starego świeżo domalowane figurynki.

Razem wzięty cały ten świat szlachecki, smutne jakieś czyni wrażenie i choć z miłością stajemy przeciwko niemu, ze łzami i tęsknotą nienasyconą od niego odchodzimy, wołając: to upiory jakieś nie dziadowie nasi! Punkt obrany przez pisarzy nie dzisiejszy lecz wczorajszy, zmusza ich do moralnie a zatem i artystycznie fałszywych sądów o czynnościach ludzkich i ich znaczeniu. Uwielbienie i cześć dla tego co dziś wprost beznamiętnie wzięte i osądzone wywołuje oburzenie, odejmuje pisarzowi możliwość oddania czci prawdzie, a najszlachetniejszy szal nie wymawia w nim takiego obłędu.

W tamtych wiekach i czynność sama i to co ją otaczało usprawiedliwiała się środkami, światem w pośród którego się to odbywało, epoką, okolicznościami; dziś nic nas uniewinniać nie może, jeśliśmy ślepi z dobrej woli i umyślnie zakrywamy oczy. Nie możemy naprzykład pochwalać ani tych bójek na gościńcach, które wówczas może przyczyniały się do żywienia i utrzymywania rycerskiego ducha, ani środków wychowania młodzieży grozą i cielesnymi karami, ani uczucia braterstwa ograniczającego się jedną kastą, ani pojęć o szlachectwie oddzielającym nieprzebytą, żelazną granicą człowieka od człowieka.

Wszystko te rzeczy, które wytłumaczyć sobie może historyk, ale ich moraliscie za dobre uznać się nie godzi; a jednak stanowisko tych pisarzy, którym się zdaje że lepiej odtworzą przeszłość, gdy się sami wrzekomo w nią przeniosą, zmusza ich do przeciwnych przekonaniu apologij i tych i wielu jeszcze dziwniej rażących faktów.

Nikt może nie ma większej w sercu miłości dla spuścizny dziadowskiej nad tego który to pisze, nikt jej nie szanuje święciej; ale kochać można i widzieć słabości tego co się ukochało, bo nie każda miłość jest ślepą. Kocha ona ale nie zapiera prawdy, uniewinnia, pobłaża, ale nie kłamie i nie okrywa ani tłumaczy się fałszem. Ukochanie przeszłości tak absolutne, bezwyjątkowe, zdzicza nas i spycha ze stopnia na jakim stać powinniśmy, bośmy go bohaterstwem, ofiarą krwi ojców i łez naszych okupili.

Szaleje, kto dla miłości zmarłego zakopuje się z nim w jednym grobie, chyba by sam chciał umrzeć, bo grób mieszkaniem umarłych. Inna jest oplakiwać na mogile, a inna do niej zstępować z zimnemi trupami; myśmy właśnie tego rodzaju samobójstwa dopuścili się w literaturze...

Dzisiaj głos usiłujący sprowadzić nas nazad do życia; wysmianym być musi i odepchniętym, ale



zrozumieją go później, a to co się prawdą nam uznaje, zawsze wypowiedzieć potrzeba...

Dziwnym fenomenem jeszcze, zabywając istotnie pięknych stron przeszłości, któreby łatwo znaleźć przyszło, bo pełne ich dzieje nasze i każda rodzina ma się kim pochlubić, — chwytamy słabe strony za piękne i charakterystyczne wprost tylko dla mniemanej oryginalności z uporem niepojętym i właśnie to co najmniej wytłumaczone, chcemy wyjaśniać i uniewinniać.

W artystycznych utworach którym za tło służy przeszłość, nie wielkiej i wspaniałej, nie majestatycznej i idealnej jej strony, ale wyłącznie ziemskiej i ułomnej szukamy. Unikamy bohaterów goniąc za dziwakami, w nich dobijając się typu i słowa przeszłości.

Trochę to złąd pochodzi że bojemy się wpaść w pospolitość i bohaterstwo wodniste, oklepiane; ale pomiędzy mdłymi ideałami XVIII wieku, a karykaturami XIX. ogromna przestrzeń pozostaje, i byle uczucie, byle talent, łatwo się na niej stanowisko wybrać może.

Pojmuję że heroizm Karlińskiego naprzykład, Chrzanowskiej i tym podobne, acz potężne, nie są zadaniem dla artysty, który rzadko potrafi stanąć

na wysokości takich postaci, ale też co figur od tych poczynszy do *Meża szalonego* i tym podobnych kreacji!!

Szlachta zawadjacka, której często piątej klepki braknie, szlachta w ostatniej epoce upadku i rozpasania co ją poprzedziło, to najpospolitszy temat powieści naszej, dramatu i gawędy szlacheckiej. Im kto ją dzikszą i excentryczniejszą maluje, byle wielkie wasy, dużo fanatyzmu, wygolony łeb i szablę dał w ręce zamaszystą, tem mistrz większy; największe sprzeczności w charakterze i cechy, które po ludzku biorąc, z sobą w parze chodzić nie mogły, dla tych artystów są pospolitym środkiem zlepiania typów nowych. Wystosowano wprost dla uniewinnienia tego kierunku teorię, o której już wspomnieliśmy, z mocy której, w starej Rzeczypospolitej krom szlachty życia w nikim nie było, a ona ma je przedstawiać w całości.

Niezaprzczy nam jednak historyk biegły, który upornie tej zasady się trzyma, że obok szlachty żywot mieszczan i włościan istnieć musiał i jak widzimy dowodnie, stopniowo się rozwijał i wypełniał. Emancypacja obu stanów czasu sejmu czteroletniego, przygotowywała się poprzednio, i na niegotowych przyjść nie mogła; żyło już to czemu sankcją tylko i uzna-

nie nadano. Włościanie polscy zrazu kłmięcie swobodni, później chociaż ściśnieni więcej, choć bez wpływu na polityczny byt narodu, w żywocie jego domowym mieli udział znaczący. Nie wiem ktoby dziś wierzył w te bajki o ucisku chłopa, nad którym wyjątkowo może nie jeden się znecał, ale ogólnia, bez niesprawiedliwości krzyczącej, niepodobna już zarzucać nam systematycznego ucisku.

Owszem lepiej się przypatrzywszy, nie sprawom kryminalnym jak dotąd, bo te dają tylko wyjątki i excesa, ale dokumentom bytu powszedniego, widzimy że wieśniak należał prawie do rodziny pańskiej, że się z nią wiązał węzłem wzajemnego przywiązania, że prawem wiosek naszych był rząd patryarchalny i wspólka, dająca udział panu w pracy wieśniaka, ale jemu nawzajem miłość, opiekę, serce, worak i spichrz pański otworem. Miłość włościan dla rodzin panów swoich dawnych, małe dawniej nałożone na nich obowiązki, które chyba wyjątkowo chciwość gdzie niegdzie uciążliwemi czyniła, niesiona przez pana w każdym złym razie pomoc, wzajemna ufność i rzadkość faktów, któreby inaczej świadczyły, dowodzą że panowanie szlachty nie stało uciskiem. Co chwila widzimy, za Stefana i później, występujących z gminu ludzi, którzy odwagę,

caotą, nauką uszlachcał się i podnosił do szlachectwa herbownego, będącego tylko oznamiem szlachetności czynów i zobowiązaniem do niej. Napró-żno by więc chciano utrzymywać że wieśniak tam nie nie znaczył, gdzie krok jeden ledwie go od szlachty dzielił, darmo mówić że dla niego w obra- sie dziejowym nie ma miejsca. Ma je podrzędne, zgadzam się na to, ma wpływ i znaczenie ciche jak niewiasty, ale bezeń niema pełnego wizerunku przeszłości, jest tylko cząstkowe odwzorowanie. Do- brze się te utwory nazwały *szlacheckimi*, bo szla- checkimi w istocie są, ale nie polskimi.

Toż prawie powiedzieć można o innych posta- ciach, które dotąd w odwzorowaniu przeszłości nie otrzymały prawa obywatelstwa; nie powiemy żeby im go słusznie odmówiono; wskrzeszając świat, wszy- atkie kości i szczatki powołać potrzeba do życia, imaczey jeden nieboszozyk jak Piotrowin, da tylko w jednej sprawie świadectwo.

Wady o których mówimy, wybitne w prototy- pach i mistrzach, czem się stały w naśladowcach, szkoda wykazywać i nastawać byłoby śmiesznością. Zawsze naśladowanie ratując się, musi być rodzajem exageracji, przesadza ono wady i chce zolbrzymieć przymioty, ale nie płynąc z duszy i uczucia tylko

z zimnej rachuby, myli się najczęściej i bierze jedno za drugie, powiększając i mieszając rysy, zacierając stosunek stanowiący tak potężny warunek artystycznej całości, płacząc się i nieumiejąc trafić do końca.

Szalachecka Polska w tych powiastkach Soplicowskich, w gawędach odśpiewywanych zamaszycie za panią matką pacierz, wygląda najpociesniejszą karykaturą; wasy już tu do kolan spadają, a z czu-pryn kurzy się gdyby z komina... a z ust jakie płyną pojęcia i wyrazy, a! Boże odpuść tym co nie my-sła a piszą!

Kiedyż nareście danem nam będzie oglądać hi-storyka i poetę, kiedy ujrzymy odgadnioną z miło-scią świętą a z uczuciem prawdziwym, bez tych igraszek i sztuczek, wspaniałą przeszłość naszą?.. Kiedyż się jej pokłonim, kiedy ona przemówi do nas przez natchnionego kapłana i wskaże czem żyła, na co bolała, od czego zamarła!

Może być żeśmy już bliżej arcydzieła niżeli się nam zdaje, zwykły to tryb chodu idei ludzkich we wszystkich przedmiotach; naprzód ostateczności, po-tem nareście jasne widzenie prawdy. Oczerniliśmy i oddepohnęli naprzód widmo grobowe, dziś przyci-skamy trupa do piersi, kto wie jutro może nareście,

jak należy po synowsku powitały mogiłę modlitwą i łzami. A nie przyjdzie nam ów wizerunek ukochany ani przez usta zfrancuziałego pana, ani przez pióro młodzika, który zadanie potężne ma sobie za igraszkę i pisze po studencku ćwiczenia na dane tema, ale z piersi człowieka, co szczerze i pobożnie ukochał to, co ma odwzorować, wniknął myślą w tajnie przeszłości, i będzie czekał aż nań duch zstąpi z góry.

Nie tak to też łatwo powiedzieć sobie: przedstawię to życie lub skłamię pismo pradziada; nie rozumem tu ślęczyć, nie samą badać pracą, ale natchnieniem odgadnąć, prawdziwą miłością do tego uświęcić się potrzeba. Nie sztukmistrzem będzie ów poeta ale apostołem, nie artystą ale wieszczem.

Widziemy codziennie najzdolniejszych ludzi, zapatrujących się w głąb dziejów i wynoszących z tego grobowca kości, łachmany tylko, proch mogilny i zgniliznę. Nie przemówi pismo, nie wstaną trupy, nie rozjaśnią się martwe głoski, póki ich wiara i miłość nie zakną. Nikt dotąd nie wyspiewał formuły zaklęcia, nikt się godnym nie stał mieć je zesłaniem z nieba. Historycy, otoczeni faktami, śledzą nie umiając ich powiązać i spojść rozprzężone, silą się, niecierpliwiają, zestawiają, kleją, a wciąż ro-

bota się rozpada i żyć nie chce. Bo nikt niema wiary i ducha, bo nikt zmarłemu nie powiedział jeszcze: Wstań i idź. Ale też na to siły potrzeba nie ziemskiej i nie tej w jaką wierzymy, lecz innej, którą żyje co żywe, która przychodzi z góry, która jest nagrodą, ubłogosławieniem, potęgą.

I tu zakończyć musimy tem cośmy już powiedzieli wyżej: wielki artysta i mistrz winien być wprzód wielkim człowiekiem, wielkim sercem, czynem i cnotą... Nie odtworzy przeszłości kto się nie stał godnym, by jasno w nią spojrzeć; klejonki to będą i sztuczki, nie żywe twory; ażeby żywy strumień popłynął, trzeba źródło oczyścić.

Nie dosyć samej pracy choćby najmozolniejszej, nie dosyć miłości kraju częściej i w słowach zamkniętej, potrzeba miłości czynnej, trzeba czystości życia, surowości dla siebie a pobłażania dla bliźniego, trzeba słowem cnoty, a cnota to genjusz...

Za lekko w ogólności bierzemy dotąd wszystko co czyniemy.

Ani systematyczne oczernienie, ani absolutne uwielbienie, nie starczą, żadna formułka nie da recepty na odtworzenie przeszłości, trzeba się jej uczyć i odgadnąć ją zarazem, a do tego bez uspo-

sobienia, bez wewnętrznego udoskonalenia i oczyszczenia nie dójdziemy.

Gdy wybije dojrzałości godzina, nagle oświeci nas promień z góry, przewidzą oczy, pękną zasłony i to co wiekiem trudu niezdożytem było, w chwili ujrzymy całe, wielkie, pełne, odrodzone. Stańmy się tylko objawienia godni, a przyjdzie objawienie.

Dnia 15 Marca.  
1856.





**III.**

**DZIENNIKARSTWO.**



**Z**e zjawisk, które nas otaczają w świecie umysłowym nie niema godniejszego uwagi pilnej, nad wzrost i stan dzisiejszy dziennikarstwa. Biorę ten wyraz w najobszerniejszem znaczeniu i usuwając na stronę politykę, która do innej sfery należy, chcę tu mówić tylko o części literackiej, i wpływie jaki rozwój jej wywiera na właściwą literaturę.

Wpływ ten już zawczasu osądzono i okrzyknięto szkodliwym, i jak niektórzy zastarzali nieprzyjaciele wszelkiego postępu protestują przeciwko kolejom i parze, tak drudzy wołają na poniżenie i zepsucie literatury przez dziennikarstwo, które ją w codziennego boju ściągnęło szranki. Tymczasem potrzebie wieku czyniąc zadosyć, dzienniki wszystkie, nie tylko za granicą ale i u nas także, wielką część kolumn swych przeznaczyły na literaturę, i pojawiając się w życiu społeczne, którego świadectwem jest każde pismo perjodyczne, nie pełnem by się wydało, gdyby

je dziś ograniczono polityką, umysłowy ruch spisują, rejestrują, sądzą jak inne fenomena.

Od stu nie spełna lat dopiero, liczyć można w Europie żywsze rozwinięcie się tego, co już właściwie dziennikarstwem nazywać się może, gdyż poprzednie gazety i zbiory były słabem nasionkiem tylko, w którym trwał zaród przyszłości, zaledwie jeszcze młode puszczający listeczki. Wypadki które we Francji zakończyły wiek XVIII, oprócz innych skutków, do dziś dnia widomych, dały potężny popęd piśmiennictwu perjodycznemu, szczególnie w wydziale polityki. Zrazu literatura nie miała prawie miejsca w gazetach, lub była lekkim tylko dodatkiem, zakąską po obiedzie; dziś stopniowo je uzyskawszy, zajmuje miejsce ważne i niemal stanowi całą wartość pism niektórych. We Francji prócz innych, dziennik *la Presse*, nabywaniem pism wyższej wartości i zamieszczaniem ich w odcinku, najwięcej rozwinął zastosowanie literatury do dziennikarstwa, chociaż przed nim inne gazety zapełniały coraz powiększający się format płodami nowszych pisarzy. Rozmaite fazy przechodziła literatura w piśmiennictwie perjodycznem, to nad miarę je zajmując, to wyganiana, to nadużywająca miejsca które pozyskała. Odzywały się i odzywają głosy za i przeciwko niej, wysmiewano odcinek

powieściowy przedłużający się, wymyślający zakończenia dziwaczne dla obudzenia zajęcia. Niektóre dzienniki musiały romans ze szpalt swych wyrzucić, zastąpiono go pamiętnikami, podróżami i sprawozdaniami, i dotąd gazety nie jasno jeszcze wiedzą, jaki mogą i powinny dać literaturze udział, i jak ją zastosować do codziennego użycia.

Zadanie to zarówno za granicą jak u nas nierozwiązane praktycznie, teoretycznie nawet rozpoznawaniem nie było. Ciekawem zdaje się nam, spróbować przynajmniej zastanowienia nad niem, szczególnie z powodu pism naszych, których los tyle nas obchodzi, a tak ściśle z przyszłością naszą jest związany.

Jakie jest w ogólności zadanie pisma periodycznego? Zda mi się, że ono ma za cel jasno nam przed oczy postawić żywot nasz własny, w miarę jak się on rozwija, wypowiedzieć nam jego odgadnięte znaczenie, myśl jego, nareście zarazem kierować nim ku dobremu, uprzedzać napotykaną trudności, przygotowywać do ich rozwiązywania, zapobiedz krokowi nieopatrznyemu, skierowaniu szkodliwemu, i zapisywać historją dzień po dniu szczegółową, drobnostkową, gromadząc materiał dziejowy.

Ażeby tym wymaganiom odpowiedzieć w sposób,

był **dziennik**, zszyty z tysiąca fenomenów powszednich i mnóstwa odrębnych faktów, nie był bezmyślnym zbiorowiskiem okruszyn życia, workiem łachmanów i zszywaną błędą lub zszarzaną, pierwszym zda mi się warunkiem: myśl jedna główna, duch jeden, dążność, któraby pierwiastki tak różnorodne w jedno ciało i organiczny mikrokosmos przerobiła. Pismo które niema przed oczyma zadania, barwy własnej i celu, a chce być tylko zimnym rejestrem wypadków, spisem wczorajszych trupów, zdjętych z pobojowiska, nigdy nie zajmie ludzi i nie potrafi utrzymać się przy życiu. Jeżeli w czem, to w najdrobniejszym piśmie perjodycznym gwałtownie potrzeba jedności celu i ducha, spójni, któraby ujęła w całość najdziwniej z natury swej rozprężone żywioły codziennego życia, fakta z najrozmaitszej dziedziny, przychodzące na oko bez logicznego związku, a jednak dla bystrzejszego badacza następujące po sobie ze ścisłością konieczności.

Jako objaw i świadectwo żywota, pismo perjodyczne nie może sobie z góry zakreślać planu co do udziału który mieć w niem muszą literatura, sztuki, krytyka, przemysł itp. Wiernym będąc tłumaczem tego co na świecie się dzieje, musi ono stosować się do wypadków i w miarę rozwoju śledzić go i

tłumaczyć. Każde zaprzątnienie mniejsze lub większe społeczności jednym z zagadnień wiekowych, zaraz się powinno w odpowiednich swej ważności rozmiarach odbić w zwierciadle dziennikarskiem.

Ale chłodnym regestratorem wypadków nie będzie sprawozdawca, owszem najpierwszem jego powołaniem i obowiązkiem jest, dać faktom myśl ich i znaczenie, wyłożyć dążność i następstwa każdego, pojąć go jaśniej, lepiej, silniej i wskazać skutki, jakie logicznie następować po nim muszą.

Ztąd chwile w dziennikarstwie szczególnie gorącym dnia zaprzątnieniom poświęcone; dziś literatura, jutro przemysł, to znowu zagadnienia ekonomiczne, to objawy życia praktycznego przyjdą z kolei pod skalpel anatomisty, a dziennik musi być gotowym wszystkie te zagadnienia rozstrzygnąć i zadosyć uczynić potrzebom chwili.

Nie może to być sprawą jednego człowieka, który przy najwielostronniejszym ukształceniu, niewystarczyłby kompetentnie codzien nowym, nawijającym się pytaniom, potrzebującym specjalnego usposobienia. Ztąd zaraz dziennikarstwo stawi się w charakterze spółki ludzi, związanych myślą jedną, i w tem nosi piętno wieku, który inagurował wszelkiego rodzaju spółki i stowarzyszenia. Największa trudność



jest w tem właśnie spojeniu ludzi myślą, dążnością jedną i zespoleniu ich aż do zaparcia się indywidualności swojej. Uczuło to dziennikarstwo francuzko-angielskie instynktowo, wszelkie w dziennikach politycznych artykuły rozpraw umieszczając od dawna bez podpisów, jakby były dziełem zbiorowem redakcji. A gdy nowa władza we Francji zbyt kowi szkodliwej sobie siły gazet zaradzić umyśliła, nie znalazła dzielniejszego środka nad wymaganie podpisów pod każdym z osobna artykułem, który przez to staje się od razu nie owej spółki ale jednego człowieka opinią indywidualną, i traci na powadze i znaczeniu.

To zjednoczenie intelligencji potężnych w jedną idealną jakąś całość, wzmocnienie się przymierzem z zaparciem imienia, cechy indywidualnej, osobistości, to skierowanie władz wszystkich do jednego celu, stanowi właśnie główną cechę prassy dziennikarskiej, jest dźwignią jej, w niem cała jego przyszłość.. spoczywa. Fenomen ten nowy zupełnie w świecie umysłowym i wielkich w sobie następstw, zbudowany na ofierze i zaparciu, przypomina nam pierwotne ludów epopeje i pieśni, po których imię twórców nas nie doszło, które są czynem i wyrazem całej epoki i narodu. Ale co tam czyniło się z

nieświadomością o sobie, to się tu robi z pojęciem zupełnem znaczenia takiego faktu, jego siły i wpływu jaki wywierać powinien.

Z tej strony uważane dziennikarstwo najwięcej zastanawia badacza i daje mu do razu kryterium niechybne do rozpoznania wartości i stanu dzisiejszych pism, wskazując razem prawdopodobne na tej drodze rozwinięcie w przyszłości. Dziennikarstwo jak widzimy z tego określenia, jest zespoleniem sił ludzkich dla dania moralnego kierunku objawom życia i dania o niem świadectwa, zespoleniem ludzi w jedną całość idealną z ofiarą i zaparciem siebie. Gdzie tych cech niema, gdzie nie znajdujemy jedności redakcji, myśli wiążącej wszystko, gdzie każda indywidualność samolubnie przegląda i wypiera się na przód, gdzie gazeta widocznie mozaiką i zszywaną się przedstawia, a między częściami jej niema odpowiedzialności i takiego stosunku jaki postrzegamy w życiu, które ma przedstawiać, tam jeszcze dziennikarstwo nie pojęło się i nie stanęło na stopniu, do którego dójść powinno.

We spółce redakcyjnej najgłówniej przebija się duch wieku i jawny symptom, który wszędzie i we wszystkich sferach powołuje ludzi do związania się w braterski snopek kłosów, do Bożego żniwa.

Na nieszczęście to co piszemy, dziś tylko *piadesideria*; my szczególnie pochwalić się nie możemy wcale pojęciem znaczenia, wielkości i przyszłych losów dziennikarstwa. Rzut oka na to co się u nas dzieje, okazałby najlepiej w jakim jeszcze jesteśmy odmiecie. Jedni na wydawnictwie gazety budują swe nadzieje chleba powszedniego, drudzy sławy, inni znaczenia, wreszcie każdy chce być po dziecinnemu *ze swoim na wierzchu*, i dzienniki w których ducha niedopatrzysz, kłócą się nie o opinie i pojęcia, ale jak pojedynczy ludzie, o fraszki, które ich gdzieś na bruku miejskim podrażniły.

Mięsza się do tego i spekulacja, która z dzienników robi proste zadania dochodów i powszedniego chleba, i to podobno najsmutniejsza, bo pragnienie zysku sprzedaje się dla grosza do ostatka. Ażeby temu zaradzić, niema innego środka, nad ten, który tu pobieżnie tylko napomknę, to jest, urządzenie gazet takie, by żadna z nich własnością pojedynczego człowieka nie była, ale pod względem materialnym jak umysłowym stała się spółką akcjonariuszów, równe a małe części w stowarzyszeniu posiadających.

Ktoś powiada i dowodzi że ludzie zebrani w gromadę głupieją. Niewiem o ile to prawda, ale to

pewna, że w kupie spotęgowuje się tylko to, co jest w indywiduach w zarodku, i gromada dudków, naturalnie uolbrzymi osobistą członków głupotę. Zre-sztą ci tylko co nieprzywykli do społecznego żywo-ta, tracą zbierając się do kupy, jedni przez wrodzoną nieśmiałość, drudzy przez słabość, inni przez dumę wstrzymując się od czynnego udziału, naginając swe zdania lub gardząc ich objawieniem i walki o nie się obawiając, ludzie zaś ze społecznym i groma-dnym żywotem oswojeni, nie mogą w nim nie na-brać nowych sił żywotnych, ale i do tego potrzeba pracy i przygotowania. Na pierwszy raz nie jeden sparaliżowany zostanie chaosem, w który go rzuca. Poznasz przeznaczonych i usposobionych do życia tego ludzi po przenikliwości z jaką szukać będą mię-dzy sobą punktów zetknięcia i zgody, nie zaś roz-strojów, różnic i powodów do sporu i walki. Umy-sły skłonne nawet do paradoxu, ale jaśniej i dalej od drugich sięgające potęgą wzroku, jak skoro ma-ją w sobie społecznego ducha, zstąpić potrafią na stanowisko wspólne im z innemi, by z niego dźwi-gnąć później innych ku swojemu sposobowi wi-dzenia.

Zadaniem więc dziennikarstwa, wprowadzenie nowego żywiołu, to jest abstrakcyjnej, potężnej, ide-

alnej jednostki, stworzonej z grona ludzi, wyrzekających się siebie, by być częścią wielkiej całości. Widziemy więc jak trudne i wielkie, jak rzadkich wymaga ofiar, bo niema tu nikogo ktoby czegoś poświęcić nie musiał, dla nadania nowej siły tej całości, ktoby się zapierać siebie co chwila nie był obowiązany, to tylko dając czego odeń potrzebują. Zarazem spółka ta tak spojna przedstawiać sobą musi jakąś dążność, jakiś odłam, jedną stronę, jedną opinią społeczności, być celem spotęgowania potrzeby, pragnienia, kierunku... Dziennik który nic nie przedstawia prócz źle połączonych z sobą jednostek, właściwie niema życia, jest trupem po którym chodzi robactwo.

Trudność zadania już się tu widzi na oko. Jak zebrać ludzi, którzyby się wyrzekli swych osobistości, nie zapierając siły i nie stając bezwładnemi machinami, którzyby działali zgodnie w duchu miłości, stale w poczciwym a jednym celu, nie dając ani rozjątrzyć polemiką aż do zapoznania prawdy, ani występując nigdy ze szranków i nie wychodząc do walki na swoją rękę, ale zawsze bojując zastępem całym.

Jak w pierwszych wiekach i pierwszych wojnach sztuka wojskowa ograniczała się niemal walką

pojedynczych ludzi, a później dopiero wyrobił się pułk, szyk i idealna całość, *wojsko*, działające całemi massami; tak i w boju życia dziennikarstwo jest już zastępem, pułkiem bojowym idei, jedną całością nierozdzieloną choć złożoną z pojedynczych indywidualności, w czem, powtarzam, cała jego siła i przyszłość. Pytam się jakie by miał znaczenie dziennik, redagowany i pisany przez jednego człowieka? Przy największym talencie, próby tego rodzaju zawsze się nie udawały. *Balzac* począł tylko swoją *Revue* i porzucić ją musiał. *Alfons Karr*, pełen dowcipu człowiek, trzymał się lat kilka ze swemi *Osami* i umilkł od znużenia, które uczuł w czytających i w sobie. Żaden olbrzym nie zastąpi wojska.

Chociaż porównania czasem rzecz wyjaśniając, nigdy jej przecie nie dowodzą, użyte to przez nas dziennikarstwa do zastępu tak wiele ma w obu swych połowicach analogij, że moglibyśmy z mocy jego zastosować wprost do dziennikarstwa pravidła sztuki wojennej. Na czele pułku wódz, to główny redaktor, naturalnie najzdatniejszy i najdoświadczeńszy strategik, który sam nie walczy, ale kieruje tą wojną, sam wiedzący jasno o obrotach kolumny i ich celu, dalej mniejsi oddziałowi dowódcy, stojący pod jego bezpośredniemi rozkazami, na ostatek prosty

żołnierz, który w sercu nosi sprawę swoją, wie za co i dla czego się bije i poświęca, ale obronę idei powierzył wodzowi, i zaufał naczelnikowi swojemu, a teraz ślepo posłusznym mu być musi...

Jak wojsko, złożone z płatnego najemnika, nie jest nie warte, tak redakcja, zbierana groszem, nigdy nie osiągnie celu; pojedyncze ciury pobiegną za łupem, rozsypią się po stronach, i za pierwszym uderzeniem nieprzyjaciela zakasawszy poły, pozmykają w krzaki. Toż samo z najętym a nie powołanym ducha pracownikiem w dziennikarstwie, który szuka własnego wprzód zarobku przy ogólnej sprawie, którego przekupi dobre słowo, zastraszy łada kula, zniechęci przeciągłe czuwanie, znuży wręcz posłuszeństwo i ofiara bez przekonania. Już tedy widzimy jak się do tego szyku dziennikarskiego sposobić, kogo doń werbować, i jak z przyjętymi postąpić.

Po wojskowemu jeden mundur dla wszystkich, jeden duch w piersi wszystkiego żołnierza, ale i wódz na czele jeden być musi, wola sterująca na czele jedna, kierunek z dłoni jednej płynąć musi. Wyszedszy z szeregu wszyscy tu bracia i towarzysze broni, ale na placu posłuszeństwo i karność największa. Ażeby z tej wielości ludu uczynić jednego idealnego człowieka, mającego siłę wszystkich, zdol-

ności pojedynczych a słabości żadnej, trzeba ofiar bez końca, dobrej woli i poświęcenia. A jaka trudność to, dobyć z każdego co w niem najlepsze, gdy przeciwnie najłatwiej na wierzch wypływa co jest najmniej dobre, najsilniej miota co najszkodliwsze.

Zdaje mi się, że w ten sposób uważając dziennikarstwo, rozjaśnia się nam już powołanie jego i środki jakich użyć powinno, by celowi odpowiedzieć. Stanowisko jakie dziennik pozyskuje sobie, zawsze najdokładniej równa się jego wartości, i niem ocenić możemy w danej chwili, każde perjodycznej literatury zjawisko. Na pracy jednego człowieka łatwiej się omyli sąd ogółu, dziennik, dzieło spółki, rychlej przemówi jakąś stroną swoją do czytających, obudzi gwałtowne oburzenie które czasem bywa oznaką tylko silnego działania, lub zaskarbi sobie stałe współczucie w tych, których dusznym odpowiada potrzebom.

Spółeczność czuje instyktowo potrzeby wieku, boleje na ogólną jakąś endemiczną chorobę, szuka na nią lekarstwa, i ma przeczucia tego co ją uzdrowić może.

Pismo które odpowiada jednej z potrzeb czasowych, znajdzie zawsze współczucie, podparcie a



ogółu, i zaczerpnie w niem siły nowe; nie mające zaś ducha, nie jasno widzące cel przed sobą, nie odpowiadające powołaniu swemu, przy największych wysiłkach, drażniących ciekawość tylko, karmiących przysmakami, upaść musi. Niekiedy wywiązuje się walka między przekonaniami i tendencją ogólną a kierunkiem pisma, naówczas zwycięża siła moralna, potęga woli i żywioł, mający w sobie więcej życia i młodości... Nie zawsze na nieszczęście dostępujemy prawdy i dobra do razu, drogi do nich dziwne są, lecz nie bez celu wytłumaczyła je opatrność, błędy nawet bywają owocowe, a Bóg umie na suchem drzewie wyprowadzić liść i kwiaty. Nie zawsze wie człowiek do czego dąży, bo chłop strzela a Bóg kule nosi, ale dla tego chłop strzelać powinien, ufny że pocziwie posłana kula do dobrego trafi celu.

Siłą dziennikarstwa jest także nieustanność jego działania, i w świecie moralnym cierpliwe kowanie jak kropla w kamieniu, ślad nareście zostawia. Dziennik staje się towarzyszem człowieka nierozłącznym, oczy nawykają patrzeć przezeń, zaślubiamy jego miłość i wstręty, wcielamy się w jego losy, zespola nas z nim wkrótce związek, który im powolniej się zawiera, tem dłużej trwać obiecuje..

Jeśli wielki jest wpływ obcowania ciągłego człowieka z człowiekiem, niewiem czy nie silniejszy dziennika na czytelnika... Książka przychodzi i zapominamy o niej, dziennik w jednym redagowany duchu, rozstrzygający wszystkie zadania bieżące, niejako oszczędzający nam pracy myślenia i poszukiwania, staje się powoli sędzią i wyrocznią, w którą gnuśnie wierzyć przywykamy. Ogromny ztąd wpływ dziennikarstwa ocenić łatwo, nie wiele jest umysłów energicznych i samoistnych, któreby w ostatku nie poddały się tak nieprzerwanemu działaniu, odnawiającemu się codziennie. O ile dziennik zbawienną być może dźwignią, o tyle najszkodliwszem znowu narzędziem w złych rękach. Siła jego dwojako uciśka, to jest siłą grona ludzi, przedstawiających sobą jednego człowieka, i siłą nieustającą, w ciągłym ruchu, bez spoczynku. Samo zadanie przedstawienia życia we wszystkich jego objawach także nadaje mu nową, znajdujemy go wszędzie przed sobą, czujnego stróża, nimeśmy przedmiot dostrzedz mogli już tłumaczącego nam zjawisko i jego następstwa. Nie dziw więc, że najpilniejszej uwagi wszystkich wymaga dziennikarstwo, które jest nową i tak wielką potęgą, że wzdrygamy się na myśl złożenia takiego powołania w ręce niepoświęcone, na przypuszcze-

nie spekulacji, któraby exploatowała nie już kieszenie, mniejsza, ale serca i głowy ludzkie.

Dziennik z tego stanowiska widziany, jest nową szkołą, otwartą dla wszelkiego wieku ludzi, pilno więc trzeba patrzeć kto w niej mistrzem: Platon czy sofisci?.. Nastajemy na tę niezmierną ważność i znaczenie perjodycznego piśmiennictwa, abyśmy okazali że nie łatwą jest rzeczą mieć w niej udział, cóż dopiero powierzony kierunek?..

Pojedynczy pracownik który się do tego pług zaprzęże, już w chwili gdy włożył jarzmo, przestaje należeć do siebie i od siebie zależeć, musi zmyć z siebie co go wyróżnia, indywidualizuje i odcechowywa, a stać się jedną nogą słonia, jak komparsy którzy go przedstawiają w teatrze... Ale to ofiara dobrowolna i lekką być musi, bo człowiek szuka do zlania się w całość, tego co go pociąga, czyni poświęcenie dla zasad i przekonania, a jeśli by się zaprzedał, bez wiary dziś temu, jutro drugiemu poślubiając najsprzeczniesze opinie, do niczego się nie zdał, mimo największego talentu. Sceptycyzm jest jak piżmo, ukryć się z nim niepodobna, czuć go wszędzie.

Największy dar Boży, dar słowa, dar rozumowania, siła logiczna i dialektyczna, nie potrafią za-

stąpić niedostającego ducha, innej to sfery czynnik, którego próżni nic nie zaleje... Wyda się zawsze zubożniały lub przewrotny przy największej do kłamstwa zręczności, rozum go nie pochwyci zrazu, ale serce przeczuje i wskaże.

Znaliśmy w literaturze nawet naszej, ludzi bez idei i przekonania, przywiązujących się do tego co im zasmakowało na dobie; w ich dziełach było wszystko co tylko pociągnąć może, co wpływ wywierać powinno, co przekonywa i chwyta, a jednak nie sprawiły wrażenia trwałego, i jak zwietrzały napój, ledwie w usta wzięte, odepchnięte zostały na stronę..... Jak po człowieku poznasz przy dłuższem z nim obcowaniu, (poczujesz raczej) szczerotę jego i duszę, tak w piśmie chłód lub ciepło wieją wedle tego co ono w sobie zawiera. Komedja może się udać na chwilę, ale nie omami na długo, nigdy na zawsze.

Jak różne są w każdym narodzie, w niemal każdej chwili jego rozwoju, popędy, różnostronne przekonania stronnictw na które się dzieli, pragnienia i nadzieje grup, cząstek, stanów itp. tak też dziennikarstwo jednolitem i monotonnem być nie może. Jeden organ życia bez polemiki bez boju i walki, byłby najpewniejszym zwiastunem śmierci lub

zdrętwienia. Gdzie niema ścierania się zdań, gdzie obumarła panuje zgoda, lub zobojętnienia panują, tam już niema lub niema jeszcze przyszłości. Ale polemika nie powinna i nie może być szermierstwem pojedynczych żołnierzy, harcem średniowiecznych kucpek rycerzy błędnych, tylko bojem zastępów w sprawie ogólnej.

Każdy dziennik by żył, musi wyrażać sobą jakąś dążność społeczeństwa, jakąś stronę jego życia. Nie narzekajmy więc na bój i spory rozdzielające dziennikarstwo w sprawie literatury i sztuki, na ścieranie się wyobrażeń i opinii różnych, ale owszem błogosławmy tym objawom życia, bez których niema dla dzienników przeszłości, niema w nich tętna, krwi i barwy. Umarli tylko o nic się nie troszczą i tego nawet kawałka ziemi, na której gniją obronić nie potrafią; żywym przystało nie obojętnie znośić co ich przekonaniu przeciwne, ale do ostatka walczyć w raz poślubionej sprawie.

Spójrzmyż teraz bezstronnym okiem, z uwagą na stan dziennikarstwa naszego i przymierzmy do wymagań naszych choć może zawczesnych to co dziś istnieje, nie zapominając o okolicznościach ubocznych które wolę ograniczając, nie spełna to czynić dozwalają, cobyśmy chcieli i mogli. Jaki jest w te-

rażniejszej chwili bezstronnie sądząc stan dziennikarstwa naszego, i na przyszłość dla niego nadzieje? To najlepiej okaże przebieżenie głównych organów naszej prasy perjodycznej, o których tylko powiemy ile nam do rozjaśnienia przedmiotu potrzeba.

Na czele, słusznie tu postawić należy, najlepszy z dzienników w języku naszym wychodzących, świeżo *Dodatkiem* literackim zbogacony i codziennie wziętości nabywający *Czas* krakowski. Omijamy w nim dział polityki, redagowany najlepiej i wymaganiom chwilowym odpowiednio; przechodzimy od razu do odcinka literackiego i korespondencji tyczących się tyłu prowincyj, które *Czas* głównie ma przedstawiać. Plan świeżo od nowego roku przyłączonego *dodatku*, wypełnia dobrze zakres jaki musimy działalności dziennika naznaczyć, przedtem jednak *Czas*, wyborny jako gazeta polityczna, (niedopytujemy tu dążności; ale oceniamy materjalną pracę redakcji), stronę literacką miał niezmiernie słabą. Dwojakie tu zdaje mi się było zadanie, jedno stan umysłowy kraju przedstawić i skupić w sobie krytyczne o nim pojęcia, drugie na dalszy rozwój wpływać i zbogacać go tem; co zdrowego i silnego myśl ludzka zdobędzie w kraju lub za granicami jego.

To co tworzy pojedynczy człowiek lub pojed

dyńczy naród, nie jest wyłączną własnością ani jednego kąta, ani kraju, cały żywot umysłowy właśnie zawisł na wzajemnej zamianie idei i budzeniu się wzajemnem do życia. Jedną z najzdrowiej rozwiniętych w pismach Majorkiewicza zasad, była to idea zamiany pojęć i współnictwa prac całej ludzkości. Miał zupełną słuszość mówiąc: że bez naśladownictwa ślepego korzystać można i potrzeba, z tego co się gdziekolwiek wyrabia, a kraje które przestają być w związku ze światem, zasklepiają się w sobie i odpychają myśl ogólną ludzkości mówiącą do nich ustami braci, a wreszcie jak Chiny spuścić się muszą dobrowolnie do wiekuistego dzieciństwa.

Cała może tajemnica cywilizacji i postępu jest w pobratymstwie ludów i tym podziale pracy umysłowej, której każdy podejmuje część, a wszyscy z niej korzystają. Zostawmy naród dany o własnych siłach w spokoju, bez bodźca, czy nim jest wojna jak dawniej, czy jak dziś handel i koleje, opaszmy go murem, pozwólmy by swojej tylko słuchał pieśni i swoją powtarzał, a niebawnie Chiny z niego zrobimy.

Myśmy broniąc naszej indywidualności narodowej, stanowiącej cały skarb nasz i pozostałą spuściznę, aż do zbytku już posunęli podobno zasklepienie

się w sobie. Poprzestaliśmy na gospodarowaniu w domu i staliśmy się podobni do tego szlachcica który chciał mieć koniecznie wszystko domorosem a własnem, nie pił jeno miód ze swoich plastrów sycony, nie jadł tylko mięso ze swojej trzody, nie odziewał się tylko wyrobem lichym własnego warstwu, mogąc za grosz zarobiony mieć zamianę daleko taniej i nierównie lepsze.

Nie idzie za tem abyśmy sobą być przestali, i, uchowaj to Boże, ale potrzeba byśmy nie zardzewieli zaprzestawszy się dobrowolnie o ludzi ocierać. Obowiązkiem jest pierwszym każdego pisma czasowego stać na strażnicy idei i obwoływać jej zbliżenie się, a żadnej nie przespać, nie przesłepić, nie opuścić. Z tego co się czyni gdzie indziej, często wynika bodziec do tego co się u nas ma zrobić, myśl ludzka nieustannie potrzebuje być stymulowaną, by nie opadła na siłach, i nie usnęła w gnuśnym spoczynku.

Przypominam sobie że nam przed laty kilka donoszono jak o fenomenie niezwyčajnym, o uczniach egypcjancach, których rząd oddawał na studia do szkoły politechnicznej w Paryżu. Ci się w niej uczyli najpilniej, wyjeżdżali usposobieni jak najlepiej do kraju swojego, ale pobywszy w sferze nieuctwa



i barbarzyństwa, rychło przychodzili do najdziwniejszego zapomnienia o wszystkim, i wracali do stanu ździecinnienia z jakiego ich studja chwilowo dźwignęły. Zdziwiano się nad tem, ale po troszę i wszystkie ludy podobne są do tych egypcyjan, rdzawieją łatwo i prędko, jeśli wzajem nie ocucają się współzawodnictwem i spółką ciągłą myśli do żywota.

Dzienników najważniejszą missją, jakieśmy wyżej powiedzieli, nie schodząc ze strażnicy czuwać i być sprawozdawcami ogólnego ruchu, wszechstronnego postępu czy rozwoju ludzkości. Uwielbienie dla wszystkiego co obce, niemoże tu mieć miejsca, a wszem stanowisko powinno być niezależne, własne swoje, sąd śmiały i nie dający się zaślepić mniemanej wyższości innych narodów; nikogo naśladować nie powinniśmy, ale wszystko znać i o wszystkim wiedzieć.

Tym wymaganiom *Czas* krakowski dotąd nie odpowiadał w pełni, i nie mógł im odpowiedzieć, co do literatury krajowej ograniczając się prowincją austrjacką i miastem austrjackiem, mało mającemi ruchu i życia, i spoczywającemi po boleśnych doznanych wstrząśnieniach, a za mało zwracając uwagi na inne kraje języka polskiego z którymi jednak związek i jedność są najważniejszą dla nas potrzebą

i koniecznością, bo nam daje siły, skupia nas, jednoczy i dopełnia jednych drugimi. Dawał tylko *Czas* krótkie ogłoszenia o nowo wyszłych dziełach, czasem krytyki, ale sprawozdania jedności ducha i celu wybitnego nie okazywały. Najczęściej, kto nie mógł gdzieindziej ostrego artykułu krytyki, odpowiedzi lub oceny wydrukować, ten ją posyłał do *Czasu*, a *Czas* ostatnia instancja, przyjmował je do szpał swoich. Ztąd brak jedności w tem wszystkim, niedostatek wybitnego kierunku i dążność nie jednaka. O jednych rzeczach za wiele bywało, o drugich za mało lub nie wcale, a tu i przemilczenie grzechem. Mnóstwo ważnych zjawisk pominięte zostały w sprawozdaniach dla braku referentów, wreszcie odcinek się sztukował wyimkami z podróży, różnaitościami, różnemi artykułkami, które nie bardzo ścisły związek między sobą kojarzył. Brak stale wyrobionego planu wszędzie się okazywał widocznie. Powiem to, że *Czas* pierwsze miał pole dozwolone do rozpraw najróżnorodniejszych w rzeczach literatury, niezależniejsze od innych położenie, że wychodził w miejscu jakoby neutralnem i niezawisłe stanowisko mającem od partij literackich, ale zostawszy organem w razach tylko rozpacznych i wyjątkowych, żadnego też stronnictwa nie był wyrazem i żadnej

koterji organem, co mu dawało barwę bezstronności zarazem i farbowało go z kolei rozmaitemi kolorami; jednakże nie wyrobił sobie stanowiska odrębnego, wyższego, niezależnego, dominującego, o które mu było łatwo.

Sądźmy że dzisiejszy *dodatek*, spełni żądania nasze i pismo to uczyni rzeczywiście czem być może i powinno; owszem sama potrzeba tego *dodatku* i myśl jego teraz powzięta, przekonywa że uznano niedostatecznym *Czasu* rozwinięcie i zakres. Pierwsze numera jak najlepiej wróżą. Widzimy tu pojęcie i drugiej potrzeby, wyrażające się w listach z za granicy. Bodajby tylko te listy były czem być powinny, nie plotką i czczą gadaniną, dowcipne w rodzaju zabawnego pajaca *J. Le-Com'ta* nie lekkim feljetonikiem, ale istotną, charakterystyką krajów, z których przychodzą, napiętnowane ich życiem odrębnem i tem, co w niem jest istotnie żywiołowego. Niech w nich i życie towarzyskie i ruch umysłowy i literatura i nauki i ekonomiczne kwestje i przemysłowe postępy uwydatniają się, ale pojęte ze stanowiska naszego, z punktu potrzeb naszych. Zwiążmy na nowo węzeł łączący nas z Europą całą w spójnością umysłowego życia, węzeł przez czas niejakiś tak nieszczęśliwie stargany, którego pęknięcie,

w ostatekch XVIII wieku, postawiło nas na zafanem stanowisku zapomnianej placówki średnich wieków (sentinelle perdue). Drudzy już byli poszli daleko naprzód, pochodem w stepy przeznaczone na zaludnienie przyszłością, a myśmy z wysokiej mogiły patrzali jeszcze na nieprzyjaciela, który dawno gdzieś spruchniał i nie był już niebezpiecznym... Ztąd w XVIII w. to gwałtowne znów rzucenie się do nowości po wygłodzeniu, ztąd później jeszcze aż do dziś dnia zwrot sprzeczny ku staremu i swojskiemu, a daj Boże, jutro może, znajdziemy nareście miejsce nasze w tym pochodzie, nam przez opatrność wyznaczone i pójdziemy z processją ludów dalej ku nieznaney przyszłości.

Nieustannie by to powtarzać potrzeba, dla przekonania o tej prawdzie, że sobą będąc powinniśmy nie odrywać się od ludzkości, życiem umyślnie odrębnem, zasklepieniem w sobie. Weźmy w tę pielgrzymkę Bogi swoje, garść ziemi naszej za nadrę, weźmy łzy i pragnienia i tęsknotę i dłonie do pracy, ale idźmy i nie zostawajmy od szeregów. A gdy kierunek w pustyni będzie mylny, gdy się nam zda że błądziemy z drugimi, będziemy mieli prawo zawołać i stanąć do rady i posłuchać głosu i swój dać także. Odosobnieni od karawany strzeźmy się,

by nas jaka barbarzyńska horda szcztupła garścią idących w niewolę nie zaprzęła, nie pożarły szakale, nie wymorzył głód i nie zasypały piaski pustyni.

Odbiegliśmy od przedmiotu, czas do niego powrócić. Korespondencje z zagranicy które *dodatek Czasu* mieścić zaczyna, jako pisma krajowe są niezmiernie ważną rzeczą, tylko dotąd źle pojętą i nieosobliwie wykonywaną. Z prowincji do gazet pisane listy donoszą, nie o życiu społecznem, nie o faktach któreby je charakteryzować mogły, ale o drobnostkach małej wagi, lub spowiadają się z wrażeń własnych i nie odpowiadają celowi; zagraniczne karmią ciekawość próżną, nie wywiązując się z zadania, którem jest oświecenie nas o wszystkim co istotnie stanowi życie wszechstronnie pojęte. Nie dosyć podsłuchać szmerów ulicznych, choć i w nich głos się przebija którym gardzić nie należy, potrzeba zajrzeć do akademij, do ksiąg nowo-wychodzących, do księgarni, do teatrów, do towarzystw literackich, do kółek przemysłowych, do bursy i tak się z tego wywiązać jak naprzykład korespondent londyński *Revue Britannique*, który w formie lekkiej daje wyborną treść żywota stolicy w Brytanij, i przewodniczącego w niej życia krajowi. Nikomu by łatwiej nie przyszło dać dobry przykład innym pi-

smom, jak *Czasowi*, który ma środki po temu i położenie przyjazne. Stawiać *Czas* na czele, wkładamy nań razem z temi, którzy zewsząd oczekują tego po nim, obowiązek przewodniczenia całemu polskiemu dziennikarstwu, powagą, sumieniem, treścią, myślą, duchem i redakcją.

Wiele jednak do tego potrzeba przyczynić i wiele by jeszcze ująć należało, że o innych nie wspomnę. Tygodnik warszawski jest skandalem i słabizną, nieodpowiednią wartości pisma; coraz cieńszy, codzień mniej znaczący, zawala niepotrzebnie drogę. Nie pomaga to, że się odważy niekiedy na maluczką osób krytykę, na przycinek chcący być złośliwym, do którego śmiałości mu dodaje dość zresztą przezroczyta bezimiennosc, zdradzająca się co chwila stylem kurjerkowym, a po-za satyryka wygląda panegirzysta powszechny, kronikarz gar-kuchni i registrator falban u sukni balowych. Nie takiego z Warszawy korespondenta potrzebuje *Czas*, i nie z tego stanowiska powinienby się zapatrywać na to miasto, w którym jest jeszcze tyle i tak pięknych objawów. Nie zawadzi i tu surowe słowo prawdy, ale ten co je wyrzeczce, winien mieć do tego charakterem i talentem nadane sobie prawo.

Dobre są czasem, acz krótkie, artykuły o teatrze

w kroniczce Czasu, i na lepsze by w piśmie miejsce zasługiwały, dobre bo szczere, nieoglądające się na osoby, ze znajomością warunków sztuki pisane, i wszędzie wybitne myślą uczciwą, przychylną, ale nicoglądającą się gdy trzeba powiedzieć prawdę. W tej kroniczce także często jeden z członków redakcyj, z wielką swobodą daje w kilku słowach trafne sądy o wypadkach bieżących, szczególniejszym tycząc się Krakowa, a w ogóle ilekroć kronika nie jest zajęta suchym jakim wypisem statystycznym, biografją lub powtórzeniem z gazet obcych, bardzo zawsze dobra i żywa...

Tak jak dziś jest „Czas”, szczególniejszym co do części politycznej stanąć może na równi z sławioną *Independance Belge*, jeżeli jej nie przechodzi, korespondentów ma licznych i wyborowych, redakcją czujną i nic mu życzyć nie trzeba, nad rozwijanie się stopniowe i ciągle z tego, co dziś już w nim jest, rozwijanie się którego rękojmą sam tegoroczny *dodatek* daje...

Ani wątpić że wypełniając się stanie jak *Times* angielski, na czele dziennikarstwa naszego, czego mu z serca życzymy.

*Gazeta poznańska*, ledwie obok niego godna wzmianki, jest zszywanina bezmyślna, dająca smutne

wyobrażenie o prowincji którą ma przedstawiać, kraj ten nie dawno jeszcze tyle mający życia tak obumarł, tak zobojętniał i zastygł iż nie do wiary! W miejscu Roku, Przeglądu, Orędownika, Tygodnika, jedna dziś gazeta, wlokąca się koleją wybitą, smutnie i kulawo... resztę zastępują już pisma niemieckie i obojętność polska...

*Gazeta lwowska* już jest lepszą i staranniej redagowaną. Polityka zapewne dla tych, co się nią zajmują jest aż do zbytku rozciąglą, zamiast odcinku literackiego są przy niej *Rozmaitości* redagowane aby zbyć i z samych tłumaczeń złożone, wedle starej tradycji, do nich zajrzeć trudno, tak tam cicho i pusto. Lepsze już są *dodatki*, mieszczące w sobie od niejakiemu czasu to opisy pomników starych Lwowa, to spis rycin zbioru Ossolińskich, to dokumenta, tyczące się przeszłości, nadania i przywileje miast i wiosek, wręście rozprawy o bycie włościan itp. Ale, ile te artykuły odpowiadają celowi i naturze *Gazety* łatwo osądzić; wszystko to coby gdzieindziej w jakim zbiorze materiałów bardzo było pożądanem, dziwnie się wydaje w piśmie czasowem którego przeznaczeniem spisywać dzieje bieżącego życia i żywotne podnosić kwestje. *Przeszłość* nie byłaby



tu nie w miejscu, ale suchy materiał niewiedzieć jaką gra rolę.

Smutny to dowód braku życia, gdzie się do takiego rejestrowania przeszłości uciekać potrzeba; jednak już i to lepsze niż liche tłumaczenia powiastek, których mało kto czyta, a dobrze nawet że na nie czasu nie marnują. Gazecie lwowskiej życzyć potrzeba żeby Dodatek ten i Rozmaitości zbiwszy w jedno, zupełnie plan swej historyczno-literackiej części przetworzyć mogła, starając się więcej brać udziału w ruchu i życiu współczesnem prowincji. Łatwo by o to, zdaje mi się, we Lwowie, przy Instytucie Ossolińskich i doborze ludzi zdatnych, którzyby chętnie do tej reformy się przyczynili. Sądzę że koszta jakie byza sobą pociągnęła, łatwo by się nagrodziły.

Zresztą pierwszym celem pisma, wychodzącego na prowincji i przedstawiającego jakąś część kraju, jest *primo loco*: reprezentować sobą ten ziemi naszej krąg, którego jest organem. W Galicji budzi się życie, i talentów znakomitych nie braknie. Pisarze ci, zebrawszy się w grono, mogą pismo, nieustępujące naszym najlepszym, wydawać i zasilać je sami. Z dnia na dzień mamy prawo spodziewać się po Galicji dowodów rozwoju życia, które w niej co chwila widoczniej się budzi.

Przechodząc do nas, począć bym powinien od *Kurjera* dawniej *litewskiego*, dziś *wileńskiego* tylko, którego Redaktora imię tak korzystnie uprzedza, ale *Kurjer*, choć w ręku A. E. Odyńca, znakomitego poety, jest kartką czysto-politycznej tylko treści, i suchym z innych gazet wypisem, nie już własnego niema. Po nim idzie starszeństwem wieku *Tygodnik petersburgski*, który miał lata sławy, wziętości i życia, lecz dziś także stał się zupełnie martwą kroniką urzędowych ogłoszeń i treściwą gazetą polityczną. Rzadkie w nim sprawozdanie o koncercie, artykułik *Mikros* podpisany lub coś z nauk przyrodzonych, przypomina że na ich miejscu coś innego bywało i być mogło. Odstąpili go współpracownicy, zestarzał, opuścił się, i żyje sobie zgrzybiały staruszek jak najmniej zajmując sobą, w głębokiej ciszy i pokoju....

Co tu powiedzieć o redakcji, której nawet nie widać? Smutno tylko westchnąć musimy nad nie-szczęsnem prawem starzenia i upadku, ale czyżby jeszcze młodsza krew w żyłach tych popłynąć nie mogła?

W Warszawie wychodzące pisma czasowe, niektóre tylko część literacką w sobie zawierają i o tych

wyłącznie mówić będziemy, a naprzód o najstarszej *Gazecie warszawskiej*.

Niezaprzeczenie jest to pismo najobfitsze w artykuły zajmujące, odcinkami bogate, nie oszczędzające nic dla ściągnięcia ku sobie ludzi, którzy się mu zdają potrzebni, kształcące się widocznie, podnoszące i ulepszające coraz, ale, jest ale. Pomimo jednej a stałej dążności, która się w *Gazecie* przebija zawsze, jeszcze by jej zarzucić można brak skupienia w redakcji, brak wybitnej jednej woli i kierunku. Nadto tu indywidualności odrębnych, by się z nich całość jednolita utworzyć mogła. *Gazeta* pierwsza w kraju pojęła potrzebę korespondencji z prowincji, na którąśmy zawsze nastawali, ale dotąd nie z winy jej, raczej przez niepojęcie zadania przez korespondentów, cel nie został osiągnięty. Redakcja szanuje zdanie każdego korespondenta i współpracownika, zresztą w odcinku zostawia im pole bez kontroli, i przez to nie jest tak jedną i całą jakby być powinna.

Wiele tu jest jeszcze do zrobienia i udoskonalenia; korespondencje z zagranicy dopiero się rozpoczynają, sądzić o nich trudno, ale nieodzownie były potrzebne. Zwrócić musimy wręście baczne oko na to co się dzieje w świecie naukowym i literackim i regularne sprawozdania z postępów wszelkiego ro-

dzaju upewnić. Z drugiej strony w Rosji wychodzi mnóstwo pism, dotyczących się dziejów naszych prowincji, wymagających byśmy o nich wiedzieli, a w potrzebie sąd o nich wypowiedzieli z naszego stanowiska, życzliwy ale bezstronny. Literatura rossyjska stoi dotąd tak odrębnie, tak nam mało znana i omijana z jakąś obawą, że dla obu stron wynikają ztąd szkody wielkie. W świecie umysłowej pracy i powszechnego braterstwa inaczej by się dziać powinno. Na nieszczęście wiele na to ubocznych wpływa okoliczności i porozumieć się trudno. Literatura rossyjska ma sobie do wyrzucenia obojętność jaką zawsze dla nas okazywała i lekceważenie, my w nich niejaką znajdujemy dla siebie wymówkę, choć równie jesteśmy winni.

Nasze położenie jest takie, że moglibyśmy szczególnie od wznioślejszych w Rosji umysłów, od ludzi pracy i myśli wymagać i oczekiwać raczej sympatji i przyjacielskiej dłoni, zachęty i pobudki do bliższego zapoznania, niżeli obojętności i wstretu. My tu pierwsi wystąpić nie możemy, przyzwoliciej by było wyciągnąć do nas rękę, której by nieodrzucano. Tymczasem literaci rossyjscy zaledwie pojmują że my możemy mieć jakieś prawo mówić i pisać językiem jaki nam Bóg dał, w któremeśmy

się urodzili, który tak dla nas jest drogi jak rossjanom ich własny, prawo święte i nienaruszone; za ledwie chcą przypuścić że możemy się chlubić literaturą naszą, i słusznie nam przystoi nazwać się starszą w słowiańszczyźnie bracią, małą Grecją obok większego Rzymu. Jak dalece drogo ceniąc swoje prawa, zapominać można o ich zastosowaniu dla drugich, mamy ciągle dowody w literaturze rosyjskiej, szydersko i niechętnie względem nas i względem małowrossjan występującej, chociaż nie jesteśmy zbiegami z ich obozu, ale mamy zupełne prawo pozostać przy swoim. Ale długie jeszcze zapewne miną lata, nim tu jakiegokolwiek zbliżenie nastąpi, zbyt jeszcze wiele mamy uprzedzeń z obustron, na zbyt wiele wspomnień bolesnych, a samo dotknięcie tego przedmiotu drażliwe a niebezpieczne, zamilczmy więc i zostawmy to Bogu i przyszłości...

Pobratymstwo pochodzenia języka, rodu, dotąd u Słowian wcale nie pociągnęło za sobą zbliżenia i tej wzajemności literackiej o jakiej pisał Kollar, rzecz to nawet zbliżka zważywszy, nie podobna, bo każdy ma słuszne powody sobą pozostać i w sobie się wyrabiać, a o zlaniu się mowy być nie może bez niesprawiedliwości i boleści. Ale poznać się bliżej i wzajem wspierać współczuciem, obowiązek...

Po Gazecie Warszawskiej, która jest na drodze postępu i zapewne z niej zejść nie zechce, coraz się wypełniając i pragnąc udoskonalić, następuje *Codzienna*. Reforma jej datuje jak innych od założenia *Dziennika* przez Hr. Henr. Rzewuskiego, gdy niebezpiecznem współzawodnictwem zagrożone warszawskie pisma periodyczne, musiały o sobie pomyśleć nie żartem, i starannie wejrzały w redakcją. Wraz z Gazetą Warszawską, *Codzienna* poczęła się troszczyć o polepszenie części literackiej, o wartość jej wewnętrzną i zastosowanie do słusznych wymagań swoich czytelników.

Dzisiejsi jej nabywcy i sterownicy nie oszczędzają starań, aby się zrównała ze współzawodnikami i wiele tu już dobrego uczyniono na tej drodze. Acz bez charakteru wybitnego, *Codzienna* odznacza się krytykami Lewestama, człowieka z niezaprzeżonym talentem i bezstronnością sądu, sprawozdania-  
mi archeologicznymi, redakcją czujną i dosyć jednolitą. Odcinek w niej zapełniają powieści nawet dosyć długie, choć początkowy plan słusznie do drobnych szkiców ograniczać je zamierzał; i tu współubieganie się o lepszą z Gazetą Warszawską, całkiem niepotrzebne się nam widzi. Właśnie by to, różnostronniejszą i pełniejszą uczynić mogło Gazetę;

Codzienną, gdyby się śmiało otrząsała z nałogu innych pism periodycznych, zapelnienia kolumn wielotomowemi dziełami, a poświęciła odcinek sprawozdaniom bieżącym, kronice, archeologii, krytyce i podróżom, doniesieniom naukowym z zagranicy i t. p. Wreście powieść można by korzystnie zastąpić podróżami nowemi, zwłaszcza z niemieckiego i angielskiego przekładanemi, których takie mnóstwo wychodzi, całkowicie u nas nieznanym. Czujne spisywanie wszystkiego, co się za granicą ukazuje dzieł naukowych, historycznych, publikacji artystycznych, dramatycznych utworów i t.p. dało by tej gazecie specjalność potrzebną u nas, i uczyniłoby ją wielce zajmującą. Garnęli by się czytelnicy, którzy nic prawie o nowościach nie wiedzą, a przeglądy zagraniczne, *dwóch światów*, *paryski*, *angielski Pichota*, *współczesny*, dostarczyłby materiału do sprawozdań, gdyby już własnych zabrakło.

Usiłując śledzić ruch literatury i być w tej gałęzi o ile możności pełną, Gazeta wyrobiłaby sobie stanowisko użyteczne, odrębne i całkiem nowe.

Odwagi tylko brakuje do radykalnej reformy, zbyt się trzymamy rutyny gotowej, i straszno nam z niej wychodzić, chociaż *audaces fortuna juvat*, a tchórze za piecem nigdy nic nie zrobią. Iść za

Gazetą Warszawską, za Dziennikiem, być tylko powtórzeniem błędem obu tych pism, zawsze gorzej, niż choćby z pracą usiłować sobie pozyskać miejsce nowe i nie zajęte. Trzeba być sobą nie cieśniakiem. Dotego dąży zdaje mi się Gazeta Codzienna, usiłowania widoczne, ale nie dosyć stanowcze, nie dość śmiałe, a gdy pomyśli serjo o reformie i przedsięwzięmie ją, może i drugich za sobą poprowadzić.

*Dziennik Warszawski* w historii perjodycznego piśmiennictwa ważne zajmuje miejsce, jemu danem było obudzić do ruchu i pracy, i przez lat kilka tyle przechodzić kolei i taką spowodować reformę w dziennikarstwie, iż od daty jego powstania nową liczyć będziemy epokę. Dziś to już dla wszystkich widoczną prawdą, której zaprzeczać się nie godzi. W pierwszej chwili rzuciła się ku niemu zaciekawiona i wiele spodziewająca publiczność, tak że Gazety inne o los swój zadrzały i musiały pomyśleć, aby się prześcignąć nie dały. Plan dziennika obiecywał zrazu pismo katolickie, szlacheckie, konserwacyjne, to stanowiło jego ducha i dążność; nieszczęśliwy krok jeden i kilka słów niebacznych odraziły nagle, wzbudzając wstręt i nieufność, od razu spadł z ogromnej liczby początkowej prenumeratorów na



bardzo maluzką i odtąd jeszcze podźwignąć się nie mógł. Z przykładowym wytrwaniem Dziennik wychodził i walczył przeciw uprzedzeniu lat kilka, dziś dopiero w nowych rękach, pod nowym tytułem: *Kroniki*, odrodzony, zreformowany, rozpoczyna życie nowe, zdaje się pod najlepszą wróżbą. Już to co od nowego roku widzimy, dobrą nam nadal czyni nadzieję rozwoju i postępu. Pismo to podniesie się niezawodnie i skupiwszy w sobie kilka różnorodnych talentów, pociągając ludzi nowych, czuwając około ogólnej redakcji, stanie się jednym z najlepszych u nas. Nowa epoka dziennika zbyt jest jeszcze świeżo poczętą, a nazbyt wielkie dzielą ją od przeszłych losów, (jak sądzimy) różnice, byśmy tu cokolwiek, z przeszłości wróżąc na przyszłość, powiedzieć mogli, lub z tego co już uczyniono, chcieli wnioskować.

Z czysto literackich pism czasowych, nie mamy nic prócz *Nowin* lwowskich, które tu do nas nie dochodzą, i zastępującej resztę Biblioteki Warszawskiej, o której tyle tylko powiemy, że trudno w danym położeniu i okolicznościach więcej i inaczej zrobić, nad to co uczyniła. Jest to jedyny nasz przegląd, który zawierać w sobie musi bez względu

na całość, co tylko gdzie się w kraju wypracuje naukowego i literackiego.

Ztąd często niestała barwa jego, to raz zbyt wyłącznie literacka, to znów zbyt sucho naukowa, całe poemata obok ogromnych rozpraw o prawie hypotecznem i sukcesji, ornitologia i materiały historyczne surowe, filozofia i mineralogia, dramat i geografia...! Nie obwiniamy o to bynajmniej redakcją Biblioteki Warszawskiej, której pierwszym obowiązkiem dawać schronienie wszelkiej uczciwej i pożytecznej pracy, inaczej zaginąć mogącej; ale niemniej tak jak ona dziś jest, wiele naturalnie pozostawia do życzenia. Pierwsza: żeby niebyła samą i podzielić się mogła na dwoje, to jest na pismo czysto naukowe i zbiór perjodyczny literacki. Ale któż znowu u nas naukowej treści publikacją czytać i prenumerować zechce, i jak się ona utrzymać potrafi, czem zapłacić? Widzimy więc że Biblioteka mimo zarzutów jakie jej czynić można, nie jest w stanie odmienić swej treści i planu redakcji. Ważniejszą wymówką nie dość baczne śledzenie literatury krajowej, nie dosyć regularne z niej sprawozdania i rozbiory, w których często wielkie są przerwy i opuszczenia. I na to by coś przecie zaradzić można, powierzając jednemu z członków redakcji no-

dzaj, choćby pobieżnej literackiej kroniki, skupiając w sobie miesięcznie lub kwartalnie wiadomości i sąd o tem wszystkim co u nas wychodzi. Świeżo wprowadzona kronika zagraniczna, widać że odpowiedziała potrzebie czasowej, gdyż ją przyjęto z po-  
 błażaniem i współczuciem, chociaż bardzo zką-  
 inąd nie spojną, nie dostateczną i nazbyt już wy-  
 ciągami z przeglądów i gazet zapełnioną. Kronika  
 ta wszakże jaka jest, zawsze użyteczna, daje nadzieję  
 że się z niej wyrobi coś samoistniejszego, gdy się  
 wprawi i wdroży do tej pracy autor jeszcze z nią  
 nieoswojony. Może w tym rodzaju krajowy przegląd  
 wcale by nie był do odrzucenia. Oprócz tego pa-  
 ryski korespondent nie może obejmować ogółu fa-  
 któw świata literackiego, potrzeba by równem pra-  
 wem, niemieckiego, angielskiego, włoskiego i ros-  
 syjskiego. Dopiero wiązka takich sprawozdań wta-  
 jemniczyła by nas w to, co się na świecie dzieje, a  
 cośmy wiedzieć powinni, by się od świata nazbyt  
 w naszym zagonie zapatrzywszy, nie zostać.

Ale aż nadto oceniać umiemy pocziwe chęci  
 i wytrwałą pracę i poświęcenie tych, których gorli-  
 wością trzyma się jedno u nas w kraju pismo zbio-  
 rowe, literacko-naukowe, byśmy od nich za wiele  
 nad siły wymagać mogli. Wiemy że to co oni czy-

nią, jest już i tak szlachetnym wysiłkiem i pełnem zasługi dziełem, niech więc nieustają tylko, a gdy przyjdzie chwila ulepszeń możliwych, pewni jesteśmy że ich nie zaspia. Miło nam tu, imiona tych ludzi którym kraj winien tak wytrwałą i ważną publikacją wymienić, a na ich czele hr. Leona Łubieńskiego. Każdy rok istnienia Biblioteki w takich jakich ona egzystuje warunkach, nowy im wieniec uplata; obok redaktora K. W. Wojcickiego, A. Ty-szyńskiego, Szabrańskiego, dwóch pp. Kurców, Zielińskiego, Majewskiego, Goltza wspomnieć tu potrzeba, że innych nie mniej ceniąc pominiemy, aby tego szeregu imion nie zwiększać. Niepotrzebujemy ich zachęcać do wytrwałości, której dali dowody w ciężkich chwilach przesilenia, życzymy tylko pomysłności, postępu i gdy okoliczności dozwolą, dalszego rozwinięcia w duchu i myśli pierwiastkowej.

Dnia 25go marca  
1856.



IV.

**SZTUKA DRAMATYCZNA  
W POLSCE.**



**D**la czego w Polsce nie rozwinęła się literatura dramatyczna i co spowodowało w środku XVII wieku zupełny jej upadek, z którego się podźwignąć nie może aż dotąd, pomimo pełnych zasługi i talentu usiłowań cząstkowych? ważnem zda mi się pytaniem.

Najlepiej je wyjaśniają fakta, które z pracowitością sobie właściwą zebrał K. W. Wojcicki (*Teatr starożytny w Polsce. Warszawa 1841, tomów dwa*), ale zaprzątńiony szczegółami i likiem drobnostek, na całość oka niezwrócił i znaczenia jej nie wyłożył.

Przedstawienie żywe wypadków przeszłych, prawdziwych czy wymyślonych, udanie czynności i odtworzenie sztuczne z natury samej człowieka urodzić się wszędzie musiało, nim je w regularne kluby ujęto i do obrzędów religijnych, pamiątkowych, do obchodów pogrzebowych i weselnych przywiązano. Z wpa-



trzenia się w ludzi widziemy jak z nich niektórzy popęd mają do ciągłego odtwarzania tego co słyszeli lub widzieli, jak łącno ku temu dodają swoje, powiększają, zdobią, obcinają i instynktowo małe tworzą dramata. W położeniach znowu wyjątkowych wielkiej boleści, rozpaczy, śpiew się wyrывa z piersi i mowa układa w formy dramatyczne; monolog zjawia się tu u łoża konającego męża, u kolebki dziecięcia. Na pogrzebach widzimy niemal u wszystkich ludów najemne płaczki, narzekalnice, i rodzaj małego dramatu przy stosie i mogile. U Słowian przy weselach, na tryznach pogrzebowych, pierwsze zarody naturalne dramatu już się ukazują. Mamy ślady tej swadziebnej, religijnej komedij w nazwaniach družbów, starostów, podkomorznych, a szczególnie państwa młodej księżną i księżciem. Cały ten zakrój wygląda na dramat, a w niektórych miejscowościach pozostały sceny tradycyjne przy przybyciu narzeczonego, porywaniu młodej, witaniu jej przez świekre i t. p. Również wnosić możemy że owe gonitwy i tryzny przy stosach z płaczkami, były rodzajem religijnych dramatów. W niektórych okolicach Rusi naszej mamy jeszcze święto *Kusta* (wiosny), z występującą w niem dziewczyną, przystrojoną w zieloność i stosownemi pieśniami; tu wspomnieć

także należy topienie śmierci i inne tego rodzaju sceny. —

W pieśniach ludowych także spotykamy złomki jakby dramatycznych obrzędowych przedstawień, w których występowały postacie legendowe. Znać z tego wszystkiego że Słowianie i Litwa mieli takie same powołanie do sztuki dramatycznej jak inne ludy, że początki jej zeszyły i na naszym zagonie, ale je nieprzyjazny wpływ okoliczności przygłuszył.

Z wprowadzeniem wiary chrześcijańskiej, duchowieństwo usiłując lud nawracać, na miejsce w pogaństwie używanych ceremonij, starało się wszędzie zaprowadzać inne, mające znaczenie religijne. Kościoły wszędzie budowano na posadach świątyn, ba nawet oczyściwszy i pobłogosławiwszy kontyny, w nich odprawiano nabożeństwo, poświęcano smętarze, starano się, niechcąc walczyć z starodawnymi obyczajami, opromienić je tylko znaczeniem religijnem, oczyścić, nie zmuszając do porzucenia tego, czego człowiek najtrudniej się zawsze wyrzeka. Tak w weselnych ceremoniach, w pogrzebowych, pozostawiano do czego był lud przywykły, wytrzebiając pogańskie, zabobonne i gusłarskie ceremonje, a pozwalając tych które niewinnie potrzebę natury ludzkiej zaspokajały, lub symbolizowały stan duszy, napojonej tęsknotą. Zatrzy-

mały się więc owe dramata topienia śmierci, obchody Zielonych Świąt (Kusta), którym imię u nas dane z pogańskiego świata przyszło, płaczki pogrzebowe, kawałki weselne, pukanie do chat, pytania, odpowiedzi, wychodzenie uroczyste świekry, korowaj który był plackiem ofiarnym i t. p. Do tych dramatycznych początków kościoł przydał a raczej tolerował dodanie równie lub więcej zajmujących scen religijnych, które lud prosty widowiskiem nocnym niejako wielkich scen, od których się zaczęło zbawienie, pociągały i nawracały. Tak wszędzie i u nas odegrywano szczególnie w święta uroczyste małe dramata narodzenia Zbawiciela, potem dialogi o męce Pańskiej, niekiedy obszerniejsze i z wystawą niepospolitą, na smętarzach przed kościołami, w kruchtach samych kościołów, po ulicach i rynkach. Z tego wszystkiego później wyradzające się nadużycia, nieposzanowanie świętości miejsca, szaly, zmusiły zwierzchność duchowną do zakazania przedstawień religijnych.

Pozostała z niej jedna szopka i jasełka o Bożem Narodzeniu oprowadzane po domach, małe teatrzyk ludowy, obok którego jeszcze kilka figur żywych świadczą do dziś dnia o prastarym zwyczaju dramatycznych przedstawień; koń, koza zwłaszcza,

cygan, żebrak, żyd, wójt i t.p. towarzyszą jasełkom po wsi. Niekiedy z prawdziwym dowcipem pokazujący szopkę przemawia w imieniu tych lalek, do których przybyły i przybywają coraz nowe, ale z nich jeszcze i tradycyjne odwieczne nie znikły.

W szopce, którą poprzedza gwiazda, przypominająca tę jaka prowadziła trzech królów do żłobka narodzonego Zbawiciela, jest zarazem zaród wielkiego dramatu i komedij. Dzieli się ona na dwie części; w górnej ustawione figurki przedstawiają Matkę Bożą z dzieciąciem w pieluszkach, Józefa świętego o kiju, pasterzy, wołu, osiołka, czasem trzech królów ofiarujących dary panu panów, narodzonemu w żłobie. Poniżej lub powyżej w drugim kompartmentcie odegrywa się *Intermedjum*, które zawsze rozpoczyna król Herodus ze śmiercią i djabełm. Po nim najrozmaitsze występują figury, typy niejako całej dawnej polskiej ziemi; na przedzie szlachcie i jego żona, Ukrainiec kozak, Niemczyk kuso ubrany, Krakowiak, Góral, Mazur i t. p. czasem biedny wieśniak i pan Sołtys. Diabeł i śmierć do każdej przyplątają się sceny; nie karą doczesną rozwiązują się krótkie dialogi w których nadużycia i występki silna fantazja ludu cechuje rysy dobitnymi, ale sprawiedliwością Bożą i sądem pośmiertnym. Żyd i żydówka, po

nich czarownica bijąca masło, zarówno z Herodem idą do piekła, gdy im wprzód kosą śmierć głowy pościna. Na samym ostatku zwykle występuje dziadek kościelny z workiem na kiju i dzwonkiem po kweście do łaskawych słuchaczy, który mu co dać raczy. Niekiedy mowca dwoma różnemi głosami odzywający się z za jasełek, z prawdziwym talentem i werwą odbywa swoją powinność i budzi śmiech szczerzy dowcipem dobitnym, w którym nie brak łatwych alluzji do terażniejszości.

Całość tych przedstawień ma w sobie coś wielce fantastycznego i zajmującego, nieraz żywiej się rozwijając nad naśladowane z francuzkiego komedijki, odegrywane na naszej scenie.

Szopka sama po niektórych kościołach, w kaplicach osobnych, dotąd jeszcze bywa wystawianą, a kolebkę Zbawiciela starodawnym obyczajem kołyszą pobożni. Znać z tąd że i dramat dawniej odegrywał się w kościele jak inne Mysterja, ale go władza duchowna wygnąć z tąd musiała. Pieśni niektóre kolędowe prześliczne i życia pełne są resztkami tych obrzędów zapomnianych, tak jak śpiewane dotąd *Gorżkie żale*, obłamkiem dramatu wielkiego tygodnia.

Pierwsze kronikarskie wspomnienie o teatrze

cytuje nam p. Maciejowski, a za nim Wojcicki z Kadłubka, który, powiadają, wzmiankuje iż po śmierci Kazimierza Sprawiedliwego, stroskani panowie zabawiali się stosownym do położenia swego dialogiem, z powodu zgonu nieodżałowanego króla przedstawionym. Jednakże w Kadłubku nie widzę co by się tak tłumaczyć dało; wprawdzie przywodzi on przez siebie ułożony rodzaj dialogu, ale mowy tam niema żeby go gdzie i dla kogo odegrywać miano; prosty to tylko wniosek wyciągnięty z treści tej poetycznej lukubracij, która w istocie dialogi późniejsze nam znane przypomina. Może być wręczcie że się tym dialogiem zabawiono, ale gdzie na to dowód, niewidzę wcale w kadłubkowej kronice. (*Histor. Kadłubk. Ed. Dobrom. 519.*)

W dialogu tym występuje naprzód Wesołość (*Jucunditas*) uskarżająca się dość wymuszoną mową nad śmiercią wybranego króla, z którym połączona była; mówi po niej równie wyszukanemi frazesami Smutek (*Maeror*), poczem Wesołość odzywa się do Swobody (*Libertas*), Swoboda także oplakuje zgon monarchy i znowu Smutek mówi do Wesołości, pocieszając ją; następnie *Prudentia* i *Justitia* rzecz kończą parafrazą. Ten dialog króciuchny, niezmiernie kunsztownie w smaku wieku, z konceptami i

dowcipowaniem wytwornem napisany, dla ludu nie mógł być przeznaczony, a i z panów niewiem czy by go wielu zrozumieli. Zdaje mi się że to prosta wstawka w kronice, w której więcej jest szkolarstwa i komentarzów nad rzeczą, niż rzeczy samej, rodzaj studenckiego ćwiczenia, gdy widocznie i całe dzieło dla młodzi uczącej się przeznaczonem było przedewszystkiem.

Ważniejszym śladem exystencji teatru w Polsce jest cytowany przez Wojcickiego także, list Papieża Innocentego III. do Henryka, arcybiskupa Gnieźnieńskiego, tyczący się igrzysk scenicznych, wyprawianych po kościołach. Odnosi się on nie wątpliwie do dialogów, granych w czasie wielkich świąt Narodzenia pańskiego i Zmartwychwstania, między którymi intermedja fantastyczne także wstawiane były. Widać z niego że aktorowie występowali postrojeni w maski dziwaczne (*monstra larvarum*), a często nawet byli niemi duchowni mniejszych święceń, klechowie, *clerus* (*diaconi, praesbyteri et subdiaconi*). List ten jednakże za szczególniejszy do Polski odnoszący się brany być nie powinien; był on, zda mi się, rodzajem okólnika do duchownych naczelników w Europie, gdyż wszędzie w onym czasie spotykamy toż samo nadużycie i podobne od władzy zastrzeże-

nia. Już koncylja w V w. i w VII zabraniały po kościołach maszkar, tańców i obchodów nieprzyzwolonych, weszłych we zwyczaj i przejętych z rzymskich saturnaliów. Wszędzie też diakoni, jak to widać z nazwania gdzieniegdzie zachowanego tych świątek (*Saturi Diaconi*), w rolach i dialogach występowali. Do XII wieku pomimo koncyljów i zakazów *Barbatoria*, *Kalendae*, *Festum Fatuorum* obchodzono prawie wszędzie i w Polsce też jak w innych krajach. Oprócz tego sprawiano igrzyska i dialogi po kościołach na Boże Narodzenie, na Ś. Szczepan, Ś. Jan, i Młodzianków z wyborem Opata lub Papieża *Fatuorum*, który zasiadał na stolicy od Obrzezania do Trzech króli. We Francji jak w Polsce władza duchowna silnie od XIII w, na te gorszące obrzędy powstawała; w liście więc Innocentego III nie widzimy dowodu wyłącznego Polsce zwyczaju, ale zakaz który powszechnie i po innych kościołach ogłaszać musiano.

P. Wojcicki z Maciejowskiego pamiętników, czyli też sam przywodzi także wzmiankę Długoszwą o teatrze z powodu śmierci Ludgardy (Lukerdy) żony Przemysława, Wielkopolskiego xiążęcia, jakoby z jego natchnienia przez dworzan i sługi zamordowanej. Ale i tu w zrozumieniu tekstu historyka



zaszła niedokładność; gdyż autorowie przywieźdzeni piszą jakoby na teatrach publicznych w oczy Przemysławowi odegrywano historją biednej żony jego; o czem inaczej wcale jest w Długoszu (*Lib. VII. 831. 832*). Oto słowa dziejopisa: *„Powiekszyła podejrzenie (na Przemysława) powstrzymana za śmierć Lukerdy zemsta, i zapewniona sprawcom niegodziwego zabójstwa bezkarność. Lecz publicznie do naszych czasów spiewane pieśni, wystawiały księżnę Lukierdę, gdy się już od męża na śmierć przeznaczoną przeczuwała, płacziwemi zaklinającą go modły, by niedozwalał życia odbierać kobiecie i żonie niewinnej, by jej dla bojaźni Bożej, dla czci małżeńskiej i sławy xiążęcego domu, dozwolił do rodziców powrócić, choćby w jednej ubogiej koszuli, ofiarując się umysłem pogodnym znieść los choćby najmizerniejszy, byle jej przy życiu pozostać dozwolono. Zbrodnię swą Przemysław xiążę sądził tajemną i wiecznem pokrytą milczeniem, z powodu niewielu współników i w cichości dopełnioną. Ale z Bożej woli, w publicznych i pospolitą mową wierszach, na swe pohańbienie słyssał ją opiewaną, co i do naszych jeszcze trwa czasów, i do dziś dnia spiewają o niej teatra.*“

Wzmianka ta więcej się odnosi jak widzimy

z tego, do czasów Długoszkowych; do XV wieku, ni-  
 żeli do końca XIII. Wątpię by jakikolwiek panujący,  
 najpowolniejszy nawet i najwięcej szanować umieją-  
 cy opinią ludu, pozwolił przed sobą publicznie spie-  
 wać cokolwiek bądź na pohańbienie swoje. Mogła  
 go pieśń spotkać gdzie trafem, ale mu jej umyślnie  
 w teatrze spiewać by nie śmiano.

Słowa te jednak Długoszkowe, równie jak przy-  
 wiedziony przez Wojcickiego Bielicki, i Wielkierze  
 krakowskie z XIV wieku, zaświadczają, że zabawy  
 dramatyczne w Polsce w wielkiem być musiały uży-  
 waniu po zamkach pańskich i miastach. Przy słu-  
 bach obyczajem na wpół niemieckim, pół starosła-  
 wiańskim występowali *Rimarii*, błazenkowie i inne  
 figury, zabawiające często nieprzystojnymi scenami  
 słuchaczy. W czasie świąt także obchodzili domy  
 żaczek z szopką i gwiazdą, muzykanci, śpiewacy,  
 dawali reprezentacje dialogowane jak i dzisiaj, ale to  
 zaprawdę nie dało początku dramatu, bo pozostało  
 czem było z razu. Sam teatr którego pierwiastki  
 widzimy z tych śladów, takimi właśnie jakimi  
 były w reszcie Europy, dla czego się u nas rozwi-  
 nąć nie mógł i świetniej nie rozpromienił, łatwo zda  
 mi się odgadnąć, wejrząwszy w stan wewnętrzny i  
 charakter kraju naszego.

Naprzód, Polska cała we wszystkim co czyniła nadto była szczerą, serdeczną i przejętą, by ją kiedy udawanie i sztuka wiele obchodzić i zabawiać mogły; dramat cokolwiek żywszy, przedstawiony na scenie brano zaraz do serca jako rzeczywistość i, jak to Pasek opisał, gotowi wnet byli widzowie strzelać do aktorów, reprezentujących nienawistne im postacie. Nie można było z taką publiką żartować.

Wiele też uczuć, czynności, myśli nadto szanowano, by ich dozwolono dotknąć w jakikolwiek sposób na deskach teatralnych, uczeni wstyd na to niepozwał. Gdzieindziej szydzić z miłostek było godziwym, u nas o nich mówić wstydział się każdy, a drugiemu je wysmiewać by nie dał tem bardziej; gdzieindziej drwiono swobodnie z oszukanych ojców i mężów, z pobitych niedołęgów, śmiano się z wykpiętych, kończono dramat przebaczeniem zdroźnościom i wadom, i lekko to sobie traktowano, u nas brano to wcale inaczej, poważniej, religijniej, sumiennie, śmierć i diabeł przychodzili na koniec z kosą i smołą dopominając się sprawiedliwości nawet nad lekkim rozpustnikiem, który innej zbrodni nad roztrwonienie życia własnego się nie dopuścił (*w Scylurusie*). Pewnych wyjątkowych położeń, słabych stron, sromotnych słabości człowieka dotknąć

nie śmiano, tem mniej je przedstawiać i do ich  
 exystencji się przyznawać.

Polacy brali życie daleko bardziej serjo niż in-  
 ni. We Fraszkach Kochanowskiego i innych tego  
 rodzaju żarcikach, które się w towarzystwie mężczyzn  
 powtarzały, po cichu, w gronku poufałym, mamy  
 jedyny przykład drwinek jakich sobie pozwalano  
 z życia potocznego. Ale niepowiem żeby te Fraszki  
 tłuste były owocem rodzimym naszego kraju, choć  
 coś w tym sposobie mają w sobie i piosenki ludo-  
 we. Inna rzecz była wręście pożartować i poba-  
 raszkować w kącie, między czterma ścianami z do-  
 brymi przyjaciółmi, a inna publicznie na teatrze, bo-  
 lesne strony życia, *vulnera vitae*, jak je zowie Lu-  
 krecjusz obnażać. Dramat i komedja zarówno, były  
 w Polsce niepodobieństwem, zwłaszcza zaś dramat  
 narodowy, własny i komedja rodzima. Tknąć świę-  
 tości arki domowej nikt by się nieośmielił, bo sza-  
 nowano tajniki dramatu tego, odegrywającego się  
 między człowiekiem a Bogiem i niepojmowano by,  
 z niego ręka zimna, świętokradzka zdejmować mo-  
 gła zasłonę. Miłość z wstydlivością niewieścią ukry-  
 wano jako skarb drogi, ani się jej ważono rozbie-  
 rać i nad nią sofistykować, dobadując się przyczyn i  
 natury uczucia, którego *pudor* niedozwalał obnażać

i chwalić się z niem lub popisywać przed światem. Kochano i u nas zaprawdę, ale tak święcie, tak cicho, tak wstydliwie, że miłość ta nigdzie się nie odbiła aż do XVIII wieku; chyba w wyjątkowych kilku przypadkach, gdy ją gwałtowność i rozpacz zdradziły. Stan ten społeczności naszej wyłączał zda mi się dramat i teatr z życia, w którym nań miejsca nie było, a dla sceny przedmiotu jaki by dotknąć mogła. Jedyne możliwe były dialogi, parafrazy religijne poważne, szopki intermedja przedstawujące niższe klasy społeczeństwa, i te też trwały ciągle. Nie tyle brak talentów i upodobania w teatrze ile obyczaje i pojęcia niedopuszczyły się rozwinąć teatrowi, i inne powody jeszcze, które zaraz wyliczym, wzrost jego zatamowały.

Jak tylko nawet ów prosty i skromny dialog, zabawa weselna, mieszczańska ucztą nazbyt się rozszalały, natychmiast wstrzymywano ich zapęd, wyganiając z kościołów i rynków, zabraniając wielkierzami zbytecznej swobody. Dramat i komedia nie miały przedmiotu żywego, któryby swobodnie dotknąć mogły i użyć za osnowę, tysiące względów i obaw stały na przeszkodzie.

Najznacniejszą postacią jakiej w czasach już późniejszych ośmielono się użyć na scenie, był Klecha,

kantor, dzwonnik, sołtys, i wieśniacy, żebrak, ciura wojskowy, wysmiany ów Albertus, lichy wojak wzięty od pulpitu i partesów. Rychlej byś zobaczył na deskach królów Izraela, aniołów i świętych, niżeli szlacheica, który czując się panującym, nikomu z siebie czynić nie dał pośmiewiska. Cóż dopiero rzec, gdyby szło o jego żonę, o dzieci o żywot domowy, te świętości i tajnie, które otaczała zasłona poszanowania i czci powszechniej.

Ani śmiać się z wad swoich, ani wywodzić na jaw krwawych i łzawych dramatów familijnych nie dozwoliby był szlacheic, i to by się stało z zuchwałemi aktorami, co z francuzami, reprezentującemi ową historją u pana Paska. Musiano się więc uciekać do przezwisk obcych, do fałszywych imion i krajów cudzych, jeśli wypadło coś swojego zaczepić z daleka a ostrożnie, jak naprzykład w Scylurusie, gdzie nie inne postacie, jeno Herkules, Parys i polski Diogenes występują. Nigdzie może człowiek wyżej godności swojej nie cenił i więcej o nią nie dbał, jak szlacheic polski. Żart przyjmował tylko od pana brata i to do pewnej miary; przekraczający granice wrywał szable z pochwę i krwią zmazywać się musiał.

Dodajmy do tego i inne jeszcze powody dla których dramat u nas nie mógł się nigdy rozwinąć

świetnie. Warunkiem jego niemal jest żywot w mieście i skupienie class cywilizowańszych w stolicach i głównych ogniskach, pomocą ku zamilowaniu w igrzyskach brak innego zajęcia.

U nas, jak to już nieraz słusznie uważano, żywot miejski nie stanowił ważniejszej części bytu narodowego, owszem cała siła była na wsi, wsią żyła Polska, nie miastem. Rozpierzchli obywatele pracowali każdy w około domowej zagrody, w promieniu zakreślonym posiadłością, wpływami, stosunkami familijnymi, urzędowaniem.

Do miasta jechał kto musiał, żył tu jak na popasie choć wystawnie i po pańsku, i uciekał skoro tylko mógł do domu. Mieszkać w miastach nie było we zwyczaju u szlachty; gromadziła się tu ludność napływowa, cudzoziemcy, rzemieślnicy, bezbarwne przybłędy, szukający losu kosmopolici, a ten aglomerat nigdy i nigdzie nie lubi i nie potrzebuje sztuki, ograniczając się najlichszymi jej surogatami. Teatr w Polsce żeby żyć, nie ustannie by był musiał na starym wózku greckim przejeżdżać się z kąta w kąt, widzów sobie szukając, gonić za targiem, odpustem i obozem. Stałego życia miejskiego nie było dla szlachty, która gospodarzyła na wsi własną głową i rękami, a nawet wyręczając się dru-

giemi, wolała swoją samowładność i niezależność domową, niż niewolnicze towarzyskie formy przy dworach i w towarzystwie miejskiem ją krępujące..

Zresztą dla nas dramat żywy odegrywał się gdzieindziej, w Siczy, na stepie, na granicach, na sejmikach i sejmach, na zagrożonych krańcach państwa, a przy gorącym zajęciu jakie wzbudzał, blade były przedstawienia sceniczne. Klasa główna w narodzie, rządząca i przewodnicząca mu, zbyt była zajęta, każdy jej członek nadto czynny, żeby na zabawy artystyczne stało jej czasu i ochoty; lubo było spocząć w domu po znojach urzędowych i wojennych, i złamanemu wojną, strudzonemu podróżą daleką, więcej smakował cichy komin domowy niż najciekawsze widowisko.

Dla tych wszystkich przyczyn literatura dramatyczna musiała pozostać w kolebce i teatr szlachecki, to jest taki, któryby dał pojęcie potrzeb i smaku najświetlejszej części narodu, nigdy się wyrobić nie mógł. Szlachcic wolał w chwili spoczynku sięgę poważną, pobożną, dzieje starożytne, rozprawy polityczne, diariusz Sejmu, który go żywo obchodził, bo na nim losy jego i przyszłość się rozstrzygała, a on miał też głos na nim jeśli nie sam, to przez



tego kogo nań delegował, niżeli za fraszkę i zabawkę nie ma! dziecinną uważany wówczas teatr.

Wszelkie objawy w historii teatru polskiego, jak to zaraz zobaczymy, potwierdzają najmocniej założenie nasze, i wyjaśniają dobitnie cośmy powiedzieli o przyczynach, krepujących nierozwinię sceny polskiej.

To co Siarczyński pisze o mniemanem powstaniu teatru religijnego u nas z opowiadań pątników czyli pielgrzymów, od miejsc świętych powracających, czystym jest domysłem, nieopartym na niczem i nie dosyć trafnym. Wątpię bardzo by się tak rzeczy dzieć mogły, jak je ten znakomity badacz sobie wystawia. Wracający, mówi on, z wędrowek do ziemi świętej, z Rzymu, z Kompostelli, z Loretu, nucili pieśni o świętych, o dziwach i t. p. Zbierały się gromady pielgrzymów po miastach i miasteczkach, i śpiewając przygrywali na kobzach. Płaszczki ich i kapelusze, okryte skorupami płazów, obrazkami świętych, różniły ich strój od innych. Wystawiano im podniesione miejsca na rynkach i smętarzach kościelnych; do śpiewów przydane migi, udawanie osób, rozmowy, tworzyły coś podobnego do sztuki teatralnej. Takie to jej początki!

Wątpię bardzo by z tego rodzaju improwizacji powstać co mogło. Pobożni pielgrzymi może dla

obfitych jałmużn wchodzili nieraz na podwyższenia i szeroko z nich kłamali o zamorskich krajach, ale cóż by się z tego urodzić miało, i po co innych szukać początków dramatu religijnego nad widoczne i jawne? W jaki sposób mogło się rozwinąć to opowiadanie pątników, chociażby we dwóch czy we trzech wzajem się podtrzymujących, nie pojmuję. Kiedy pielgrzymki stały się częstsze i łatwiejsze, teatr już exystował jakieśiny widzieli, a one go ani ożywiły ani odrodziły.

Publiczne teatra, o których Długosz wspomina z powodu pieśni o Lukierdzie, o których mówią ustawy synodalne zabraniające na nie uczęszczać duchownym w początku XV wieku, jakimi były, odgadnąć łatwo z tego, cośmy wyżej przywiedli. Bawiono na nich tańcami (*Choreis*), spiewano także pieśni jak naprzykład o Lukierdzie, odegrywano dialogi i intermedja pocieszne, wyśmiewano chłopka co syna po łacinie chciał uczyć, klechę z jego mizerją, pątnika, żołnierza, wyprowadzano gęsto diabłów i śmierć nieuchronnie rozwiązującą każdy węzeł, ale to wszystko formy artystycznej nie miało jeszcze, i było tylko mniej więcej dobrze ułożoną zabawką, szczególnie dla mieszczaństwa i gawiedzi przeznaczoną.

Może większego nieco znaczenia i powagi był dramat religijny, z powodu świąt różnych na rynkach, przy kościołach, po smętarzach grywany przez żaków, bursarzy, klechów, bo ten niejako składał część obrzędu i pobudzał do pobożności; ten też istotnie na baczniejszą zasługuje uwagę, bo w nim swobodnie nasze pojmowanie wiary, głęboką nią przejęcie i ukochanie dziejów świętych przyswojonych za własne i domowe się malują.

W XV wieku już być musiało mnóstwo dialogów na różne uroczystości potworzonych, których złomkami dziś jest jeszcze wiele pieśni kościelnych, bo z takich składał się dialog religijny. W początkach XVI wieku już się poczynają pisane pomniki, które lepiej o stanie sztuki sądzić pozwalają.

W 1500 r. wspomniany znajdujemy dialog Dominikański wielkotygodniowy, ten sam zapewne który i w r. 1555 odegrywano z kolei przez dni kilka od kwietniej niedzieli do wielkiej środy wieczór, rozpoczynający się wjazdem Chrystusowym do Jeruzalem, a kończący pogrzebem. Przedstawiał on żywo całą bolesną historją zdrady i męki Zbawiciela, ze wszystkimi wchodzącymi do niej postaciami, i zaprawdę świat piękniejszego nad ten nie widział, ani bardziej poruszającego dramatu. Czem tu sztu-

ka przy tej karcie purpurowej dziejów! Najsłabiej wystawiony dialog ów zajmować musiał i łyzy wyciskać. Podobny drugi dialog: o ścięciu św. Jana w 1553, wspomina także p. Wojcicki. Jakkolwiek nie foremne to być mogły próby, nieodstały one daleko od mysterjów podobnych, na teatrach Europy przedstawianych powszechnie; uczucia w nich wiele, fantazji ile przedmiot dopuszczał. Ta scena naprzykład, w której po zdradzie Judaszowej diabli przygotowują się pochwycić zdrajcę, szukając smoły którą by go napoili za żółć jaką on napoił mistrza, ten targ z chłopem o beczkę smoły, którą on wiezie do miasteczka, żywo a nagle przenoszą w świat codzienny, i odbijają od całości barwą wielce fantastyczną. Wiele tu zapewne wstawek, wodnistych parafraz, frazesów próżnych, nieumiejętności w wyrażaniu myśli dobitnem, ale czasem też dziwnej piękności i naiwności spotykają się miejsca, przejęte uczuciem głębokiem, chwytające za serce nie zrównaną prostotą. Wszędzie w tych dialogach dzieje zbawienia tak właśnie są odtworzone jak w flamandzkich obrazach, na tle współczesnem, w strojach nowych przeniesione niejako i zbliżone do nas; ale ten anachronizm dobrowolny, gdzieindziej rażący, tu dziwnie sprzyja pojęciu łatwiejszemu wypadków, przyswaja nam je, przybli-

ża, czyni własnością naszą. Niemogę tego wyrzucić owoczesnym dialogom, co im wielki wedle mnie wdzięk nadaje. Historia Zbawiciela traktowana jak dzisiejsza, jak wiekuiście przytomna i współczesna z boleścią, jaką świeżo zadana rana wyrywa, nie traci ale zyskuje. Spoufalenie to z postaciami świętymi, ma w sobie coś uroczo naiwnego... W pieśniach kolendowych naprzykład, które są niechybnie pozostałością jakiegoś dialogu Bożego Narodzenia, złożonego z kilku podobnych śpiewów, odmalowanie naszych pastuszków Stacha i Bartka u żłobu Pańskiego, jaką barwę nadaje, jak pełne świeżości, życia, wiejsko-wesołe, ochocze i rubaszne!

Do początku XVII w. w którym 1605. r. Maciejowski Bernard Biskup krakowski, dla urągowski różnowierców granie dialogów religijnych zakazać musiał, rozwijało się to swobodnie, i znać miało religijnego niemal obrzędu ważność, jak się z tej prohibicij okazuje; ale mało do nas doszło pomników w całości, czas je nielitościwie poniszczył. Od tego czasu musiano z dialogami uciec na prowincję, tam gdzie ich oko profanów nie zajrzało, bo złego wszystko gorszy, a w prostocie ducha wszystko na korzyść duszną pójść może.

Naturalnie że to zdanie losów dramatu religij-

nego na ręce wiejskiej gawiedzi, na dobre mu wyjść nie mogło; powtarzano stare dialogi ukradkowo, i reforma jedyne źródło, z którego mogło coś dla teatru wytrysnąć, zamuliła. Widziemy więc w jakich warunkach ciężkich, przy jakich okolicznościach teatr się w ciasnych szrankach obracał. Niewolno mu było dotknąć nic żywego, nie wolno wystawić nikogo, wyższa klasa nań nie patrzy, poeci też nie mają do niego ochoty, nareście i dramat religijny, dotąd swobodnie coraz szersze przybierający rozmiary, zatamowany rozkazem władzy duchownej a raczej szyderstwem protestantów, zanknięte ma usta, kryć się musi, i oglądać by nie dać broni w ręce nieprzyjacielowi wiary.

Obok teatru ludowego, dwór królewski i akademja zabawiają się łacińskim, niewiele od niego lepszym, ale w języku poważnym i wziętym, nie *vulgari sermone* lecz *idiomate latino*, pisany dla wybrańszej klasy i umysłów wykształceńszych. Te jednak igrzyska raczej są tryumfem mechaniki, sztuczek kuglarskich, dekoracji i popisem przepychu, niżeli dramatycznemi utworami. Takimi one były wszędzie po dworach monarszych Europy, przesadzano się w nich na stroje, na maszynerje, aparata, do których pretextem był przedmiot sztuki, i figury jej zresztą

podrzedne. Wychodziły one na scenę w pysznych ubiorach, wysuwały się w powietrzu, jechały na delfinach, przemówiły słów kilka i przygotowywały tylko czarodziejski jaki efekt dekoracji. Były to zabawki oczów więcej niż umysłu. Takiego rodzaju dramat: *Ulyssis prudentia in adversis*, w r. 1516 odegrano na zamku krakowskim w przytomności króla i królowej Barbary, i łatwo się domysleć jak bogaty to był przedmiot dla maszynisty i dekoratora, przeplatany łacińskimi dialogami, które służyły ni-by podpisy do wytłumaczenia odmian na scenie. Mało co później w Bursie Jeruzalem w Krakowie, odegrano także, z mniejszym zapewne kosztem i wystawą, sztukę niezbyt dla młodzieży, która w niej miała rolę, stosowną: *Judicium Paridis* (*Sąd Parysów*). Mistrz Stanisław z Łowicza, autor sztuki, w tytule drukowanego dialogu swego właśnie to samo zakreśliła zadanie, jakie później wziął autor polskiego Scylurusa, wystawienie obok siebie uosobionego żywota kontemplacyjnego, czynnego i rozpustnego. W dramacie tym występują obok historycznych postaci, obyczajem wieku, symboliczne; przy Jowiszu, Parysie, Ganimedesie, Palladzie, Junonie, Wenerze, Pittij, Bachusie, Helenie, Kupidynie i Menelausie; Prolog, Niezgoda, Życie rozwiązłe, Żywot czynny i

kontemplacyjny. To upodobanie w uosobnieniach, w symbolach, nie nam zresztą wyłącznie tylko jest właściwe, choć u nas najdłużej trwało; znajdujemy podobne figury w pierwiastkowych sztukach teatru francuskiego i hiszpańskiego. Ale tam rychlej dozwolono było uciec się do uosobień żywotniejszych, niż w Polsce, gdzie życia tknąć się nie godziło i musiano pozostać w sferze idealnych postaci.

W r. 1545 wydał po polsku Mikołaj Rej swój *Żywot Józefów*, parafrazę dramatyczną z pisma św. przypisaną królowej Węgierskiej Izabelli, na którą dla znaczenia autora w literaturze, pilniejszą zwrócić musimy uwagę.

Rej, przy niezaprzeczeniu potężnym talencie, był jednym z tych nieszczęśliwych ludzi, w których dziełach największe piękności obok najpospolitszych i chłodnych miejsc na przemiany przychodzą. Nieumiał pracować i do pracy nie był zdolny, jak to z pism jego wszystkich widać; w szczęśliwą chwilę natchnienia czasem złoto płynęło z pod piora, czasem struga nieczystych jakichś pomyjów, jeśli się tak powiedziec godzi, by lepiej go odmalować. Nie był to chłodny artysta, panujący nad sobą i swem dziełem, ale poeta i fantazista, genialny w danych godzinach, mierny częściej i pospolity. Dla tego tak



nieślychanie jest sobie nierówny; czasem wzniosły, żywy, plastyczny, naiwny, wzruszony, niekiedy chłodny, zawikłany, nieumiejący wykuć frazesu. *Quod scripsit, scripsit*, już ani mógł ani chciał poprawiać; cała tajemnica tego człowieka zawiera się w tej charakterystyce, bijącej z dzieł jego. Brak pierwiastkowego wykształcenia, nienawyknienie do pracy nad sobą, nieujęcie siebie, rodzaj życia w jakie go temperament pociągnął, przyczyniły się do uczynienia go mimo talentu, nie całym, nie pełnym, raczej improwizatorem często szczęśliwym, niż pisarzem co do formy i co do myśli.

W jasnej godzinie natchnienia, gdy mu płynie z serca to co uczuł głęboko, czego doznał, napatrzył się, co go wzruszyło, czem się przejął lub oburzył, zwłaszcza gdy rym go i miara nie pęta, w prozie szczególnie, bywa niezrównanej siły i żywotności pisarzem; ale tuż ochłodłszy, prawi oklepane rzeczy na zimno i rzuciwszy precz od siebie zapisane karty, już ich do ręki nie weźmie. Forma czasem u niego szczęśliwa, ale nad nią nie pracuje, częściej ułomna i nie powabna. Tak naprzykład w *Żywocie* pocziwego człowieka są miejsca, za wzory stylu potężnego i obrazowania służyć mogące, w poezjach zaś niedarowane słabości i niepoprawności.

Toż w Żywocie Józefowym o którym mówić mamy, Rej w nim parafrazuje tylko wierszem nie zbyt szczęśliwym, historją pisma świętego na dialogi rozłożoną, czasem trafi na coś uczucia pełnego i ślicznie myśl wypowie, to znów długie sceny wodą nalewa, bez barwy i woni.

Tak naprzykład w pierwszej scenie w której Jakób dziękuje Bogu za ubłogosławienie łaską jego żywota swego, aż do zwrotki którą przywiedziemy, całość błada i pospolita, ale zakończenie poety:

Boć rozliczne hojności  
Rozlicznie wszem sprawił,  
A siebie jedno chwałę  
Od wszystkich zostawił.

W sprawie pierwszej, to jest pierwszym akcie, od razu autor wyczerpuje historją Józefa aż do jego zaprzędania, i cały dramat mieści w tych ramach tak szczupłych. Gdzieniegdzie znowu wiersz się trafi piękny, jak naprzykład gdy matka, którą pocieszają po stracie syna, odpowiada:

Łacnoć tobie żeś mężczyzna (pocieszyć się)  
Ale mnie ta smętna blizna,  
Do śmierci się nie zagoi.

W sprawie drugiej już jesteśmy w Egipcie, na dworze Potyfara, hetmana króla Faraona; i tu akcja

spi, niepostępuje dalej, bo stosunkowo za mało rozwinięty dramat, wystawia tylko przybycie Józefa i ukochanie go przez pana; dopiero w akcie trzecim idziemy dalej i poeta wprowadza tu parę osób dodanych swobodnie, dla rozwinięcia czynności, Magona, haus-knechta, i Achizę, służebną, dziwnie naiwną pochlebniącą. Wyznanie miłości Zefiry dla Józefa przed powiernicą pospolitą i niezręczną, mowa jej do kochanka, silna ale raczej namiętna niż czuła, pożądliwa niż miłośna, nieokazuje w Reju pojęcia innego przywiązania nad najpospolitsze i niemal zwierzęce. Zefira w tych scenach wygląda na zapalczywą, ale odrażającą przewrotnością i grubiaństwem rozpustnicy; gwałtowność jej namiętności maluje się aż nazbyt silnie, ale w barwach które obrzydzenie i wstręt wzbudzają, a tych poeta może dobrowolnie użył, dla wytłumaczenia postępowania Józefa tem naturalniej. Nie jest to kobieta ta która kocha i słabnie, ale furja, rzucająca się na pastwę swoją.

Józef przy niej tem chłodniejszym wydaje się moralistą, a broni się więcej zaprawdę argumentami niż cnotą. Pomimo barwy nadanej temu ustępowi jeszcze to raczej dialog niż akcja, osoby rozprawiają z kolei, ale nie rozmawiają.

Reszta tego aktu dosyć nieforemnie się klei i

choć kilka szczęśliwych wyrazów uderza, budowa nie znamionuje talentu wyższego; w scenie tylko ceklarzy, proszących Józefa o przebaczenie gdy go do więzienia wiodą, jest pomysł sam pięknym niezaprzeczenie. W sprawie czwartej znowu nie zbyt szybko idzie autor i kończy ją uwolnieniem Józefa i powierzeniem mu rządów Egiptu, w piątej zjawiają się lata głodne, w szóstej przybywają bracia Józefowi, w siódmej odprawieni zostają a Symeon zatrzymany, w ósmej przysyła ojciec Benjamina, w dziewiątej odjeżdżają bracia po resztę rodziny, w dziesiątej przyznają się przed ojcem do winy i oznajmują mu że Józef żyje, w jedenastej przebacza ojciec braciom na prośby Józefa, nareście w ostatniej syn przywodzi starego ojca przed króla, a ten mu dla rodziny nadaje ziemię Ramezes.

Sposób w jaki Rej pojął sprawę dramatyczną i ułożył swój dramat, nie wiele jest wyższy nad autorów dialogów współczesnych, którzy zarówno z nim ani o jedność miejsca, ani o porządne i szybkie rozwijanie się akcji nie dbają. U nich i u niego jeszcze to nie tak dramat, jak raczej poemat w rozmowach, usty żywych osób wypowiedziany. Miejscami jednak Rej po swojemu cechuje utwór swojej fantazji. Znając żywot jego, swobodny i nie-

ukrócony, łatwo się już domysleć z niego, że w malowaniu uczucia nie będzie szczęśliwym, że ono u niego przerodzi się zaraz w namiętność i passję. Tak się też tu właśnie dzieje i wszędzie właściwe uczucie zastępuje wybuch namiętny — w miejscu jego stawi się pasja, wyrażająca z rubasnością, niekiedy za daleko posuniętą. Charaktery osób oprócz kilku za mało są odznaczone, Józef, Zefira, Achiza służebna wyborna, więcej się odcechowują; główna postać chłodna, uroczysta ale godna. W ogóle rzecz można że Rej w tej próbie ani o krok swoich współczesnych nie wyprzedził.

Wątpię bardzo by *Rozmowy Wita Korczewskiego*, utworzone dla oddziaływania przeciw protestantyzmowi szerzącemu się w kraju i dosyć trafne w wyborze przedmiotów, o których traktują, miały być przedstawiane na scenie. Autor daje się tego domyslać, może życzył sobie tego, ale niewiem czy dopiął celu. Mówią one o ceremoniach kościelnych, zwyczajach katolickich obrzędowych, bronią duchowieństwa zewsząd napastowanego, ale dramatu w nich ani śladu, czynności żadnej. Sam autor wyznaje że dialogi Platona i sokratyczna metoda przypadły mu do smaku i naśladować je pragnął; dziwna jeśli myślał, że platonowy dialog mógł być na deski

przeznaczony. Ledwie więc o tem wspomnieć trzeba za drugimi, ale właściwie takie utwory, nawet do początkującego teatru zjawisk liczyć się nie mogą.

Najznakomitszą i ze wszech miar pierwszo-rzędną, prześcigającą wiek, jak geniusz poety czas swój prześcignął, jest próba Jana Kochanowskiego: *Odprawa posłów greckich*, w której znać całą wyższość tego który ją utworzył. Wszystko co o niej dotąd powiedziano oceniając, słabem jest obok wrażenia jakie czyni odczytanie, naprzykład po Józefie Reja, po dialogowaniach współczesnych. Prawdziwy poeta, prawdziwy talent i natchnienie zgadujące nowe drogi, uderzają w tym znakomitym literatury naszej za-  
bytku...

Autor był sam sobie wzorem i stworzył od razu arcydzieło, na czas ów i stan sztuki nadzwyczajne. Przypomina ono swą formą surową najpiękniejsze wzory greckie, na których modłę ulane zostało; bo Kochanowski, jak słusznie uważa Osiński, który z innych względów za mało go jeszcze ocenia, o dziesięć lat wyprzedził Cerwantesa, o trzydzieści Lopeza i Szekspira, o pół wieku Kalderona i Kornela, i w natchnieniu własnem a w greckim teatrze czerpał formę udatną, jaką nadał swej parafrazie homerycznej.

Musiemy tu powtórzyć z małemi odmianami, cośmy już dawniej o *Odprawie posłów greckich* mówili (w r. 1845 N. Studja). Osnową sztuki jest porwanie Heleny, o której wydanie przychodzą się domagać od Trojańczyków, posłowie greccy *Menelas i Ulysses*. Węzłem jej, czy Troja wyda lub nie porwaną, rada, niepokój, wreszcie Parys utrzymuje się i Heleny nie dają wysłanym. Osiński zarzuca tej sztuce że brak jej węzła, brak przestachu i trwogi na scenie; poniekąd zarzut ten słuszny, ale wpatrzywszy się w ten prolog Illiady, rozpoczynający wielką i nieśmiertelną epopeję greckiego wieszczą, czujemy przecież obawę o los Troi, któren wróży *Kassandra*, drżemy dla tego może właśnie, że te sceny tak spokojne, brzemienne już są tak czarną przyszłością. Niemożna zaprzeczyć, że to zadanie wielce dramatycznie rozwiniętem zostało.

Antenor pierwszy zapowiada ukazując się, przybycie posłów po Helenę; expozycja ta prosta i krótka, w kilkunastu wierszach się zamyka.

Parys czyni *praktyki*, stara się, intryguje, zabiega aby w radzie mieć większość i nie wydać Heleny, sam Antenor oświadcza się że niczem nie da się ująć i zdanie swe szczerze i otwarcie objawi. Scena następująca, w której *Aleander - Parys*,

usiłuje naprzód pozyskać sobie Antenora, a potem się z nim przemawia, różni, wreszcie do otwartej kłótni przychodzi, wyborną jest i słusznie ją Osiński ceni na równi z sławną kłótnią Diega z Gomesem w Cydzie Kornela; jestem pewien, że dobrze odegrana na scenie, zrobiła by wielkie jeszcze dziś wrażenie. Jak tu delikatne odcieniowanie i stopniowe przyjście do ostatecznego wybuchu. Chór, na wzór starożytnych greckich, odzywa się potem wyjaśniając położenie Troi i Heleny. Występuje smutna Helena, narzekająca na Parysa i ciesząca się przybyciem posłów greckich; wystawił ją autor upokorzoną swoim losem, bolejącą nad niem, niechcąc skazać miłością nieprawą, któraby skalała tę postać zajmującej ofiary. Na wyrzekania Heleny nadchodzi *Pani Stara*, rodzaj ochmistrzyni i starszej służebnej, pocieszając ją ogólnikami zimnemi, jakimi pospolicie ludzie ludzi częstują. W chłodnej tej rozmowie są piękne miejsca, pełne rzewnego uczucia; chorus o rządzących zakończy tę sprawę. Nakoniec z Rady przychodzi poseł oznajmujący Helenie od Parysa, że Grecy z niczem odjadą, a ona zostanie; Helena smutnie na to odpowiada....

Mowa posła, opisująca co się działo na radzie, bez wątpienia ma interes dramatyczny, ale to jest



opowiadanie, zastępujące nie dobrze czynność w dramacie konieczną. Grecy zostają odprawieni z tem, by wydali wprzód Medeę i Absyrta, nim się o Helenę upominać będą. Z choru wnosić można że autor smutek Heleny ma za udany, i że się ona chętnie z Parysem pozostaje. Wchodzący później Ulysses narzeka na wypadek rady, na nierząd w Troi i blizki jej wróży koniec. W tej mowie mądrego Ulyssa są wyraźne przypiewki do domowego bezrządu polskiego, którym się poeta oprzeć nie mógł; ale w jakich tu granicach umie się zatrzymać, by nie zepsuć kolorytu! jak dalece wyższy od Reja, który zapomina w Józefie, na którym jest świecie i mszę i więzy i organy zaczepta.

Mowa Menelausa, drugiego posła, wzywającego pomsty Bogów na Troję, krótka, pełna żalości i powagi. Chorus za nim w żywym krótkiego kroju wierszu, prorokuje za nim zgubę Troi i narzeka. Następuje scena Antenora z Priamem, któremu pierwszy powtarza że radził wydać Helenę, że słyszał iż się już Grecy do wojny gotują, życząc rozesłać szpiegi i czuwać o sobie; ale Priam wierzyć jeszcze nie chce. Na to nadbiega prorocza Cassandra.

A to co za białogłowa!

Z włosy roztarganemi i twarzy tak bladej.

Drżą na niej wszystkie członki, piersiami pracuje,  
 Oczy wywraca, głową kręci, to chce mówić,  
 To zamilknie.

Nic dodać do tego obrazu! *Kassandra* otwiera usta i prorokuje zgubę *Troi* w pełnym siły i patetyczności ustępie, który do najpiękniejszych w *Odprawie* należy.

O! wdzięczna ojczyzno moja!  
 O mury, nieśmiertelnych ręku roboto,  
 Jaki koniec was czeka! Ciebie mój bracie,  
 Stróżu ojczyzny, domu zacna podporo,  
 W koło murów Trojańskich Tessalskie konie  
 Włóczyć grożą, a twoje oziębłe ciało  
 Będzie li chciał nieszczęsny ojciec zachować,  
 Musi je u rozbójcy złotem kupować,  
 I ojczyzna umarła... jednaż mogiła  
 Oboje was przykryje....

Chorus wyprowadza *Kassandrę*; *Antenor* ze słów jej widzi i czyta upadek *Troi*, *Priam* mu nie wierzy a przecież trwoży się już, przypominając sen żony przed narodzeniem *Parysa*, śniącej że miała porodzić pochodnię; narzeka na *Parysa*..

Rotmistrz z pojmanym wchodzący więźniem, donoszą o przybyciu floty greckiej, wszystko wre wojną, i oto koniec dramatu. Wedle nas to zakończenie brzemienne łatwo przeczuwającym się

upadkiem Troi, które nie jeszcze nie kończy, zostawia widza pod smutnem wrażeniem, wyrównywajacem zupełnemu rozwiązaniu. Proroctwo Kassandry staje przed oczy i dopełnia obrazu zgrozy i ruiny. Zda się wszakże, iż gdyby Jan Kochanowski miał czas, byłby dalej rozwinął swój przedmiot, wyraźnie tutaj ucięty, byłby może w szeregu scen równie wspaniałych, główne wypadki walki aż do upadku Illjonu odmalował.

Żal nam bardzo że pospiech Zamojskiego pozbawił nas może tak pięknego pomnika. Ale taką jaką jest *Odprawa*, zawsze bardzo piękny dramat grecki, pełen prostoty, wielkości, powagi, podobien starożytnej płaskorzeźbie z paroskiego marmuru, z której występują wdzięczne postacie bohaterów homerycznych, zasługuje aby go kiedy czciciele Kochanowskiego spróbowali wystawić na scenie. Niechby chóry w tym sposobie jak Mendelssohn dorobił *Moniuszko*, dobrzy aktorowie wzięli na siebie role, a mielibyśmy nowem życiem natchnioną jedną z najpiękniejszych pamiątek literatury naszej, i nie wątpię że poważniejszym umysłem to widowisko serdeczną sprawiło by radość.

W dziełach pozostałych Kochanowskiego jest jeszcze złomek z tragedij *Alcestis*, dowodzący że po-

ęta czuł pochop do tego rodzaju utworów, i zaprawdę nikt nad niego zdolniejszym nie był do rzucenia pierwszych posad teatru, gdyby pod owe czasy teatr był u nas możliwym.

Po Kochanowskiego *Odprawie*, szczęśliwie mówić nam przychodzi o drugiej odznaczającej się próbie dramatycznej, w dziesięć lat później, w 1587 wydanej tragedij *Jepthes* przez Jana Zawickiego. Treść do tego dramatu z prawdziwym talentem jest wybrana, gdyż nie poetyczniejszego nad nią.

Znajdujemy ją w księgach Sędziów (Rozdz. XI w 30 i. n.) Ślubił ślub panu, mówiąc: Jeżeli dasz syny Ammon w ręce moje:

Ktokolwiek pierwszy wynijdzie ze drzwi domu mego, a zabieży mi wracającemu się w pokoju od synów Ammon, tego ofiaruję całopalenie Panu.

I przyszedł Jephthe do synów Ammon, aby walczył przeciw nim, które Pan dał w ręce jego.....

I pobił je...

A gdy się wracał Jephthe do Maspha domu swe-go, wybiegła przeciw niemu jedyna córka jego z bębnami i z tańcy, bo nie miał innych dzieci.

Którą ujrzawszy rozdarł szaty swoje i rzekł: Ach mnie córko moja, oszukałaś mnie i samaś oszuka-kana jest, bom otworzył usta moje do Pana, a ina-

ezej uczynić nie będę mógł. Któremu ona odpowiedziała: Ojciec mój, jeżeliś otworzył usta twoje do Pana, uczyni mi cośkolwiek obiecał, gdyż ci dał Pan pomstę i zwycięstwo nad nieprzyjacioły twemi. I rzekła do ojca: ty mi tylko uczyni o co proszę: Puść mnie, abych przez dwa miesiące obchodziła góry, a opłakała dziewictwo moje z towarzyszkami mojami.

A wypełniwszy dwa miesiące, wróciła się do ojca swojego, i uczynił jej jako był obiecał, która nie uznała męża...

Ten piękny przedmiot z taktem wielkim wybrany został przez Zawickiego, jak Kochanowski w *Odprawie*, trzymającego się w swej tragedii starożytniej formy greckiej; układ nawet sztuki niepospolitym odznacza się talentem. Treść jej opowiemy:

Prolog opisuje ucisk Izraela od Ammonitów i oznajmuje wyprawę Jeftesa; żona jego i córka *Starge* i *Iphis* wychodzą naprzód na scenę. Matka opowiadając o boleściach życia swego, skarży się na złowieszcze przecucia trapiące, i sen jaki ją ostatniej nocy przeraził, w którym widziała wilka z łona jej porywającego owieczkę. Scena ta wyższą zaraz znamionuje zdolność, i nieskończenie przechodzi podobną naprzykład w Reja Józefie, charaktery zarysowują się dobitnie. Po tej scenie następuje po-

ważny Chorus. Autor, w nich widocznie naśladował psalmy, i wzór ten natchnął go szczęśliwie. Przybywający poseł pyta o dom Jeftesa, i opowiada zwycięstwo jego nad Ammonitami, po czem znowu Chorus dziękczynny, krojem psalmu.

Wchodzi nareście sam Jeftes, dziękujący Panu za zwycięstwo i ślubując w tej chwili że co pierwsze zajdzie mu drogę powracającemu do domu, to w ofierze złoży Bogu; gdy w tem wybiega córka, rzuca mu się na szyję i chmurną spotkana twarzą, niemoże pojąć co serce ojcowskie dla niej zmieniło. Przypisuje ona to przyjęcie surowe obmowie ludzkiej. Simachus, przyjaciel Jeftesa, pociesza ją. Chór znowu.

Simachus rozmawia z Jeftesem zapytując go o przyczynę smutku i dowiaduje się uczynionego ślubu, gromiąc przyjaciela za tak niebacznie wyrzeczone słowo. Sam Jeftes, i to ślicznie pojął autor, myśląc o jedynem dziecięciu które ma utracić, wzywa Boga, by Ammonitom wrócił siły, wojnę wznowił, upokorzył go, ale ofiary nie wymagał. To poruszenie ojcowskiego serca odmalowane barwy silnymi, z uczuciem wielkiem. Rozpacz Jeftesa okropna. Chorus z powagą jej wtoruje.

Przychodzący kapłan chce rozwiązać krwawy

ślub wodza, przedstawiając mu że Bóg nie pragnie ofiar krwawych, ale Jeftes przywodzi Abrahama, i nie czuje by go co od zobowiązania uwolnić mogło. Chorus wyraża boleść wodza i ludu.

Narzekania matki, zagrożonej stratą dziecięcia, scena córki z nią, znowu przepelnione uczuciem rzewnym i niezmiernie dramatyczne. Jeftes dotknięty łzami żony i córki, okupując jej życie, sam się na śmierć chce poświęcić, ale córka wyprzedza go, i spełnia ofiarę jaką ślubował. Poseł przybywający opowiada rozciągle o śmierci Ifisy, która dramat zakończy.

Pierwszym co zwrócił uwagę na wielką piękność tego dramatu, był niespracowany Maciejowski, zowiąc go ozdobą teatru polskiego XVI wieku, i słusznie oceniwszy wspaniałe chóry, które sceny dzielą od siebie i prawdziwie są natchnione. Charakter ich wskazuje naśladowanie psalmów, wybornie zastosowane do samego sztuki przedmiotu; w pieśniach tych wiele jest miejsc tak pięknych, że Zawickiemu miejsce dają w liczbie ówczesnych najlepszych poetów. Postawiony obok współzawodników, wyjąwszy Kochanowskiego, siłą, prostotą, prawdziwością uczucia, pojęciem zadania dramatu, prowadzeniem jego przewyższa wszystkich. Co do planu nawet swej trage-

dij, prześcignął spiewaka z Czarnolasu, akcja w niej coraz żywsza ku końcowi, uczucia coraz gorętsze, interes doskonale utrzymany. Słowem Zawicki z Kochanowskim razem stoją jako wyjątki po za tłumem innych pisarzy, niemogących nawet mierzyć się z niemi. Wiersz Zawickiego, forma myśli, jeśli nie jest tak udatną jak Kochanowskiego, po większej jednak części bardzo szczęśliwa i zręczna, *Jeftes* zasługiwałby wraz z *Odprawą* na nowe wydanie w pożądanym Starożytnym Teatrze polskim, o którym warto pomyśleć.

Nie zdaje się by *Jeftes* kiedykolwiek był grany. Teatr dworski za Zygmunta III, idąc w ślady dawniejszego, kiedy niekiedy dawał widowiska z okoliczności uroczystości wielkich, zapewne w językach obcych, szczególnie po łacinie i po włosku; Siarczyński mówi, i po niemiecku. Tytuł jednego z tych przedstawień, *Lubirynt*, dowodzi czem one były wszystkie, mytologicznemi dramatami z wymyślną dekoracją, ogniami i kuglarstwem zabawnemi. Nie można więc nawet przedstawień tych na dworach królów liczyć inaczej jako tylko dla pamięci, bo one w niczem się nie przykładały do rozwoju sztuki dramatycznej właściwej, i obok niej stały odrębnie.



Pierwszym co spróbował przedmiotu narodowego, chociaż z obawą i wahaniem widocznem, był Jan Jurkowski, autor tragedij o polskim *Scylurusie*, w r. 1604 wydanej. Był to dość łatwy poeta, nie bez talentu, ale niczem się w innych swoich pisemkach oprócz gładkości wiersza nie odznaczający. Znać trudność zadania w traktowaniu rzeczy swojskich pojmował dobrze, gdyż chcąc ich dotknąć, nieośmielił się nawet imion bohaterom swoim dać własnych naszych; i poczawszy od *Scylurusa* wszystkie *persony*, pomianował starożytnemi nazwiskami, dodając im tylko przymiotnik polskich. I tak główna postać *Scylurus* polski, *Herkules* polski, *Parys* polski i *Diogenes* odegrywują tu role. Daleko już Jurkowskiem do Zawickiego w pojęciu warunków sztuki; tamten rozumie a raczej przeczuwa że zadaniem teatru ludzi i ludzkie sprawy ukazać, ten obiera sobie za przedmiot ideę, i odziewając ją ciałem, zimnym symbolom i typom abstrakcyjnym grać każe role w swej sztuce. Niema też tu właściwie rzekłszy dramatu, są rozmowy tylko i obrazy allegoryczne. Celem sztuki:

*Odwieść od zbytków, a do cnoty budzić.*

Ale cel ten właściwszy całemu teatrowi, niż pojedynczej sztuce, i jak w każdym utworze arty-

stycznym powinien być nie naprzód powziętą myślą, ale samorodnym, mimowolnym owocem tego drzewa.

Z planu wnieść łatwo jak chłodną całą sztuką; podamy treść jej dla ciekawości.

Część pierwsza po prologu przedstawia nam Scylurusa starca, ojca witającego powracających z podróży synów Herkulesa, Parysa i Diogenesa, pierwszy naturalnie uosabia żołnierza, drugi zbytnika (roskosznika), trzeci mędrców wymownych..

Każdy z nich opowiada co czynił, i tu dopiero widzimy dla czego autor ich polskimi nazwał; opisując bowiem wypadki swego życia, malują nam ówczesne każdego stanu zajęcia. Herkules skarży się na poniesione niewczasy, Parys chwali tem co zjadł i wypił i jak się wyhulał, Diogenes mówi o studjach swoich w akademij... Każdemu z nich ojciec stosownie odpowiada, daje nauki, zachęca do zgody dając pęk strzał do skruszenia i stosowne napomnienia, po czem słabnie i umiera. Śmierć, diabeł i anioł jak w szopce, jawią się w ostatniej godzinie, i szatan ustąpić musi od niego, dla tego że dwóch synów poczciwych wychował.

Po śmierci Scylurusa, rozwesela widzów Intermedium i występujący w niem Matys, pijanica i *Ktoś*, złodziej (nazwanie to bardzo szczęśliwie, przyznać po-

trzeba, wynalezione), którzy powracają ze stypy na ogrzebie Scylurusa. Po ich krótkiej rozmowie nadchodzi strapiony śmiercią ojca Herkules, potem ślicznie ubrana *Rozkosz*, kusząca go ku sobie, której się on opiera, i *Cnota* która ją gromi.

Każdej z tych postaci troskliwy autor wskazał ubranie i godła; wymieniając je K. Wojcicki przyznaje, że nie rozumie co ma znaczyć *Kocek*, którą trzyma cnota, i w słowniku Lindego wyrazu tego nie znalazł. *Kocek* po staropolsku znaczyła *Kotwicę*, zwykle zresztą godło cnoty, nieporuszonej jak okręt na kotwicy. Cnota pociąga ku sobie rycerza Herkulesa, uosabiającego tu szlachtę polską, a za nią tuż nadciąga *Sława*, usymbolizowana bardzo zręcznie.

Kończy się akt drugi sławieniem tryumfów wojsk, za Zygmunta III odniesionych.

W trzeciej części Parys polski, ubrany z cudzoziemska, występuje myśląc jak użyć świata, oswobodzony śmiercią ojca, i tuż Merkury objawiający mu że powinien jedną z trzech bogiń obrać sobie, potem Juno bogata, Pallas mądra, Wenus rozkoszna... A po nich *Wielki-chwał*, rozpustnik, godny dla Parysa towarzysz, uosabiający w sobie podobną szlachtę zawsze gotową na rozpustę, a do niczego więcej niezdolną. Ten swata mu Helenkę grzeczną

i do niej Parysa prowadzi, po czym *Sława*, boleje nad upadkiem niechybnym młodzieńca, i daje naukę Parysom polskim. Parys już z Helenką występują na scenę, wzajem się do siebie wdzięczą, poczynają tańcować wraz z Wielkim-Chwałem, ubranym w kobierzec, i napadnieni przez pijanych żołnierzy, rozsypują się.

Autor, któremu na fantazji nie zbywa wcale, naprowadza potem trzech diabłów na scenę, Kostrubana, Dulibana i Mędrełę, i ci porywają Parysa jak swego. Po tej części następuje intermedjum stosowne, a w niem Orczykowski, ziemianin, z żoną kłopotający się o wychowanie syna. Oboje ci państwo z żywego wzięci, malują dobrze niedbalstwo szlachty, która na zbytki traciła, a o przyszłość dzieci nie dbała. To intermedjum śmiałe, jest pierwszą próbą komedij i szlalcica wystawionego na scenie, dowodzi ono w Jurkowskim talentu nie tyle do dramatu jak raczej do satyry, która w połowie XVII wieku ozwała się, protestując przeciwko obyczajom i zepsuciu ogólnemu. Państwo Orczykowscy, nagałdawszy się o własnych potrzebach zbytkowych, chcą i o synku dziedzicu imienia swego pomyśleć, ale nauczyciel, który się im stręczy za dwadzieścia złotych, wydaje się im za drogi i szlalcic wykrzykuje że

za te pieniądze konia by tureckiego kupił! Na co student mu odpowiada nie bez dowcipu, że będzie ich nawet miał parę, i tego którego kupi i drugiego z synaczka.

Ostatnia część poświęcona Diogenesowi, najsłabsza, wprowadzony tu Aleksander, ofiarujący mu bogactwa któremi gardząc filozof, prosi tylko by mu król od słońca się ustąpił, i *Kolaks* dworzanin, nazywający go błaznem, i *Sława*, głosząca imię Diogenesa. Zamyka naostatek *Epilogus*.

Jurkowski, człowiek nie bez talentu i nie bez odwagi, w *Scylurusie* pierwszy się tknął przedmiotu krajowego, żywego życia, ale w sposób najniezszczęśliwszy jak widziemy; próba ta prócz kilku lepszych wierszy, niczem się nie odznacza, pomysłem jest od razu zabita, i dowodzi w autorze tylko dobre jego chęci a dramatyczną nieudolność i nieznajomość warunków sztuki. Jest to nie tragedia jak chce tytuł, nie komedia jakby z niektórych ustępów nazwać ją można, ale zręczniejsz trochę napisany dialog. Intermedjum *Orczykowskich* może ze wszystkiego najlepsze i gdyby rzecz cała tak szczerze i w ten sposób pojętą i przedstawioną została, możeby była otworzyła drogę innym do prób nowych. Ale drażliwość przedmiotu, który autor zaczepił, już w ślady jego nikomu pójść za nim

nie dozwoliła. Powiada Wojcicki że Scylurus był grywany kilkakrotnie, znać jednak nie bardzo w nim zasmakowano; i na tem się skończyła ochota wprowadzenia teatru na drogę narodową.

Jurkowski nie mając przed sobą ani obcych, ani swojskich w tym rodzaju wzorów, formy tragedij greckiej z chórami nie mógł tu użyć, uczuwszy niestosowność jej i niezgodność z przedmiotem, sam zaś nowej stworzyć nie potrafił, i zrobił coś na wzór dramatów dworskich, łacińskich, w których bogowie, bohaterowie i uosobienia główne zawsze grały role. Próba ta wzmiankowaną być musi w dziejach teatru, ale ją za szczęśliwą uważać nie można, a brak naśladowników dowodzi, że się na scenie nie powiodła. Było już dużo szlachty naówczas w sposobie Parysa powracającej z za granicy, jak to widać z satyr i narzekań ówczesnych na zepsucie, ale ani owym Passom, ani Orczykowskim nie było bezpiecznie pokazywać na oczy, jaki ich koniec czeka. Już też więcej nie próbowano walczyć na teatrze z niemi, a w satyrach nawet autor każdy jak mógł się ukrywał i imię swoje zasłaniał.

Ledwie tu wspomnieć można dialog (1618) o śmierci Katarzyny xiężnej Koreckiej, który dramatu ma formę tylko, a raczej trenem na zgon

jej nazwać się powinien. Niewiadomego autora *Mięsopust*, albo Tragikomedja na dni mięsopustne, w r. 1622, jeśli miała za cel obrzydzenie pijaństwa, więcej jeszcze zdaje się przeznaczona dla zabawki, i dosyć nieforemnie pozszywana. Wchodzą do niej Prolog, Kostera (gracz), Łapikufel, Sofista, Marsyas, Satyr, Astrolog, Jeometra, Gramatyk, Muzyk, Pielgrzym, Silenus, Bachus, Karczmarz, Historyk, Marszałek (ale nie powiatowy) i dwóch djabłów. Dramatu nie pytaj, poczyna się to, urywa, klei, ciągnie i jako tako kończy, nie przedstawiając żadnej całości, żadnej jedności akcji. Pojedyncze sceny czasem szczęśliwsze, powiązane są z sobą najniezręczniejszym, talentu w tem nie wiele, a żywych postaci krom Kostery, Łapikufla, Karczmarza niema; Autor ostrożniejszy od Jurkowskiego, ogólnikami zbywając, nie tknął już stanu rycerskiego wcale, i szlachty na scenę wyprowadzić się nieośmielił. Pan Wojcicki szczególniejszą bacność zwraca na scenę w której autor wysmiewa pielgrzymów, powracających od miejsc świętych i nielitościwie kłamiących o swoich podróżach, ale to zwrócenie się do biednego tłumu żebraczego i wyszydzenie go na scenie, które jest może ciekawym rysem do historij obyczajów ludu, dowodzi zarazem, jak mało można było pocie dra-

matycznemu pozwolić sobie, gdy się do bezbronnych dziadów obracać musiał...

Zobaczymy zaraz że po za tę granicę, żebractwa, klechów, chłopa, wyjść nikt się już nieośmielił, tylko wyjątkowo i bojaźliwie.

Znać też że wszystkie te sztuki nie dla wyższej klasy społeczeństwa, która w nich upodobania nie miała, pisane były, ale dla tych co największą styczność mieli z postaciami odwzorowywanymi. Pozbawiony siły, by się podnieść do wyższej sfery, dramat zamarł w dusznej atmosferze szkoły parafialnej, podwórza plebanij, karczmy i chaty włościańskiej.... Czasem najdziwaczniej do postaci wyrwanych z tego świata podrzędnego, dodawano mythologiczne, symboliczne, bohaterkie, niemi usiłując się dźwignąć nieco wyżej, ale ta mieszanina fantazyjna dla ludu niezrozumiała, dla oświecieńszych śmieszna, nie potrafiła ani ożywić dramatu, ani się przyczynić do jego rozwinięcia. W tym rodzaju jest mało znany dramat: *Cudowne weselc* czyli *Hymeneus czarodziej-ski*, Antoniego Wienińskiego, o którym sądząc z treści, niewiele co na pochwałę powiedzieć można. Osób mnóstwo, chóry, diabły, baby, anioły, Alfeusz, nagromadzenie bezsilnych figur, a rzecz niedołężna jak poprzednia.



Mnożą się tego rodzaju wysiłki w XVII w. ale po większej części niedorzeczne i bez talentu, rzekł-  
 byś że najniezdolniejsi tylko rzucają się do teatru,  
 taka tu desperująca mierność, taka słabizna, taki  
 brak natchnienia, a nadewszystko wykształcenia i  
 znajomości wzorów. Z wszystkiego tego widać cią-  
 głe że teatr nie jest potrzebą, nie jest życia warun-  
 kiem, ale krotochwilą dla gawiedzi; nieobchodzącą  
 nikogo, bawiącą żaków i dzieci, lud i mieszczan  
 tylko. Teatr przenosi się do szkoły i coraz wyła-  
 czniej jej służy, naturalnie więc dzieciennia i dro-  
 bnieje, staje się zadaniem dowcipów na chwilę ode-  
 rwanym od logiki i metafizyki, które woła *Gerundia* i  
*Supina* na scenie, niżeli żywych a nieznanym sobie  
 ludzi. Właściwych aktorów, teatru, jak wła-  
 ściwych pisarzy dramatycznych brak zupełny; grają  
 akademicy, młodzież szlachecka, żacy, bursarze,  
 klechy, mieszczkańczuki, w nowiciacie klerycy świę-  
 te dramata, popisują się po egzaminach uczniowie,  
 po dworach chcący przypodobać panu dworzanie,  
 amatorowie słowem jednym, ale sceny i teatru po-  
 rządowego nigdzie niema śladu. Zarodku nawet tego  
 z czego by się scena wykształcić mogła, nie znajdu-  
 jemy. Tak samo zapewne poczynął się teatr gdzie-  
 indziej, ciż sami byli zrazu aktorowie we Francji,

ale już w XVII wieku, tam gdzie obyczaje nie stawały na przeszkodzie ku temu, sztuka dramatyczna oddzieliła się; usamowolniła i stała odrębnie, byli i aktorowie z powołania i teatru.

U nas nie widać nic podobnego; oprócz szlachcica, mieszczanin tylko i klecha, cokolwiek oświeceniśsi kwalifikowali się na aktorów, ale mieszczanin choć łyżak po stolicach ubiegał się o ślacheć i na śladował szlachtę, pnać się raczej do góry, niżeli chcąc zejść na dół, klecha miał zajęcie i powołanie na wpół duchowne a zatem odstręczające od teatru, szlachcic wreszcie czem innem był zajęty. Dzieciom więc i żaczkom dla zabawki zostawiano teatr, w którym czynnego udziału kobieta u nas mieć nie mogła, a z tych szkolnych zabawek trudno było wyglądać wzrostu i postępu sztuki dramatycznej, w kółku ciasnem lukubracij akademickich zamkniętej.

Same więc niedołążne pokuszenia i rzeczy, tytuły tylko dramatyczne noszące, liczyłyby tu potrzeba, jak naprzykład Kickiego *Dialog o obronie Ukrainy*, nieprzeznaczony nawet na scenę, tragedją szkolną poznańską *Genesisus* i t. p.

Genesisusza mamy tylko program, tak jak wielu późniejszych sztuk szkolnych; są w nich oznaczo-

ne sceny, osoby wychodzące, treść rzeczy, ale dramat jak się zdaje nie zasługiwał na drukowanie, a może go studentom improwizować dozwolano jak szkolne ćwiczenie.

Widzieliśmy wyżej że w początku XVII wieku zakazano dramatów religijnych; później jednak zaprowadzili je znowu Jezuici i katolicyzm za Zygmunta III już zwyciężki, nieobawiający się szyderstwa protestanckiego, z przepychem wywiódł na rynki i ulice starodawne dialogi, szczególnie wielkiego tygodnia. Jezuici bawili chętnie młodzież swoją teatrami, które były ćwiczeniem razem i rozrywką; popisywali się z nimi przed dobroczyńcami zakonu, witali nimi króla powracającego z pod Smoleńska. Ale, jakieśmy wyżej powiedzieli, nic z tego urosnąć nie mogło.. Godniejszymi wspomnienia są dwa tłumaczenia, *Troas* Seneki, Górnickiego i *Czysty Józef*, Szymonowicza, z łacińskiego przez Gosławskiego spolszczony, chociaż oba one do czytania raczej, niż do sceny przeznaczone były, a formą klasyczną przenosiły w świat, dla którego ona stworzona była.

Pan Wojcicki niesłusznie tu obwinia Jezuitów że usiłowali *świecki* dramat i teatr zaćmić klasztor-nemi swemi reprezentacjami, wysadzając się na przepych i okazałość. Jezuici bynajmniej tu nie są

winni, jak w wielu innych rzeczach. Teatru nie było i być nie mogło, dla przyczyn któreśmy wyżej wskazali, jedynym właśnie w tej epoce został Jezuicki, a że z tego nic nie wyrosło, nie zakonowi to przypisać potrzeba, ale rzeczy naturze. Z dziecinnej zabawki trudno by sztuka powstać miała. Niewiele też mógł dla krajowego teatru, teatr dworski, królów będący zabawką, którego charakter wskazaliśmy i takie czarodziejskie przedstawienia jak *wybauwienie Rugiera*, lub *Dafnis przemieniona w drzewo bobkowe*, bawiły oczy, bawiły ucho, ale nie zajmowały umysłu, nie było w nich żywiołu, z któregoby coś więcej nad to czem one zrazu się stały, powstać mogło. Dla tego sędzę że ów *Ulysses* i znacznie późniejsza *Dafnis*, porównane z sobą, gdyby to była podobna, żadnego by w sztuce nie okazały postępu; wydoskonalą się maszynerje, ale nie teatr i idea dramatyczna. Z przypychem i kunsztem i kosztem bawiono się niemi, jak dramatem o S. Cecylii, w którym *sacra profanis* pomieszano, świętości z mytologią, tańcowano, śpiewano, kończono baletem i *drzaniem* nóg; ale ta rozrywka monarsza właściwym teatrem nie była. Największym tu cudem że ktoś podleciał do góry, że orły poruszyły skrzydłami, smok ział ogień z paszczy i t. p. Teatr więc

dworski nawet do historii ogólnej sceny naszej nie należy, i nie sam język obcy, ale natura jego wyłącza go zupełnie.

Obok niego ubogo i biednie na tle krajowem probuje siły swych komedja, niemogąc skrzydeł do lotu rozwinać, ocieśniona, skazana na imanie się zawsze jednych postaci, istot bezbronnych i zostawionych jej na pastwę.

Poczawszy od tak nazwanej Rybałtowskiej komedij, przedmiotem najpopularniejszym na scenie staje się Klecha, Kantor, Albertus wojak z plebanij, dzwonnik i otaczająca ich drużyna. Sławiony ów Albertus wyszedł na deski, pewnie nie żeby on miał być najcharakterystyczniejszą swojego czasu postacią, ale że z niego swobodnie drwić sobie było można, jak wprzód z pątnika. A że i on szabli-sko nosił, do wojska się liczył, przezeń trafić było można do szlacheica i nim się w potrzebie zasłonić. W ten sposób Albertus stał się ulubioną z Klechą i kantorem figurą w dialogach polskich, poczawszy od pierwszej ćwierci XVII wieku; dalej już pójść nie śmiano.

Nim przebiegniemy znaczniejsze Rybałtowskiej komedij naszej płody, naprzód musimy kilka słów, dawniej o Albertusie powiedzianych, powtórzyć.

W początkach XVII wieku, kościoły polskie z dawna bogato ponadawane, chowały przy sobie wielką ilość sług różnego nazwiska, stanowiących zupełnie osobną klasę, pośredkującą między ludem a kapłany. Ta klasa, na pół oświecona i niedouczona, dosyć zepsuta i bardzo uboga, zwana *Klechami*, w wiecznych zatargach z duchowieństwem, które jej skąpiło chleba, tak hojnie nadanego księżom, w XVII w. poczęła się żywo o swoje dopominać, jak widzimy w wydanej pod tytułem *Synoda klechów podgórskich* broszurze (1607 r.).

Z niej to wyszedł sławny ów Albertus, klecha żołnierz, z którego się tak swobodnie naśmiewano. Klechów gmin przybierał także imie powszechne *Żaków* (służące wyłącznie młodszym), nazywano ich też *Ryballami*. Wyraz ten nie polski, przyszedł do nas z włoskiego w XVI wieku jeszcze jak się zdaje, i musiał u nas mieć takie znaczenie, jakie mu nadawno we Francji i we Włoszech, to jest rozpustnika, ciury, urwisa. Początkowo w średnich wiekach, wyrazem *Ribaldi* oznaczano szczególniej ciurów, włóczących się za wojskiem, tak właśnie jak ów nasz Albertus (*Servientes exercitus, qui publica lingua dicuntur Ribaldi*). Później dopiero w XVII wieku Ribaldus zaczął być synonimem ło-

tra, rozpustnika i w tem znaczeniu przyjęty został w językach francuskim, angielskim, włoskim i polskim. Dla czego u nas łotr i ciura, Rybałt jednym słowem, wyłącznie Klechę oznaczać zaczął, to tylko wytłumaczyć może historja obyczajów tej klasy.

Klechy dzielili się na dwie klasy główne: żonatyh i nieżonatyh (*uxorati et adolescentes*), ci ostatni jeszcze na wyświęconych i świeckich (*ordinati et saeculares*). Do klechów liczyli się także dzwonnicy (*campanatores*) organiści (*organarii*). Nie wiem dla czego przysłowie powiada: Szanuj klecho kantora, gdyż przy większych kościołach starszy klecha, zwany Mistrzem (*Magister*), Senjorem lub Rektorem, utrzymywał i szkołę i kantora ze swojej ręki. Mistrz ten uczył żaków kantu z partesów (z partytury), graduału, chorału, mszy, lamentacij, psalterjum, pogrzebowego, wigilij, słowem wszystkiego co śpiewano przy obrzędach uroczystych kościoła. W jego rękę był Kantor, już niższego stopnia urzędnik, po którym tylko następował Dzwonnik, diakon kościelny. Myto klechów bardzo było liche w XVII wieku, dwanaście do piętnastu groszy, a w dodatku chłopci zwykle rzucali dla nich tak zwaną *petycją*, jałmużnę, snopkowe, po którą wici obchodzić potrzeba było, a czwartą z niej część od-

dać plebanowi. Do klechów także należał czwarty grosz uzbierany w kościelnej skarbnicy, czwarta część ofiarnego chleba i t. p. Plebani w święta i uroczystości obowiązani byli starym obyczajem dawać im obiady. Do Klechów liczyli się naostatek zakrystjan i kalafaktor, profoss szkoły, pod którego administracją zostawały izby nauki, ławy, piece i dyscypliny. W XVII wieku zwano ich *Sufletami*. Chodzili klesi po wsiach to z opłatkami, które roznosili wieśniakom dla zabobonnych obrzędów, od chorób bydła, jako przerwy od chorób i czarów i t. p.; to święcąc domostwa, to żebrząc często jałmużny. Ubierali się ciemno, w giermaki albo bekiesze długie, w kościele brali na siebie komże.

Niekiedy sam klecha i dzwonnika zastępować musiał. Do kantora z professij należało śpiewanie psalterium i wigilij nad umarłymi, w czem go ucześnie babki kościelne zastępowały, i gdzieniegdzie wyznaczno im za to myto osobno, zapraszając oprócz tego na stypę.

Z łona to tej klasy wyszedł sławny XVII w. Albertus, żołnierz plebański, niestworzony do szabli, tchórz a junak, który nieprzydawszy się wojsku, do którego rozkaz dawania żołnierza z włości xiężych go powołał, naśmieszył tylko ludzi. Ze szczególnem



upodobaniem poczęto sobie z niego drwinkować, i przy tem wyprowadzono na jaw mało dotąd znaną klasę całą klechów, z której powstał. Postać ta jakkolwiek oryginalna, nie jest znów tak wzniosłym ani tak trafnym typem, by sobie wytłumaczyć można zajęcie nią inaczej jak biedactwem jej i bezbronnością. Począwszy od komedij Rybałtowskiej, w której się rycerz ten zjawia, z zapiecka szkolnego wyszedłszy pociesznie zbrojny i odziany, w mnogich dialogach powtarza się zawsze z jednym charakterem i śmiesznością. Pociągnął on za sobą swoje klesze plemie, kantora, dzwonnika, magistra, a nawet plebana i całą plebanjalną czeredę. Oprócz komedij, małe poemata i satyry wspominają go ciągle. Być może że sami księża, którym obowiązek dawania żołnierza nie był na rękę, przyczynili się pierwsiastkowo do okrycia śmiesznością swego rycerza, a później bił na nieboraka kto chciał.

Występuje on z kolei w dialogach i poematach pod tytułem: *Rybałtowska komedja*, *Albertus z wojny*, *Albertus Rotmistrz*, *Szkolna Miszcrja*, a klechy w wielu innych podobnych. We wszystkich w ogólności nie można szukać tego co się właściwie dramatem nazywa, kunsztu żadnego tu niema, akcji mało, od początku do końca gawęda; ale typ Al-

bertusa wybitny i nacechowany wybornie, stanowi może jedyny teatru polskiego zabytek żywy, dziwnym trafem uchowany, choć prawdę powiedziawszy, nie bardzo na to zasługiwał. Ileż to postaci z tego dawnego świata godniejszemi były pozostać w pamięci, nad tego biedaka, którego to szczęście spotkało! Wyjazd Albertusa od cichej domowej strzechy, potem *powrót* z wojny, oto przedmiot tych dialogów rzeczywiście komicznych, choć w nich więcej może satyryczności niż talentu. Znane one są już nazbyt z obszernych sprawozdań i rozbiorów, byśmy się tu nad nimi rozszerzać mieli.

Świat zresztą do którego postaci komedij Rybałtowskiej należą, długo jest jedynym możliwym dla pisarzy i wszystko co nie czerpie z historii, mythologij, co nie obszywa się w symbole, w nim się obracać musi, w nim żyje. Na nim odbywają się dialogi *Bachanalia*, o których pisze Juszyński, dając niejaki wyobrażenie przywiedzioną cytata, z czego się składały; w nim *pielgrzym i pałnica*, *dziewostab mięsopustny* i t. p.

Ubóstwo figur najmocniej się tu uczuć daje i charakteryzuje położenie teatru ówczesnego; zawsze ciż sami klesi, sołtysi, karczmarze, wieśniacy, a jeśli z pośrodku nich wystąpi jaki *Parys i Pamfilus*, to

tak zamaskowany i słabo narysowany umyślnie, że powiedzieć niepodobna z kąd wyszedł i co za jeden. Najzabawniejsze czasem z tego powodu zdarzają się zetknięcia, gdy pisarz chcąc wymyśleć coś nowego, obok chłopa naszego, mazura, stawia sofistę, grammatyka, astrologa i każe im z sobą się certować. Wyjść z tego koła zaczarowanego, które zakreśliła straszliwa szabla szlachecka, już mało kto po Jurkowskim próbuje; muszą się więc kręcić dołem pomiędzy gminem.

Literatura winna w prawdzie temu wyjątkowemu położeniu zachowanie kilku obrazków i typów, które z pozostałych zarysów odgadnąć się dają, ale niemniej westchnąć potrzeba, że nie mamy więcej i lepiej, i że się to na tem skończyło.

W XVII wieku jeszcze prób kilka o których obszerniej nieco powiedzieć potrzeba, potem szkolne już tylko teatrów programata, cisza i aż do końca XVIII wieku niema na co spojrzeć. Narzekają na tłumaczenia z francuzkiego, o których powiemy niżej, pod pozorem jakoby one narodowej scenie drogę zaparły i do naśladownictwa ją zwróciły, ale tych naśladowań wcale nie ma, a teatr nie dla tego milknie, że się *Cyd* Kornela po polsku ukazał, ale że w nim życia drobina wyczerpała się do szczętu.

Gdyby ono było w nim jeszcze, przelałoby się gdzieś indziej, aleć go już nigdzie nie widać.

*Bachus orbis dominus*, w r. 1644 wydany i podobno grany przez żaków warszawskich, jak z treści widać nie złą jest farsą. Poczyna się to od tego że Bachusa do szkół oddają, ale ten zamiast kałamarza bierze flaszę, spaja swoich towarzyszków, a idąc na filozofią, w karczmie prolegomena odbywa. Wśród młodzieży ćwiczącej się w sprawie rycerskiej, Bachus z łuku do kufła celuje, a gębą doń trafia, potem gdy inni głoszą pochwały, ci filozofów, owi krasomowców, on naukę picia wyśpiewuje. Ogołocony ze wszystkiego, zastawia suknie i sam niemal nagi sprawia ucztę, wymawiając się od kościoła że bosy pójść nie może, ale na wino i bez butów - się wlecze. Ciekawemu przyszłości swojej cyganie wróżą że choć bezzenny, liczne po sobie zostawi potomstwo, nowej nauki stanie się zakładcą, i w starości późnej zginie czopem zabity. Uwieńczony laurem na dysputacij, w której wino obronił od zniszczenia, ogłasza z katedry prelekcje *artis bibendi*, i słuchaczy licznych zwabia. Na lekcjach nieprzekonanych upaja i wszyscy się rozchodzą radzi i weseli; nareście czopem zabity Bachus, mimo czułych starań, pisze testament, sposobi się do śmierci

ci i wśród dzwonienia szklenicami umiera, grzebią go w słodzinach i piszą mu nagrobek. W Epilogu woźny ogłasza następujący post i jego ustawy. Krotochwila ta wcale przynajmniej zda się z treści zabawną i dowcipną, choć myśli pustą zupełnie.

Nie wiele nad nią co do pomysłu lepszym jest: *Z chłopca król*, Piotra Baryczki, komedia dworska z r. 1637. Treść jej wzięta z anegdoty o spojonym chłopie, którego przebrano za króla i kłaniano mu się, dla zabawienia jego zdumieniem, gdy królem się przebudził, a później powtórnie zasnąwszy, chłopem się znowu ujrział. Całą wartość tej komedij, której zadanie główne powtórzył *mutatis mutandis* Fredro, odświeżając ją potężnym talentem swoim, stanowią charaktery, dowcip autora, alluzje zręczne, wesoła wena, wreszcie wierny obrazek żołnierskiego życia w XVII wieku, któremu na kolorycie nie zbywa. Słusznie ją chwali p. Wojcicki, bo jako pomnik historyczny wielce na to zasługuje, ale jako sztuka nie wielkiej jest wartości.

W prologu wychodzi dwóch ichmościów, Myśliwiec i Piwowski, którzy z góry treść rzeczy opowiadają, co jest doskonałym sposobem zajęcia czytelnika i zrobienia mu niespodzianki. W pierwszym akcie wychodzi pijany Sołtys, walący się z nóg, tak

go spóli panowie żołnierze i kładnie się przespąć trochę; czatujący nań ciurowie wiążą go i odziera ją z grosza jaki miał. Nadciąga pan Rotmistrz, widać Sieradzanin, bo się na pochwały swoich ziomków i ziemi wysila, piją kołem zdrowia wszystkich wojskowych różnej broni ówczesnej, a J.M.P. Brzuchowski wznosi nareście zdrowie piwowarów, pewien że mu nikt pełną odpowiedzieć nie odmówi. Rotmistrz którego autor chciał w lepszym świetle wystawić, widząc że pijatyka wielka, radzi jej w porę poprzestać, a pójść w taniec i pohasawszy inną jaką krotchwilę wymyśleć. Rodzi się z tąd myśl przebrania pijanego sołtysa za króla, której jeden Brzuchowski nie podziela i wołałby mu w nos pieprzu nasypać, ale inni popierają trafny figiel i zabrawszy chłopca śpiącego ciągną za rotmistrzem, który im ma tę scenę wyprawić. W intermedjum ciura, sługus wojskowy, obozowe życie żołnierzy maluje; obraz to wielce dla nas ciekawy, ale cały w monologu, bez akcji, w nim Baryka niepospolitym jest satyrykiem.

Przebrany chłop obudza się wreście i opamiętać nie może, co się to z nim stało. Autor dość trafnie i żywo maluje sytuację jego, nadciąga dwór królewski złożony z panów żołnierzy i otacza go, rotmistrz sam na czele. Przychodzi potem legacja

od wojska Zaporozkiego z podarkami jakie dla chłopca uznano za najstosowniejsze, między innymi gorzalicą i miodem, któremi sołtys spojony znowu usypia.

Poselstwo to i cała scena, pełna charakteru.

W intermedjum kozak w lesie spotkawszy żydka, zmusza go do kupienia kija. Trafny żarcik owych czasów, allegorja głęboka, bo któż z nas takiego kija choć raz w życiu sobie nie kupił. Trzeci wręście akt zawiera przebudzenie smutne pijaka, który znowu postrzega niedawnych swoich dworzan, teraz wydrwiwających się z niego, i ogołocony a wyśmiany powraca do domu. Z króciuchnego Epilogu okazuje się, że komedja tę grywano na zakończenie mięsopustu. Najbardziej w niej zastanawiającem w istocie jest wyprowadzenie rotmistrza i wojska na scenę, w prawdzie znacznie zmodyfikowane pochwałami wszelkiej broni, Sieradzan, u których się to działo, pana hetmana i t. p. ale nie mniej mające na celu żywo przedstawić, jak to wojsko dokazywało z biednym kmiotkiem, jak hulalo i jakie było jego obozowe życie.

Jest to najśmielsze jakie znamy, i wyjątkowe porwanie się teatru do figur żywych, do stanu szlacheckiego i rycerskiego, ale znać nie można by-

ło iść tą drogą, bo nią później nikt nie poszedł. Mamy takich próbek kilka, bojaźliwych, drobnych, a teatr od nich zawsze powraca do sołtysów i klechów, do nieokreślonych jakichś postaci umówionych, które ogólnie człowieka, ale w szczególności żadnego stanu i położenia nie przedstawiają. Zresztą komedia ta: *Z chłopaka król*, grana gdzieś w Sieradzkiem na dworze p. A. Ł. publicznie wątpię żeby przedstawiana być miała, rycerstwo byłoby rozsiekało aktorów.

*Dziwostab* dworski, mięsopestny, ucieszny, jest znowu jedną z fantastycznych komedij na ogólniku zbudowanych, jakich stary nasz teatr ma najwięcej. Zadania tu też same co w Scylurusie, sposób rozwinięcia prawie takóŜ, na swój czas nie brak łatwości, dowcipu, i mogło to zabawić. Myślą główną, skutki rozpusty i próżnowania wystawić. Po Prologu który Żak mówi, w scenie pierwszej wychodzi *Pamfilus*, rozmyślając się jakby wieku użyć. Marszałek mu radzi hulać póki pora, wybiera się za granicę Pamfilus, od czego odwodząc go dobiera mu zauszniak domowych towarzyszy wesółych *Galanta*, *Spiewaka* i *Skoczka*. W sprawie drugiej na dworze Pamfilusa przybory do zabawy, zalotów, do starania o pannę, bitwa czeladzi, narzekanie furmana na ciężkie życie u panów, wyjazd w konkury.



Ala gdy się te niepowiodły, w trzeciej sprawie myśla o nowych; marszałek pociesza, dodaje otuchy i tak się to ciągnie do ostatniej.

Łatwo się domyśleć co nastąpi; w czwartej sprawie występuje śmierć i para diabłów po pana Pamfila, koło którego zabierają się nie żartem już gdy (w piątej sprawie) wiara i anioł obraniają go skruszonego i przełękłego. Za intermedjum służyć może scena, w której djabli na Śmierć rozgniewani że pofolgowała chłopcu, tłuką ją tak że omal jej nie zabili. Opatrzywszy się po niewozasie co by to za szkoda była, żeby staruszka umarła, wzywają doktora niemca, który panią swatową leczyć obiecuje. Prosta to tylko, widzimy, zabawka, przez którą przewleczono sznurek moralny, żeby się to jedno drugiego trzymało.

W komedij *Soltysa i Klechy*, znowu wracamy do pospolitego świata Albertusowych dialogów, jest w niej wprawdzie śmiała znów próba wystawienia szlachcica na scenie, i to nie w pochlebnych wcale kolorach, ale talent zadaniu nie zrównał, i bardzo to jakoś niezgrabne. W pierwszej części tej komedij soltys spotyka się z klechą, wzajem się kłócą, przymawiają, klecha trochę nawet poturbował soltysa, który nawzajem wyprowadza go w pole, opi-

sem swojego szczęścia domowego i mienia. W nawiasach tu powiem że pan Wojcicki omylił się biorąc *klusiątko* za źrebię, do dziś dnia bowiem oznacza to *cielę*.

Pozwany o bezbożność *sołtys* przed pana, tak się trafnie tłumaczy, że pan *sołtysa* robi *klechą*, a *klesze* każe iść do roli. Następnie *sołtys* bieduje że po łacinie nie umie, *klecha* że orać nie potrafi, *cbłop* prosi doktora o lekarstwo dla nauczenia się łacińskiego języka i otrzymuje receptę na smarowanie boków *dębina* i t. d. Najbardziej istotnie zajmującymi są ostatnie sceny w których pan *wchodzi* i *klecha*, pan ma tu dobrze za swoje, bo go autor wystawił opojem i niespełna przytomnym, ale chyba pijaństwo wytłumaczyć potrafi, że go *klecha*, udający filozofa, namawia do wzięcia torby i udania się z nim na wędrowkę *żebracko-filozoficzną*, od czego szczęściem roztropny *sługa* w czas odwiódł *jegomości*. Pan przyrzeka iść na wojnę, nie siedzieć w domu, postrzeżga co szlachcicowi przystoi, i tak kończy się *kome-dja*, która żadnej logicznej niema *całości* i należy do próbek *niefortunnych*, a całą w niej zaletą że *szlach-cica* na scenę wyciąga.

Jednym z dramatów w rodzaju *Sołtysa* i *Klech-y*, *Miesopustu*, *Dziawosłębu* i t. p. już ostatnich,

jest z 1655, jeśli się nie mylę najpóźniejszy: *Uciechy lepaze i pożyteczniejsze niżeli z Bachusem i Wenerą* przez, P. H. P. W. w czasie morowego powietrza pisane. Dwoje tam tych *Uciech*; w pierwszej pa ni sługa, który mszcząc się na nim żywo go pijanego grzebie i na Sicz ucieka, są głównemi postaciami. Rzecz z siebie licha i przedmiot nie do komedij, choć pana z grohu wytrzeźwionego wyprowadzają. W drugiej *Uciesze*, kucharz narzekający na pana, rozkazującego mu wielką ucztę sprawić, całą stanowi sztukę. Są to raczej satyry niż komedje, tyle tylko że dialogowane; obrazki zajmujące pod względem historycznym, jako sztuka nic nie znaczące.

Ale już też to są niemal ostatnie w tym rodzaju pokuszenia i Albertusów teatr, i te komedje usiłujące na tle rodzimem osnuć sztukę, nikną zupełnie. Brakło tu może tylko potężnego talentu, któryby odgadł prawidła sztuki, naówczas jeszcze nie sformułowane, a może mielibyśmy choć pisaną próbę godnej tego nazwania polskiej komedij; te bowiem któreśmy wymienili, nie zasługują artystycznie osądzone na miano komedij, dla braku akcji, dla ułomności formy.

Wyżej powiedzieliśmy dla jakich przyczyn teatr u nas żyć nie mógł, tu jeszcze dodamy, że komedje

wszystkie jak się z ich prologów i treści okazuje, były tylko chwilową, mięsopustną zabawką, grywano je po dworach w ostatni wtorek, raz w rok i na tem koniec; były to zabawki, a myśl podziałania teatrem na ludzi, jeszcze w nich nie powstała.

Jaśniej dopiero w XVII wieku przychodzić do niej poczęto, ale nie o swej sile, przez tłumaczenia, które wielkiego na martwy teatr nie wywarły skutku.

Jeszcze tu wymienić wypada z 1631 roku, dramat religijny o męczeństwie Ś. Stanisława, który młodź jezuicka odegrywała w czasie trybunału. Mamy tylko program tego dialogu, który był więcej *drame a spectacle*, niżeli dziełem poetyckiem; dosyć dla określenia go, wymienić wychodzące osoby, między którymi były: Bolesław król, Stanisław biskup, Wsiewołod książę ruski, Piotrowicz i jego trzech synowie, mnóstwo dworzan i dygnitarzy, wojsko, kapłani, cztery wiatry, cztery części świata, cztery orły, Trytony, Syreny, Nimfy, Bezbożność, Sława, Cnota, Zwycięstwo, oprócz person, które miały machiny stawiać, chóry i intermedja odprawować. To daje najlepsze sztuki wyobrażenie, o której więcej mówić nie mamy potrzeby.

*Dialog Mięsopustny*, zawierający historję Nizusa i Eurjala, ledwie też na wzmiankę zasługuje...

Zda mi się, że nie narzekać potrzeba na ukazanie się w połowie XVII wieku *Cyda* Kornela, *Hipolita* Seneki i *Andromachy* Rasyana, ale ubolewać raczej że te przekłady tak mało na teatr nasz poskutkowały. Nie były by one wynarodowiły go, ale by mu istotne warunków sztuki wzory podały, gdyby teatr był dla nas potrzebnym i możliwym. Nie można zaprzeczyć że *Cyd* i *Andromacha*, w owych czasach i pojęciu sztuki były arcydziełami; są niemi dziś jeszcze w swoim rodzaju, chodziło tylko o talent, któryby zastosował w domu, co genjusz gdzieś indziej stworzył, a tego nam właśnie zabrakło. Później bezmyślne naśladownictwo francuskich tragedij wyrodziło chłodne owe utwory, utoczonym wierszem na wzór ich pisane, przeciw którym zdrowsze pojęcie teatru protestować musiało, ale sądzimy każdą rzecz w miejscu i warunkach otaczających ją, ażeby sąd był sprawiedliwy. *Cyd* i *Andromacha* mogły natchnąć do utworzenia czegoś lepszego jak Rybałtowski komedje i Scylurusowa tragedia, jak dramat o Ś. Stanisławie; ale któż w nich smakował? *Cyda* wystawiono raz na zamku w Warszawie w 1661 r., *Andromachy* podobno nie grano, wydrukowanych mało kto czytał, a teatr na który miejsca w życiu nie było, nie podźwignął się wcale. Nie uszkodził

mu ani *Cyd* ani *Andromacha*. W *Cydzie* Morsztyna zresztą wolemy wierność oryginałowi pierwszego tłumacza, który ściśle odtwarza to co przedsięwziął nam przyswoić, niż swobodę Osińskiego, dającego nam przekład obcięty pod pozorem udoskonalenia. Do takich poprawek żaden tłumacz nie ma prawa, tworzą się z nich bękarce dzieła, nie dające pojęcia oryginałów, i nie będące nowemi utworami, ale niezdatną łataniną.

Napróżno Morsztyn i *Cyda* i *Hipolita* Seneki tłumaczył, napróżno przełożono *Andromachę*, nie mogło to zająć Polski, która wcale co innego miała podówczas do czynienia, obraniając się ze wszystkich stron napaściom wewnętrznym i zewnętrznym nieprzyjaciół. Szlachcie siedział na koniu, bił się, konfederował, bolał i w głowie mu nie było zabawiać się krotoczwilami, które dziw że i na zamku pod taki czas wystawiano. Zresztą jak pojmowano teatr u nas, dobre da pojęcie znany u Paska opis wypadku francuzkich amatorów, którzy na rynku w Warszawie chcieli sobie odegrać sztuczkę z okazji otrzymanego nad Austrią zwycięstwa.

•Pozwolono im, píše Paszk, w teatrze publicznym w Warszawie, tryumf uczynić z otrzymanego nad Austrią zwycięstwa. Kiedy wprowadzono osoby na teatr, muzykę i ogień do tryumfu, zeszło się

ludzi kupa i na koniach przyjeżdżało, na owo tak cudowne widowisko. Jedni z Warszawy wyjeżdżają, drudzy przyjeżdżają i kto obaczył, to się też zatrzymał na owe dziwowisko, choć mu pilno było. I ja też tam byłem, bom wyjeżdżał z Warszawy, a wyjechawszy z gospody, stanąłem też tak z czeladzią na koniach, na owe patrząc dziwy. Stali tedy, około tego widowiska, ludzie różnego stanu i różnej fantazji. Kiedy już insze odprawiły się indukcje, to jest, jako się potykali, jako się piechoty zwierzały, jako komunik, jako strona stronie z placu ustępowała, jako brano więźniów niemieckich, szyję ucinano, jako do fortec szturmowano i one odbierano, zgoła z wielkim kosztem i okazałością te rzeczy odprawiały się. Skoro już jakoby po zniesieniu wojska i położeniu nieprzyjaciela na placu, prowadzą w łańcuchy Cesarza, w ubiorze cesarskim, koronę już nie na głowie mającego, ale w rękach niosącego i w ręce królowi francuzkiemu oddającego onę, wiedzieli tedy że to był francuz znaczny który osobę cesarską, w łańcuchu idącą, reprezentował, i potrafił twarz jego i wargę tak też, jako cesarz wywracać i począł jeden z polaków konnych wołać na francuzów: Zabijcie tego sk.... kiedyście go już porwali, nie żywcie go, bo jak

go wypuscicie, będzie się mścił, będzie wojnę mnożył, będzie krew ludzką rozlewał, a tak nie będzie świat miał nigdy pokoju. Gdy go zabijecie, król francuzki osiągnie cesarstwo, będzie cesarzem, będzie, da Bóg, i naszym! Na ostatek jeśli wy go nie zabijecie, to ja go zabiję! Porwie się do łuku, jak utnie pana cesarza w bok, to aż drugim bokiem żelazo wyleciało, i zabił. Drudzy polacy także do łuków, kiedy wezmą szyć w ową kupę, naszpikowano francuzów dużo, a nawet i tego, co siedział w osobie króla postrzelono na ostatek w głowę, aż z majestatu spadł pod teatr i z innemi francuzami uciekł. Stał się na ten czas po Warszawie wielki rozruch, ja sam wyjechałem zaraz, abym nie miał jakiej napaści, żem też to tam stał w owej kupie.

Teatr któremu nie pomogły wzory, nie podrosłszy, i w próżnych wysiłkach ostatek życia straciwszy już w drugiej połowie XVII wieku, przechodzi całkowicie do dworu, przerabiając się w panegiryk i widowisko, do szkoły i na ręce professorów i młodzieży. Tych nawet sztuk o których wieść do nas doszła niemamy po większej części drukowanych całości, tylko programata, i te są wystarczające by je ocenić. Nie słowo tu, nie poezja, ale inwencja mądra, ale odmiany zadziwiające, maszyny, ogień,



salty, karusele, przebrania, stanowiły cały interes. Takim dramatem jest *Chozroes*, u Jezuitów w Poznaniu grany, takim *Zeno*, przedstawiony w Toruniu, takim pobożny spektakl o *Niepokalanem poczęciu w Krakowie*, *żywot Ś. Marij Magdaleny*, wystawiony w Wieliczce, *Abrys życia Ś. Katarzyny*, tamże, *Nowy Raj Toruński*, *S. Jerzy Brodnicki*, *Brama Grzymała*, przez Jezuitów prowincij mazowieckiej skomponowana i t. d. Nie podobna zresztą wyliczyć, ile dialogów, tragedij, widowisk, melodramatów, z intermedjami, i reprezentacij którym nazwiska nadać trudno, po szkołach, kolegiach i akademiach natworzono, sadząc się na koncepta, od panowania Jana Kazimierza do końca Augusta III.

Komedja rybałtowska stara, dialog pocieszny mięsopustny, w których choć trochę jest naszego, znikły zupełnie ze sceny, bo też scena się przeniosła wyłącznie do szkoły Jezuickiej, a Jezuici wzięli dramat za środek edukacyjny dla młodzieży. Przedmiotem jego są jak widzimy żywoty świętych, podania, allegorje, symboliczne rapsodje, pełno w nich postaci najdziwniej obmyślanych, ale życia nic. Papierowy to dramat, uczciwy, przystojny, deklamacyjny, studencki. Wysiłają się szkolne dowcipy jakby najwięcej nań zebrać cudowisk, wymyślanych

monstrów, dziwów, zmian, jakby machinerję uczynić główną dramatu machiną.

Słowo nic tu nie znaczy, wiersz rzecz podrzędna, charaktery z gruba tylko się zarysowują, cała praca by coś niebywałego wymyśleć, smok, poczwara, orły, lwy, ognie, deszcze siarczyste... oto zadanie główne autora. Godna uwagi, że jak tylko zdrowe pojęcie sztuki upada, gdy brak pisarzy, zawsze niedołącznych talencików zadaniem, stworzyć nowe i niebywałe, błysnąć konceptem, zadziwić bogactwem, i nic dla takich epok wstrętliwszego i niepojętniejszego nad prostotę.

Czegoż tu niema w tych przedstawieniach, których programów tyle zebrał P. Wojcicki — Święci pańscy, poganie, zwierzęta, elementa, allegorje, symbole, cuda, ognie, salty z kopiami i tańce satyrów, nymfy, trytony, mythologia, mieszanina słowem najniedorzeczniejsza, w której sensu i smaku za grosz nie znajdziesz. Na pozór potężne zawsze zadanie każdego z tych dramatów pobożnych, męczennicy pełni ducha, cnota w walce z przemocą i występkiem, tryumfy ziemskie i niebieskie dobra, ale to nie maluje, nie przedstawia, chce dowodzić i tem się gubi. Małuczki człowiek tak jest czemś innem od tych bohaterów Jezuickich, tak świat ów niepo-

dobny do tego w którym on żyje i obraca się codziennie, że to na nim najmniejszego nie może robić wrażenia. Coś to nakształt tego jakby kto malował draperje, nie myśląc o człowieku, którego pokrywają; i tu braknie człowieka, wszędzie pusto i chłodno, a straszno, a w dodatku śmiertelnie nudno.

Słowem nie ludzkiego w dramacie szkolnym, do zbytku poważnym, heroicznym, niedorzecznym i wysilonym. Nie dziw że w tego rodzaju widowiskach nikt zasmakować nie mógł, i że z nich nie nad to, czem one zrazu były, wyrosnąć nie potrafiło.

Takie są dzieje teatru polskiego i jego losy, poczyna się on dialogiem na rynku, kończy dialogiem w szkole, urozmaica chwilowo niezgrabną ale żywą komedją ludową, gminną, bogaci go kilka tłumaczeń nie pocutych i zapomnianych bez rozgłosu. Do panowania Stanisława Augusta, rzecz można, nie mieliśmy i mieć niemożliśmy teatru właściwego, nie był on w potrzebach i obyczajach naszych, wyrastał kilkakroć jak bojaźliwy grzybek z ziemi, i zawsze go zgnięciono... Spojrzawszy na próby pierwsze Kochanowskiego i Zawickiego, można by z nich brać otuchę wzrostu, gdyby znalazły się dłonie co by mu po klasnęły, serca, któreby uderzyły wtórem, ale nic obojętniejszego dla ogółu nad scenę.

Kilku żaków, klechów kilku, wyjątkowo w czasie mięsopestu dworzanie, potem studenci szlachta, oto aktorowie, a widzów prosić trzeba i kłaniać się by przyszli posłuchać. Już to samo że nigdy regularnego teatru publicznego nie mieliśmy dowodzi że potrzeba jego czuć się wcale nie dała. To co w XV w. Długosz zowie teatrem publicznym, nie było czem innym tylko żakowskim widowiskiem w pośród rynku, gdzieś pod murem smętarza, w pustej szopie lub gospodzie. Nigdzie śladu by się ludzie zebrali w stowarzyszenie, zajmujące się wyłącznie teatrem, aktorów jak teatru regularnego nie było, amatorowie i włączący się za jałmużną klechowie, bawili widzów przypadkowo, obchodząc ich po tem z woreczkiem jak dziad w szopce. Zdaje mi się że pilne wpatwienie się w dzieje, tak naturalnie ten brak zamięlowania tłumaczy, iż dłużej nad nim rozwodzić się nie ma potrzeby.

Dnia 29go marca  
1856.



V.

**KRAJOBRAZY.**



## I.

**T**rzeba być trochę ślepym lub bardzo uprzedzonym, żeby nie widzieć piękności, w jakie kraj nasz obfituje. Mówię tu szczególnie o krasie, jaką go Bóg obdarzył. Ale najczęściej piękność tę poczuwać zaczynamy, gdy ją stracimy z oczów, i trzeba jej pozbyć żeby ją ocenić; oczy i serce oswajają się z nią i ślepe się stają, wspomnienie i żal, potężni artyści, stawiają nam ją dopiero w świetle ideału. Dotąd tak mało się poznano na kraju naszym, że pewne tylko uprzywilejowane niejako strony jego miały artystów chętnych, co je odwzorowywali. Dolina Ojcowska, Pieskowa Skała, okolice Krakowa, część Galicji z łaski A. Lange, który pierwszy piękność jej zrozumiał, powtarzają się najczęściej; Tatry wreszcie, pierwszy raz pojęto żywo i oddano wiernie przez Głowackiego. Nad to dotąd nic prawie nie widzieli pejzażyści nasi. A i tu, szczerze powiedziawszy, dopiero w ślady Vogla i Richtera, za mi-



strzami uczniowie, na ich sposób poszli się przypatrywać naturze, ich ręką niemal prowadzeni postępowali ostrożnie, powoli, niewolniczo, do pojęcia piękności własnej ziemi dochodząc przez naśladowanie.

Jeden z tych którym kraj nasz największą wienien wdzięczność za artystyczne odtworzenie swych pomników i ciekawych widoków, był właśnie wspomniany Z. Vogel, niezaprzeczenie w swoim rodzaju prawdziwy mistrz, szczególnie w pierwszych planach pejzażu, gdyż rozległych widoków unikał; mistrz w obraniu punktu do skreślenia krajobrazu i z niesłychanym smakiem umiejący stworzyć z garści ruin, płotów i ziela, całość ujmującą wdziękiem malarzkim i nowością efektu, na ostatek artysta pełen stylu. Figury jego są mniej niż słabe, niekiedy uderzające nieproporcjonalnością, ale też podrzędną bardzo grają rolę w jego pejzażach i są widocznie rzeczą dodatkową: za to ruina, architektura, drzewa, zarośle, i najdrobniejsze szczegóły upoetyzować umiał Vogel, nie zmieniając ich natury, z prawdziwym talentem. To co Frey sztychował z niego, nie daje całej miary artysty, mnóstwo rysunków mamy po zbiorach prywatnych, które dowodzą lepiej jak uposażony i ukształcony był ten człowiek, za lekko dotąd ceniony u nas.

Niechybnie jemu i Smuglewiczowi, mniej jeszcze nadeń z tej strony znanemu — bo całe jego Album pejzażowe, prócz kościółka Ś. Anny w Wilnie, w tece niewydane zostało, winniśmy niemal pierwszy krok zrobiony w pojęciu piękności naszej rodzinnej ziemi; ale Vogel i Smuglewicz, ze względu na wiek w którym żyli, choć czasem pojęcia jego prześcigali, nie mogli się całkiem uwolnić z tego, co na ówczas za prawidło kompozycji pejzażowej uważano. Wybierali więc najpospoliciej ruiny, gmachy, pomniki miast, a wsi i naszej dzikiej natury nie tknęli się prawie. Z dawniejszych od nich i im współczesnych wspomnieć tu jeszcze powinniśmy, naprzód wygnańca Teodora Lubienieckiego, którego kilka sztychowanych pejzażów, nic krajowego nie mają; Norblina, czasem wybornie chwytającego chatki i karczemki jakich kilka jest w jego dziele sztychowanym; Richtera wreszcie, który miał uczucie piękna, ale patrzył przez okulary XVIII w. na naturę. Opuszczam wiele próbek mniej znaczących, bo nie myślę tu pisać historij tej gałęzi sztuki w kraju naszym i przeskakuję do Głowackiego, który lepiej może, bo prościej od innych, pojął Tatry i cudnie je odtworzył. Ale ten sam Głowacki jeszcze, z lada chatki, pólka, płotu i pospolitszych danych nie umiał zrobić ob-

razu, potrzeba mu było gór, panoramy wielkiej, perspektyw rozległych. Zdaje mi się, że Calamowskie wytłumaczenie kraju naszego dotąd pozostaje do życzenia. Tu i owdzie widzimy próbki szczęśliwe, ale nikt niema odwagi szukać w najprostszych przedmiotach elementu charakterystycznego obrazu. Wielu, jako akcesoryjną rzecz, dosztukowują pejzaż do kompozycji; inni nie wiedzą co z sobą począć gdy im przyjdzie z płotu, gruszy, wrót, kołków, stworzyć żywą i coś mówiącą całość. W tym rodzaju niektóre próby w Dmóchowskiego z Wilna, Białowieszka puszcza jego, chata wieśniaka litewskiego, są bardzo zastanawiające. Ale wszystko to jeszcze nie to, czego byśmy pragnęli. Jak Calame ze swej sosny, skały, szaletu tworzy cały poemat, czyżbyśmy i my z chaty, lasu, wzgórza i drzemiącej wody nie mogli go także utworzyć??

Powiecie mi zapewne, to Calame i Szwajcaria! Tak! Calame! ani słowa! Co się tycze Szwajcarij, piękność inna wprawdzie od naszej, ale śmiem utrzymywać, że i my swoją mamy, i niczyjej zazdrościć nie potrzebujemy. Zresztą, ten sam wielki mistrz którego wspomniałem, z powalonej kłody, ruczaju, kilku pni, tworzy obrazy olbrzymie myślą i właśnie trzeźwości głównie, pozostaje się nam nauczyć od

niego. Malarze nasi dotąd zawsze za wiele chcieli robić razem; jeżeli pejzaż przedsięwzięją, radziby w nim umieścić wszystko i kończy się na tem, że dawszy wszystkiego po trosze, w istocie nic nie stworzą, zabijając jedno drugim.

Wszystko to zależy od artysty; wielki mistrz umie z niczego prawie świat swój wyprowadzić do życia, talencik mały potrzebuje przeciwnie wiele na każdy swój utwór; ilością zastępuje jakość, sądzi że gdy wiele napcha w obraz, da dowód bogactwa kompozycji, ale niestety, mylne to przekonanie pochodzi z niewiedomości pierwszych zasad sztuki.

Zawsze się nam zdało i zdaje, że w publikacji Albumów naszych krajobrazowych, choć naśladujemy cudzoziemców, nie weszliśmy dotąd na dobrą drogę, właśnie dla tego, że ich naśladujemy. Za granicą bowiem istotnie widoki miejsc charakterystyczne, to są widoki monumentów, pomników, gmachów; u nas te rzeczy choć piękne ze względu na nasze dzieje i przeszłość, ale z natury żywota kraju, przedewszystkiem gospodarskiego i wiejskiego, nie mają takiej wagi. Kto chce kraj nasz odwzorować żywo, musi pójść na wieś, do dworku szlachcica, do chaty chłopka, w zaścianek, nad staw i młynek,

do pasieki, pod kościółek stary i dzwonicę zgarbioną, pod figurę w lesie, i tu dopiero znajdzie, odwzoruje co właściwie jest naszym.

Nie malujmy ani niemieckich po trosze miasteczek, często wcale nie pięknych i pospolitych, ani płotów, pod pozorem historij, ale to co istotnie piękne, znaczące, charakterystyczne, własne nasze. Często podwórko włościanina, stodółka jego i chata z brzozą, wrota dziedzińca, ganek z ławami i sad wiśniowy, lepiej nam nas samych poznać dadzą, niż naprzykład jakiś tam park angielski pałacu JW. hr. X. X. X. który się robi dla dedykacij i dogodzenia próżności mniemanego amatora natury. Artysta ma tysiączne środki zrobienia pięknem nawet tego co niem w naturze nie jest dla oczów pospolitych ludzi, bo on widzi jaśniej i pełniej, byle by miał ducha w sobie; obranie punktu widzenia, oświetlenie, koloryt, pewien styl i wdzięk rysunków, zbroją go w środki niewyczerpane.

---

## II.

Fałszywe tylko pojęcie tego, w czem leży właściwie charakter piękności kraju naszego, sprawia, żeśmy o nim dotąd ani sobie, ani drugim wyobrażenia dać nie mogli. Jest to tak właśnie, jak gdybyśmy, chcąc ubiory krajowe malować, wybrali klasę, która w całej Europie niemal jednako się nosi, a nie te co się wybitnie odcechowuje od innych. Wszystkie dotąd Albumy przedsięwzięte były w ten sposób i wykonane; niektórym z nich nie zarzucić nie można; tak naprzykład w przepysznej publikacji J. K. Wilczyńskiego, którego przedsięwzięcie olbrzymie istotnie epokę w historii sztuki naszej stanowi. Widoki Werek, Czerwonego Dworu, Ostroga, Korca, Kockenhusen, Kamieńca, Żwańca itp., mogłyby być dane za pejzaże z okolic środkowej Europy, Niemiec itp. uszłyby za coś tamtejszego, równie jak za nasze; winien temu wybór przedmiotów. Jeden tylko domek w Mereczowszczyźnie ma

piętno swojskie, krajowe, choć i to właściwie jest portret budowy, a nie pejzaż charakterystyczny.

Widoków, któreby obraniem miejsc i schwy-  
ceniem strony malowniczej kraju uderzały, znamy  
dotąd bardzo mało; i te są rozrzucone w dziełach  
różnych artystów, jakby na nie przypadkowo trafili.  
Dziwi mnie to, bo zdaje mi się, że kraj nasz po-  
siada tysiące nowych elementów, nie zużytych, nie-  
tkniętych, któreby cudownie użytecznić się dały.  
Niema tu zresztą wydziedziczonej prowincji, niema  
opuszczonego od Boga kątko, wszystkim się coś do-  
stało w podziale; każda kraina ma swoją fizio-  
gnomją rodzimą, swój wdzięk, swoje piękno, dające  
się wytłumaczyć w jednych więcej linją, w drugich  
więcej kolorytem i światłem. Znam wiele stron kra-  
ju naszego, a nie widziałem jeszcze kątko, któryby  
nie mógł się stać malowniczym pod ołówkiem lub  
pędzlem artysty.

Ale natura sama przez się jest martwą lub ży-  
wą w miarę tego, jak przeciw niej stoi człowiek,  
co w nią wzrokiem i duszą wlewa śmierć lub ży-  
cie. Trzeba pojąć jej poezją, by ją odtworzyć; aby  
ją pojąć, samemu sobie ku temu wykształcić się na-  
leży. Pojęcie zaś piękna w naturze nie jest łatwym,  
wielostronne jej oblicze uderza różnie artystę; każdy

ją chwyta inaczej, rzadko ze strony właściwie charakterystycznej, a tu właśnie od tego wartość dzieła głównie zależy. Większość artystów, wykształcona na dziełach zagranicznych pejzażystów, zbyt roztrągniona, by kraj swój poznała do głębi, chwyta stronę jego powszednią, ogólnik jakiś, poetyzuje go, i idealizuje w sposób zacierający piętna i tworzy oklepankę. Dla istotnego poety-artysty z niczego wyrasta arcydzieło, miernemu nic nie pomoże najpiękniejsze zadanie. Ducha w nie tchnąć potrzeba, bo go nic nie zastąpi.

Pejzaż jako utwór sztuki, dzisiaj dopiero może pojęty został lepiej i pełniej. Claude Lorrain, z konwencjonalnymi drzewami swojemi i włoską kampanją, Poussin z teatralną panoramą gór, Breughel, że nie liczę już Guaspra i szkoły francuskiej, w dekoracje w XVIII w. przechodzącej, byli to wszystko pejzażyści klasyczni, którzy z natury chwyтали to właśnie, co w niej było najogólniej pięknego, unikając właśnie charakteru, jakiego my dziś szukamy; poezja prawdy, prawda ideału, były im całkiem nieznanne.

Indywidualne cechy pejzażu, że się tak wyrażę, zidealizowanie piętn wybitnych, nie obchodziły ich wcale; odwzorowywali szczególnie naturę wielką, heroiczną i w liniach majestatyczności peł-



nych ale jednostajnych szukali poezij jej wyłącznie. Ścierali umyślnie co było powszedniego, nadawali uroczystość jakąś, teatralność, pompę, śpiewali poemat, w którym, jak w wielu poezjach owej epoki, byli ludzie, ale nie wiadomo jakiego kraju i epoki. Dziś pojęliśmy, że ogromna różnorodność żywiołów malowniczych, rozsianych w naturze, nie może pójść w nie i zostać ominioną, wyrzuconą bez pożytku na śmietnisko. Sztuka postrzegła wreszcie, ile nieskończonych rodzajów piękności natury zobowiązują ją do pełnego różnorodności i charakteru idealizowania wszystkiego, co Bóg dał dla niej, jako surowy materiał natchnienia; wzgardzić połową swych skarbów było dowodem tylko, że się ich ceny nie pojęło.

Nie same jakieś linje konwencjonalne marzonego dziwów świata, nie drzewa i wody abstrakcyjne i w ogólniki przechodzące odwzorowywać było potrzeba, ale każdego z osobna kątka ziemi tłumaczyć właściwą poezję, w całej jej niewyczerpanej różnorodności, w której tkwi wszędzie jakiś odblask piękna, jak słońko w kroplach rosy, odbijające się na każdym trawy ździebelku.

Równow z tem nowem pojęciem natury, zaczęto upatrywać w niej coraz nowe wdzięki i oceniać to,

co wprzódki przesuwano się dla nas niepostrzeżone. Ruysdael oceniony został lepiej, zwrócono oczy na pejzażystów flamandzkich. Vernet stary jeszcze dekoracyjne, ale już pełne prawdy poczynił malować widoki morskie, i po XVIII w. nieznośnych komunalach, których uosobieniem jest Bourgeois we Francji i jego współcześni, z bladami swemi willami włoskimi i fabrykami bez końca, Francuzi zaczęli się zbliżać do prawdy, a przez prawdę dochodzić poezji. Dzisiejsza szkoła pejzażowa francuzka, choć nie dosięga jeszcze czego dójść może, choć za wyłączenie może to kolorytem się pstry, to światłocieniem zabawia, a za mało rysuje i myśli, wpadając z naturalności w trywialność, jest już przecie na gościńcu postępu...

Calame, choć nie francuz, stoi tu na czele reformatorów; mistrz to nad mistrzami, nie tylko w kompozycji która jest jego siłą główną, ale w wykonaniu prawdziwie artystycznym, bo umiejętnie poświęcającem dla myśli naczelnej, akcesorja podrzędne. Ani Rousseau, ani inni sławieni pejzażyści francuzcy, ani liczni naśladowcy Calam'a, Hubert, i t. p. po kolana nie dosięgają wielkiemu genewskiemu artyście. Z ręki jego wylewa się poezja strugą szeroką, a każdy jego rysunek żyje i tak prze-

nosi w kraj, którego jest idealnem wspomnieniem, że napatrzwszy się go, można nie podróżować, lepiej już nawet nie widzieć Szwajcarii, bo by się suchą i zimną wydała. Choć mało znanego, zacytujemy tu przy nim J. A. Laurens'a, autora małego traktatu o pięknie malowniczym, rysownika wybornie chwytającego charakteru pejzażu i znakomitego kompozytora, a w architektonicznych widokach Stroobanta.

Najglówniejszym wnioskiem, jaki się z zapatrywania na dzieła ich wyciągnąć daje, jest zasada, że wszystko pięknem być może, co tylko dusza artysty podnieść zechce do ideału. Im potężniejszy, większem jasnowidzeniem piękności obdarzony genjusz, tem z mniejszego tworzy. U Calam'a często sine oddalenie, trochę wody stojącej, zielsko nad nią zarosłe, zgniła kłoda lub czółen rozsypany, to cały pełen poezij melancholicznej pejzaż. A powietrza w nim ogrom, jest czem tchnąć, a szeroki, a wielki, a myśl po nim buja jak w nieskończoności. W pięknym smętarzu Lessing'a, kilka jodeł osrebrzonych śniegiem, mur kościółka i głąb jego, składają pełen niewysłowionego smutku obraz. Dla czego byśmy u siebie znaleźć nie mogli i nie mieli żywiołów do pięknych arcydzieł? Nie materiałów nam brak, ale artystów.



### III.

Szukajmy tylko natchnienia, a znajdziemy, pracujmy, a stworzymy piękność naszą, ale artyście wybierającemu się w wędrowkę malowniczą po kraju, nie teki tylko, ołówka i dobrej woli; więcej, więcej czegoś potrzeba!

Śmiecie się jeśli chcecie, ale modlący się Fra Angelico przed zaczęciem obrazu, powinien nam służyć za przykład. Jeśli nie modlitwą gorącą, do której nie każdy zarówno jest usposobiony, to miłością wszystkiego co swoje i wszechstronną znajomością kraju, potrzeba się uzacnić, podnieść, usposobić do pojęcia natury. Niemą, suchą i zimną ona będzie dla zimnej piersi i oka; trzeba koniecznie kochać ją by pojąć, wcielić się w nią, zjednoczyć, wdumać, i czekać, aż zstąpi i opromieni natchnieniem. Wiem, że uczeń wychodzący ze szkoły, potrafi zręcznie narysować lada lepiankę, zrobić swój szkic powabnym dla oka, użyciem ołówka zręcznym, swobo-

dnem i stworzyć miłą oklepankę bez myśli, lub coś co nawet przypadkowo myśl mieć może, choć w nie artysta jej nie wlał, a poeta wzrokiem ją dopatrzy, przez rysownika sięgając do natury, ale tem się zadowolniać nie podobna.

Sztuka nie jest zabawką, ani pejzaż cacką dla dzieci.

Żeby istotnie stworzyć coś godnego nazwiska arcy-dzieła, i nadać temu charakter własny, nie dosyć przebieść kraj i schwycić powierzchowność jego, bijącą w oczy, bez wyboru i zastanowienia; trzeba go poznać głębiej, umiłować, wżyć się w jego tajniki, trzeba może zateśknić za nim, może po nim zapłakać. Naówczas strzeli z serca promień natchnienia i ozłoci wszystko, od drobnej trawki, do płynącej w powietrzu fantastycznemi skrzydłami chmury, i zaśmieją się chatki, i zaszumią drzewa i przemówią omszone krzyże nasze, i rozwidnieją sine horyzonty lasów.

Nie myślę tu wcale przedsiębrać żmudnego wykładu wdzięków niezliczonych, jakie kraj nasz posiada, kraj ze swem niebem chmurnem a tak rozmaitości pełnem, wydający mi się najpiękniejszym w świecie, ale czuję że powołany do odwzorowywania go, nie potrzebuje szukać koniecznie Karpatów za

tło do obrazu, a majestatycznych ruin na pierwsze plany. Obok poematu heroicznego śnieżnych Tatrów, jest pieśń, którą nuca rzeki sine, jest urocza bajka, którą szumią nad mogiłami lasy nasze, i śmiejąca się na podwórkach chat piosenka.

Jakiż to pejzaż naprzykład, stworzyłby drugi Calame z Wisły pod Bielanami, odrzuciwszy nawet kościółek, klasztor, mury, z samego tylko urwiska, kilku sosen, ławy piasków, zielonych zarośli na kępach, wody szeroko rozlanej i szeroko rozpiętego nieba! Wieleż to znowu naszych starych drewnianych kościółków wiejskich, otoczonych lipami wiekowemi, proszą się na płótno; wiele prostych figur naddrożnych, otoczonych smętną, ale nie bez charakteru płaszczyną, ogromną poezją mówią do duszy. A brzegi Niemna i litewskie lasy, a Białowiezka puszcza ze swemi drzewy, których wzrost u nas niema nic równego, a cudne, kamienne płoty litewskie i urwiska gliniaste i chaty szare? a teatralniejsze już widoki Podola, z mnóstwem stawów, pooprawianych we wzgórza i gaje i jak brylanty świecących; a Wołyń ze swym uśmiechem młodzieńczym i weselną szatą urodzajów; a szumiące borami i tęsknotą Podlasię, a cicha Pińszczyzna, najeżona trzciniami i posrebrzona wód rozlewem, że pomnę już znajomsze

okolice Krakowa i inne strony królestwa, często i zbyt wyłącznie powtarzane — nie są to skarby dla artysty? Ile materiałów, jakie ich połączenie! ile oryginalności w samych zadaniach! Trochę ducha, a co by to z tego wyrosło!! Szukać daleko nie potrzeba, odwrócić się, obejrzeć, popatrzeć oczyma duszy, podumać, przeżegnać się i malować.



## IV.

Nie mogę się, rozpatrując myślą w kraju naszym, wydziwić brakowi uczucia w pejzażystach naszych, obojętności z jaką wolą powtarzać piosnkę jedną za panem nauczycielem, niż coś pojąć i stworzyć sami.

Pejzaż, nawet wprost z natury wzięty, nie jest kopją chłodną, ale może być utworem i poematem; z jedej okolicy, z jednego punktu, wedle ducha i oka co na nie patrzą, stworzy się tyle różnych dzieł, ilu było naprzeciw zadania artystów. Wykład natury cały jest w człowieku, który ją za przedmiot bierze, ona się nie narzuca absolutnie jako niezmienna karta, na której by jedno stało napisane słowo, ale się barwi, mieni, płacze, uśmiecha, wedle woli twojej, wedle myśli, wedle tego jakim ty jesteś dla niej. Matka to która milczy dla zimnych dzieci, a kochające, pieszczone swe dziatki... do drżącej i pełnej piersi przyciska. Posłuszna skinieniu,



powleka się szatą smutku lub wesela, olbrzymieje i drobnieje, zazielenia i czerni, jak jej każesz. Bezmyślny daguerrotyp i martwa fotografia, wezmą jak słusznie mówi Töpfer, linje martwego trupa, ale ducha, charakter i życie, pochwycić potrafi artysta tylko.

Najwierniejsze studjum z natury może być niepodobnem do niej, gdy kilka linii natchnionych odtworzy ją potężnie. Prawda najwyższa nie zależy tu na wierności niewolniczej, ale na potędze wykładu. Znam portrety i widoki, których z najdoskonalszych fotografii przypomnieć sobie nie można pierwowzoru, dla tego że ich fizioognomją tworzy duchowy jakiś charakter, gdy inne, nie artystyczne, nie malownicze przedmioty, właśnie się kwalifikują do daguerrotypowania. Weźmy ostateczne krańce dla lepszego poznania tej prawdy; wszystko co tworzy człowiek, jedynie powodowany potrzebą cielesną i zaprzątiony materjalną korzyścią, jak maszyny, gmachy fabryczne itp. doskonale odwzoruje daguerrotyp, bo w nich zimny swój rozum tylko, w linjach nieubłaganej surowości zapisał człowiek; gdzie zaś mówi uczucie jego i serce, gdzie pełniejsze jest życie, tam żywotnie wykładać je potrzeba, lub nie więcej nie zyszcze się nad trupa przedmiotu. Ze zwłok

zmarłego uciekła tylko dusza, nic się w nich jeszcze nie zmieniło cieleśnie, a już nie jest to ten człowiek, któregośmy widzieli przed chwilą; tak w obrazie, najwierniejsza kopja nie da mu życia, jeśli artysta ducha weń swego nie wleje. Potężna to zagadka życia! Trafiają się po świecie twarze i widoki ogromnie od siebie różne, nie podobne właściwie, a jednak uderzające pokrewieństwem i przypominające jedna drugą.

Na pierwszy rzut oka wołasz: A! jak to do tamtego podobne! Tymczasem zbliżywszy się przekonasz, że niema wcale materjalnego podobieństwa, jest tylko tożsamość żywotna, duchowa, tajemnicza... Taką tożsamość, taką prawdę, a nie zimne linje i tony, musi pochwycić artysta, a musi wyidealizować naprzód żeby być wiernym. I idealizowanie to nie na pewnej jakiejś elegancji linij, nie na jakiejś umówionej ich równowadze, ale na uczuciu z jakim mistrz na naturę patrzy i stronę jej chwyta, zależy.

Nic zimniejszego i bardziej martwego nad okolicę wyportretowaną w obrazie sumiennie a bez natchnienia; schwyć z niej piętno, wyrwij jej duszę, napisz na papierze słowo jej, a uczynisz więcej kilką rysami, niżelibyś zrobił kilkoletniem studjowaniem

na zimno. Nie po stokroć to już powtórzono, a jednak powtórzyć jeszcze nie zawadzi, że prawda sztuki, a prawda rzeczywistości, są to dwie rzeczy całkiem odrębne; pierwsza, rzecz można, prawdziwszą jest jeszcze od drugiej.



## V.

Charakterem najogólniejszym pejzażu naszego jest niewątpliwie spokojna jakaś tęsknota; najczęściej składają się nań linje poziome, które w naturze wyrażają spoczynek; w takie linje ścielą się chmury pogodnego dnia o zachodzie słońca; w podobne rozściela się morze i step.. ale na tem tle spokoju, co za nadzwyczajna różnaitość.

Poczawszy od nieba naszego, które przenoszę nad ów czysty i silny, ale martwy lazur Italij i Wschodu, ile barw świetnych i smutnych, ile sprzeczności, ile tonów, jaka różnaitość kształtów w obłokach i chmurach, jakim wdziękiem osłania doliny mgła na pół przezroczyta, poranne i wieczorne wyziewy i opary.

Trafiają się i u nas dnie i nocy tak przejrzyste, tak świetne, że nie ustąpią najpogodniejszemu Włoch niebu; ale mamy obok nich to, czego pojęcia mieszkańiec stron południowych mieć nawet nie może. Kontra-

stem z szarą, burą, ciemną, czarną barwą chmur naszych, lazur choć bledszy, dla nas bywa niezmiernie świetnym, lada promyk gorejącym. O wschodzie i zachodzie słońca trafiają się efekta, zadziwiające potęgą tonów i budową tych fantastycznych gmachów powietrznych, pomalowanych tak cudnie ręką Bożą, mistrza nad mistrze! Nasze pogody i burze, rozpalone lipcowe do białości niebios, księżycowe nocy, zimowe zadymki i iskrzące niebo, pozwalają wybierać artyście w mnogości niesłychanej kombinacji, byle chciał patrzeć i nauczył się pamiętać, nie tak barwy same, jak wielką ich tajemnicę — *stosunek* jednej do drugiej.

W pejzażu nowej szkoły niebo gra bardzo wielką rolę. Dawniejsi malarze podnosili horyzont i ziemię zbytecznie, nie wiele zostawiając na niebo, całą uwagę swą zwracając na ziemię; dzisiejsi, słusznie bardzo zniżyli poziom i niemal dwie trzecie części wysokości całej obrazu dają niebu. Niebo też tak zwykle widzimy w naturze, prócz wyjątkowych wypadków, okolic górzystych itp.

Jako tło, od ziemi gammą swych tonów zupełnie się różniące, wspomaga ono niezmiernie malarza, wpływa wiele na efekt bliższych planów, uwydatnia je kontrastem, lecz nie zawsze gra tę rolę

tak podrzędną. Czasem główny efekt i myśl główna artysty jest właśnie na niebie, jak w obrazie Ruysdaela zwanym *Coup de soleil*; jak w wielu nowych Gudin'a i rosyjskiego Ajwazowskiego.

Już z dawniejszych malarzy wielu instynktowo trafiali na ten pewnik, że niebu potrzeba dać szersze rozmiary: jak Potter, Wouwermans, van Goyen i inni; dziś niektórzy bezmyślni naśladowcy mistrzów, posuwają znów aż do przesady udział dany niebu w pejzażu, robiąc je całe niebem tylko. Rzadko kto z trzeźwością przyzwoitą, z czystością tonów jakiej wymaga powietrze, traktuje tę część obrazu. Z naszych pejzażystów nie znam żadnego, coby się choć zdala przysunął do Ajwazowskiego i Gudin'a. Dmóchowski grzeszy użyciem czarnych tonów i czarnej farby, której w powietrzu nie ma, uczucia jednak mu nie brakuje; Głowacki na górach, które studjował w różnych odległościach, nauczył się powietrza, i w ogólności paletę ma świeżą, ale to jeszcze nie ten mistrz o którym marzemy...

Gwałtowne efekta światła i cieni, zbyteczne wyszczegółowanie niebios, nie są korzystne pejzażowi. Pierwsze, w naturze i na obrazie rzadkie być powinny, a nigdy nie przechodzić w nałóg i maniérę, drugie, jeśli niebo nie jest głównem zadaniem, szkodzą całości, odciągając oko.

Pospolici tylko artyści zmagają się na gwałtowne sprzeczności, chcąc malować błyski, ciemności i rzeczy, pochwycić się nie dające; prawdziwie natchniony mistrz nie wysiła się na to, i maluczkim potrafi uczynić wiele.



## VI.

Przechodząc na ziemię i poczynając od składających twardą jej skorupę skał, z wyjątkiem Karpat, nie wielką widzę różnicę. Wszakże i tu baczne oko artysty rozróżni rozmaite rodzaje pokładów granitu, piaskowca, wapienia, gliniaste urwy, piaszczyste osypy itp. mające właściwe sobie nie tylko kierunki rysów, szpar i pęknięć, ale koloryt, mchy i porosty, słowem różne i właściwe sobie fizioognomje. Jedne z najpospolitszych u nas, urwiska gliniaste i piaszczyste, bardzo są do traktowania trudne w tonach i kształtach. Z pamięci rzadko kto robi je dobrze, potrzebują studjowania koniecznie, inaczej przejdą w ogólniki bez charakteru. Na pierwsze plany gliny te są niedogodne, dla jasnych swych tonów, przyjmujących i posyłających refletów mnóstwo, ale niekiedy szczęśliwie je przerzynają pokłady, silnie zafarbo-



wane czerwono, rudo i żółto. W ogólności, żeby dobrze odstawały na pierwszych planach, powinny być oświetlone i odpychać głąb ciemniejszy. Skał granitowych, takie jakie u nas spotykają się na Wołyniu, nad Teterowem, Hniłopiatem, Słuczą i Horyniem, nie życzylbym malować, kto dobrze ich natury nie poznał. Łamią się one w charakterystyczne bryły, kładną ukośnie lub sterczą prostopadle, ale tu fantazja artysty musi pójść w parze ze znajomością geognozj i natury pokładów, boć wszystko to dzieje się wedle ścisłego prawa.

Znam na pędce poszkicowane pejzaże p. M. Kuleszy, w których te granity są okropnie skarykaturowane, tak, że do żadnej w świecie skały nie mogą być podobne, choć gdzieindziej artysta ten dał niepospolitego talentu dowody. Ale dawniej skała w malarstwie była ogólnikiem, jak drzewo; malowano ją sobie z tradycij, bez studjów, jedną jakąś skałą szkolną, i lada uczeń układał sobie skały fantastyczne, o jakich się panu Bogu nie śniło. Dziś wymagamy więcej i zbyć nas ogólnikiem nie można.

Kamienie eratyczne, zaokrąglone, zmyte, całkiem odmienny mają charakter; spotykamy je w Litwie, i te są prześlicznym żywiołem w pejzażu, na przykład brzegów nad-Niemnowych, gdzie ich bar-

wy doskonale odbijają od żółtych piasków, ciemnej zieleni jodeł i przezroczystych barw głębi wód; układane z tych brył płoty litewskie, pokryte perestupami, powojem, chmielem i ogromnemi liśćmi dyni z żółtymi kielichami jej kwiatów, są prześlicznym na pierwszy plan nabytkiem; nigdzie ich z całą różnorodnością płowych, mącznych barw, cudnie z sobą harmonizujących, nie widziałem użytych na obrazie. Niekiedy w siołach litewskich stare takie kamienne bryły piramidalne, podtrzymują krzyże żelazne, osadzone na nich zapewne od wieków, gdy chrzczono Litwę i czczono przez nią Boga i fetysze... Te pomniki wiejskie osadzono jedlinami, świerkami, brzozaami, stanowią same przez się obrazki pełne wdzięku.

Jak nikt nie użył jeszcze o ile wiem, tych kamieni, tak też nikt podobno nie ośmielił się na odmalowanie naszego pola, poszachowanego w różnobarwne pasy, a pierwszy może zagon, szczerze narysowany, widzę w ilustracji Paska przez Zaleskiego, w obrazku polowania. Rozumiem że się tu artysta obawiać może pstrocizny, jaka z tego poszachowania pól często w naturze razi nieprzyjemnie, gdy obok tuż na zagonach wieśniaczych, zieleni się żyto, mai pszenica, bieleje hreczka, żółcą rzepak i t. p. ale od cze-

goż umiejętność artysty?... Można być prawdziwym i nie popaść w pstrociznę i tony krzyczące. Żółte jesienne łąny, falujące jak morze, płowe ściernie, wszystko to kartki nieodczytane w tej bogatej księdze natury naszej, której ledwieśmy część przejrzeni.



## VII.

Roślinność ziemi naszej nie może iść w porównanie ze zwrotnikowemi bogactwy, ani nawet z europejską florą południowych krajów, jak Włochy, Hiszpanja, Francja południowa, Sycylja itd. wszakże nie zbywa jej na rozmaitości, piękności, powadze. Znam u nas dęby, przed którymi pokłęknać można jak za pogańskich czasów, tak je wiek poważnemi, a wichry i burze dramatycznemi uczyniły. Ale i dąb studjować potrzeba nie ze wzorów Jacotet'a, Hubert'a, a choćby i Calam'a, tylko wprost z natury, równie jak jodłę litewską wcale różną od alpejskiej i karpackiej (wybornie pojętą przez W. Dmóchowskiego) — i wielkiego efektu białą, smukłą brzozę, poszamerowaną pomarańczowemi smugami przez dziegciarzy, która że się w massy nie składa łatwo, na pierwszych planach bardzo trudna — i olchę której każde zacięcie jak krwawą znaczy się raną, czerwono — i sosnę o pomarańczowych gałęziach, o pniu szaro-liljowa-

wym, i gładką grabinę, i sokor fantastycznie się rozrastający, i tysiączne te krzewy, któremi podszyte są lasy nasze, z porozwieszanemi na nich chmielami i pnąciami się roślinami. Artysta prawdziwie zamiłowany w naturze, nie opuści tu nic, bo wszystko mu się przydać może, lekko nie zbędzie żadnej części tych studjów, bo drzewo każde inaczej stoi, rośnie, pochyla się, rozgałęzia, zaokrągla wierzchołek, porasta liściem, zieleni się, a nawet zwalone i ścięte, inaczej gnije i rozpada się w próchno. Te pnie suche i trupy powalonych starców, lub sterzące kłody którym tylko grubsze zostały gałęzie, tak ulubione Ruysdaelowi, cudnie mogą być piękne w obrazie. Kontrast drzew żywych z niemi, pełen harmonij i wdzięku. Znam gwasz J. Sokołowskiego (u p. H. Skimborowicza) wystawujący korceunek wśród Białowiezkiej puszczy, w którym drzewa są przepyszne, a ścięty na pierwszym planie pień sosnowy, wystudjowany z największym talentem.

Maluczka ta rzecz, ale tu pień mówi, to mój stary znajomy, widziałem go sto razy, przypomniał mi żywo lasy nasze, witam go niemal z rozcucieniem. U p. W. Dmóchowskiego profile drzew szczególnie są wyborne, ale wszystkie liściowanie zbyt jednostajnie czarne i ten ton nieszczęśliwie w obra-

zach jego przemaga. Znać lubi kość paloną, która na niebie nigdy, a w pejzażu rzadko dobrze się użyć daje.

Cóż dopiero gdy nad lasy naszymi i tak wspa-  
niałymi już i pięknymi, przeleci ze skarbnicą swych  
tonów jesień cudowna, dobrze nazwana wiosną ma-  
larzy, gdy się to wszystko za pierwszym chłodem  
połoci, zarumieni, krwią, purpurą, fioletem, bronzem  
okryje i wystąpi przed zimę jakby na pożegna-  
nie z różnaitością barw niodorównaną. Naówczas  
wpatrzył by się człowiek na wieki w ten obraz Bo-  
ży, gdyby go ze srebrzystym całunem nadchodząca  
zima nie spędziła ze stanowiska.

Mało kto u nas porywał się na wizerunki la-  
sów; jeden p. Dmóchowski miał tę odwagę, i w  
Białowiezkiej swej puszczy wyszedł z zadania zwy-  
cięzko. Wiele jej, na zimno rozbierając, zarzucić mo-  
żna, a przecież to cały poemat, cała Litwa, coś tak  
przepysznego w swej majestatycznej prostocie; jak  
pieśń ludowa. W tym rodzaju już nic piękniejszego  
nie stworzy artysta.

Oprócz drzew, roślinność mniejsza kraju nasze-  
go, dziewanny, łopuchy, osty ogromne Wołynia i  
Podola, nie pozwalają nam bardzo płakać po kaktu-  
sach i innych wielko-listnych roślinach, bogatszych

pod tym względem krajów. Liść dyni przy budowach często się w tak malowniczo układa festony, że mu się chce poklasnąć, taki z niego artysta. Ale tu, jak w malowaniu drzew, potrzeba odwagi by być prawdziwym a razem idealnym, trzeba ducha żeby razem być pięknym a nie stać się znowu trywjalnym. Niedawnemi czasy ktoś we Francji, może Rousseau, jeśli się nie mylę, odmalował pierwszy pejzaż z drzewami owocowymi w *kwiecie*, okrytymi białym i różowym wieńcem rozwitych pączków... Dziwiono się temu jak niesłychanej odwadze, ale próba się udała. Kiedyż u nas ręka artysty sięgnie po rozkwitłą skompie (Rhus cotinus) brzegów nadniestrowych, lub, po mniej rzadkie, pospolitsze, codzień się nam nawijające rośliny z owocem i kwiatem. Rozmaitość ich nieprzebrana, przecież na pierwszych planach częściej widzimy ogólniki jakieś, strzępki i plamki, niż coś żywego i prawdziwego, jednego p. Dmochowskiego wyjąwszy który studjuje jak należy.

Trzciny nadwodne, grzybień (*Nymphaea*), pływający po stawach, tataraki, *butomus umbellatus* (junc fleuri) tysiące innych roślin tego rodzaju czekają jeszcze na malarzy, którzyby im w obrazach dali prawo obywatelstwa.



## VIII.

Lecz szczegółowie chcąc wskazać piękności i materiały przyszłe pejzażu naszego, szerzej by tę rzecz i systematyczniej rozbiierać potrzeba; my ledwie myśl ulotną rzucamy, w nadziei, że kogoś natchnąć może, zachęcić, ośmielić, i do studjów malowniczych napędzi. Nie mamy wielkich przestrzeni wód, ale nasz staw, jezioro, kałuża, rzeczulka, strumyk, źródelko, gniły potok leśny, bardzo są różne od siebie, inaczej płyną, świecą się, ubierają, stoją, drzemią lub okrywają pleśnią, kolorują i kołyszą. Wody w pejzażach naszych traktowane są pospolicie za pomocą jakiejś ogólnej recepty; takiego naprzykład strumyka gniłego, ciemno-przezroczystą strugą przebiegającego po kamykach, jakich pełno w Litwie, nikt jeszcze dotknąć się nie ważył.

A strumienie głębi lasów naszych, a Teterów, Słucz, Horyń z zielonemi łągami, Bug i Wisła ze swemi piaszczystemi ławami, warte są wpatżenia i



odwzorowania. Uderzyło mnie prześliczne jezioro Trockie w pejzażu profesora Breslauer'a, zresztą znacznie niższym od innych jego robót, dziwnie jednotonne, turkusowe i zastygłe; może ono służyć za wzór jak niepotrzeba malować. Tem dziwniejsza to omyłka znakomitego zkąd inąd pejzażysty, ale może nie odświeżającego się nowemi studjami, że w cudnym prostotą i efektem obrazku jego chatki nad morzem w Norwegij, woda unosząca bryły połamanych lodów, jest prawdziwem arcydziełem.

Temi czasy wody, morskie szczególnie, począwszy od Vernet'a starego, stały się przedmiotem całych obrazów i widoki morza doprowadzono do wysokiego stopnia doskonałości; po Gudinie, po Morel-Fatio, idzie tu na równi ruski Ajwazowski. Zasługiwało istotnie morze na to w niem zakochanie, bo widok jego jest zachwycającym różnaitością i powagą; ale jest znowu przesada w wyłączeniu niemal marynarek na osobny rodzaj, a zaniedbaniu wód innych, które także swój wdzięk mają. Marynarze nie malują nic oprócz morza i stają się wprawdzie specjalnemi w tej gałęzi, ale uboższemi przez to samo, że jedną tylko cząstkę ogromnej natury wyłączyli dla siebie z całości. Słodka woda także coś warta zaprawdę. Lada kałużka w Ruysdaelu, mokra,

grzązka, głęboka, przeźroczysta, smętna, ożywia obraz niesłychanie, bo doskonale pojął tego rodzaju wody i malował je mistrz wspomniony; czemużbyśmy koniecznie niebiesko i liljowo mieli barwić wszystkie wody nasze? Trzeba je studjować w różnych godzinach i położeniu.

Woda życie i ruch nadać może pejzażowi, gdy w nim będzie dobrze użytą; jest też doskonałym przypomnieniem tonów nieba, nieco zmodyfikowanych tonami przedmiotów otaczających, a to przypomnienie potrzebne dla usprawiedliwienia ich i zharmonizowania. Nie ma prawie dobrego i pełnego pejzażu bez wody, ale to przedmiot i zadanie jedno z najtrudniejszych. Znam jednego tylko p. Dmóchowskiego, który miał odwagę kałużę i błoto po deszczu śliskie, na pierwszym planie obrazka położyć—udało mu się wybornie tym nowym żywiołom nadać prawo obywatelstwa.

Nie możemy zapewne pochwalić się takimi wodospadami i kaskadami jakie ma Szwajcaria, ale gdyby kto koniecznie do obrazu tych komunałów potrzebował, znajdzie je w Karpatach, u ich podnóża, naprzykład wodospad Dory itp. Zrobim tu tylko nawiasową uwagę, że temu, co napojony wspomnieniem gór Calam'a bierze się do Tatrów, myśląc je

zbyć ogólnikami alpejskimi, nie uda się nigdy szczęśliwie. Jakkolwiek natura w tych wielkich tworach swoich pewnym ogólnym prawom jest podległa, są różnice, które klimat, położenie, oparcie gór wyraża. Karpaty niezaprzeczenie mają swą właściwą fizioonomję, w której ja widzę więcej spokoju, ciszy, tęsknoty, niż w dramatyczniejszych, konwulsyjnych złomach Alp południowej Europy. Wegetacja acz podobna, i równie na strefy podzielona, w niższych szczególnie, jest wyłącznie naszą. Głowacki bardzo w tym względzie dobrze pojął Tatry, które po nim uczniowie jego, prawie równie szczęśliwie odwzorowują.

---

## IX.

Od roślin przechodząc do zwierząt, ożywiać mających krajobrazy nasze, nie wiele już o użyciu ich powiedzieć możemy; mamy wszakże ulubione tradycyjnie istoty, któreby w sposób dobitny mogły napiętnować krajobraz. Takimi są, naprzód bocian, szukający zawsze dla gniazda swego sąsiedztwa ludzkich pomieszczeń, figlarna sroczka w czarnym płaszczku i białej spodniczce, poufała, ocieżała wrona, zawsze zaszarzana i brudna, gospodarująca po kałużach, kruk złowrogi, szulak przestrah podwórka i kwoczek, a dalej gąski, kaczki, kury, wszystko co Bóg dał, aż do otyłego wieprza, który wcale nie źle figuruje w dziedzińcu chaty lub rokoszujący w kałuży, jak tego dowiódł sławny ów sztych Rembrandt'a. Nasz wół pracowity, z karkiem namulany, nasza krówka chuda, nadewszystko szkapka wiejska, sto razy piękniejsze są w obrazie od angielskich koni, których zanadto już nadużywają początkujący kompozytorowie, naśladowając V. Adam'a.

Artysta z tej gromadki stworzeń, wybrać ła-  
two potrafi co mu potrzeba do ożywienia kątku, któ-  
ry chce malować, unikając obrzydłych ogólników.  
Dla tego sądzim, że studjowanie zwierząt, szczegól-  
niej domowych, stanowić musi ważną część nauki  
pejzażysty, który jej zaniedbywać nie powinien. Ale  
tu potrzeba umieć być trzeźwym i wstrzemięźliwym,  
aby dla popisu i fantazij nie poświęcać całości i nie  
popsuć charakteru pejzażu. Zawsze to tylko są ak-  
cessorja, a widok natury nie ożywionej, tłem głów-  
wnem i zadaniem najważniejszym, treścią samą ob-  
razu być musi. W naturze maluczkie tylko miejsce  
zajmują zwierzęta które rzadko wysuwają się na-  
przód, raczej tają i unikają wzroku i spotkania. Im  
puściejsza okolica z charakteru swego i fiziognomij,  
tem mniej ją ożywiać potrzeba; jeden ptak unoszą-  
cy się nad doliną lub górami, jeden chudy koń,  
pasący się na wygonie, często lepszy zrobi efekt,  
od porozrzucanych na wszystkich planach stworze-  
niek, które zrodzą pstroczinę i nie dadzą oku po-  
chwycić całości.

Równie skromnie potrzeba ludzi; bez nich wpraw-  
dzie zawsze najżywsza karta będzie milczącą pusty-  
nią, ale ta jednostka maluczka, pociągając ku sobie  
wzrok widza, zaraz na siebie cały interes obrazu

przenosi, i pejzaż stanie się akcesoryjnym tłem dla człowieka... Tu znowu za przewodnika młodym artystom chciałbym dać Calam'a, którego uczucie prowadzi zawsze do użycia człowieka tak jak powinien, ile go potrzeba na ożywienie pejzażu, nie skupiając zbyt wiele uwagi. Na skałę rzuci on parę dzikich kóz pasących się, puści ptaka w powietrze, postawi podróżnego z kijem na pierwszym planie, kobietę z dziećciem pod chatą, ale to będą postacie, których nigdy tak nie odcehuje, nie uwybitni, aby na nich przeniósł całe zajęcie; będą to *figurynki* żywe, tak narzucone jak się to ludzi widzi z daleka. Nigdy indywidualuów, nigdy dramatu nie wsunie w krajobraz, bo by go popsuł.

Dawni pejzażyści i teoretycy jako przepis stanowili, by figury rozsiewać po różnych planach, dla tem łatwiejszego wywołania ich perspektywą złudzenia oddaleń i głębokości, i powiększenia efektu, ale biada artyście który się do takich środków odwoływać musi. Perspektywa powietrzna, ustawienie planów, ich ubarwienie, aż nadto są dostatecznymi środkami do oznaczenia głębi, do odepchnienia oddaleń, do wyrobienia na płaszczyźnie ludzących, ginących w mgłę powietrza horyzontów. W heroicznym pejzażach szkoły Poussin'a i Claude Lorrain'a,

pastorki Arkadij, Fauny, Satyry, Kakusy, Apolliny, Marsjasze, Syleny, Bachusy, odpowiadały ogólnemu zadaniu pejzażu heroicznego, ale w nim choć maluczkie i drobne, ilekroć formowały sceny dramatyczne, zabijały sam krajobraz.

W innym rodzaju równie dziś śmieszne są powozy, konie angielskie, amazonki i eleganci, na pierwszych planach lada pejzażu spotykane. W kilka lat po narysowaniu figurki te nie są do zniesienia. To tylko jest wiekuiście prawdziwem co nie konwencjonalnem; moda właśnie będąc umówionem dzieciństwem i zabawką, najszkaradniej się starzeje na śmieszność, i ci ichmoście w długich frakach po pięty, a panie podpasane pod pachami, popsują efekt najpiękniejszego utworu, jeśli artysta go niemi ozdobił. Za to siermięga, łachman, ludowy strój, te zawsze jedne, piękne i nie starzejące się stroje, przestając nawet być rzeczywistością, stają się pamiątką. Ddziwna rzecz, że ubogi lud więcej ma uczucia piękna w ubiorze swoim, niż klasy ucywilizowane, ukształcone, strojące się dla odróżnienia jakby naumyślnie śmiesznie i najbrzydziej. Jużcić na bok odłożywszy wszystkie podrzędne względy, kolorowa chustka lub biała namitka piękniej zdobią głowę kobiety, niż niedorzeczny pierożek, nazwany kapeluszem; a far-

tuch, spodnica i świta wyszywana, smakowniejsze są od nie jednej wyfręzlowanej mantylki, tak jak frak obok świty jest równie niepojętym wymysłem dziwactwa. Zebracy Murilla i aguadorowie Velasquez'a są dziś jeszcze żywi i prawdziwi, gdy portrety pierwszej manjery Ingres'a, w strojach z czasów Cesarstwa, już się stały śmiesznymi, mimo najpiękniejszej ekzekucji. Zostawmy pańskie kawalkaty, powozy i angielskie konie olówkom historyografów arystokracji, mającym szczęście odwzorowywać co nasz czas ma najmniej godnego wiekuistej pamięci; w salonach i pałacach nie zabraknie tych pomników mody, ale na pejzażu być ich nie powinno. Rozumiem szlachcica w słomianym kapeluszu i kapocie, nie mogącego pojąć na obrazie jegomości w butach ze sztylpami, reitfraku i meloniku na głowie. Co on tu może robić? A do miasta! A do miasta!

Bryka krakowska, brodzka buda, wóz chłopca z chudą szkapą, sanie parą wołów ciągnione, kożuch, świta, siermięga, to akcesoria właściwe, nie elegancje przemijające, na które patrząc, zda się że przyszły po francuzku naśmiewać się i szydzić z naszego biednego, smutnego a kochanego kątko ziemi, z którego sobie jutro, dzięki Bogu, za granicę pojedą. O! szczęśliwej podróży!...

---



## X.

Mijam wszystkie gmachy, pomniki architektoniczne i wszystko co dotąd stanowiło najpospolitsze zadanie pejzażu, źle pojętego i ułomnie. Co innego bowiem jest piękny, artystycznie wykonany rysunek pomnika, *widok* wsiata, kościoła itp. a co innego *krajobraz* — *widok*, to portret miejsca mniej więcej piękny i wierny, z którego jak z portretu jakiego, Velasquez, Rembrandt, Rubens, zrobi rzecz cudną, a partacz, suchy inwentarz cegieł i gżemsów. Krajobraz, to utwor który zarazem odtwarza myśl Bożą wyrażającą się w naturze, i piękno jakie w niej jest zawarte, odczytane jasno przez artystę, pojęciem czyni dla ogółu, uwydatnia. Zwracam się do wioski, jako nietkniętego materiału, a najistotniejszej części kraju, który zawsze najglówniej żył żywotem wiejskim, bo miasta nasze pachły taki niemczyzną i obczyzną.

Choć budowy nasze wiejskie nie są ani szaleciami szwajcarskimi, ani angielskimi *kottedżami*, mają

przecie żywioły piękna i oryginalności, której tylko użyć potrzeba umiejętnie. Z natury materiału, jakiego nas używać zmusza po większej części niedostatek kamienia i przyzwyczajenie do drzewa, budowom wiejskim brakuje kolorytu; ale świeżo pobudowana chata sosnowa, ze swemi pómarączkowemi barwami, dach zielonemi mchami naxamitowany, biała ścianka izby, wylepionej gliną od ulicy, to dosyć. Chaty poleskie często bywają bardzo malownicze, ze swym dachem dęnicznym, okopconym od dymu i słomianemi strzechami, kominami drewnianemi, dymnikiem, drabinkami, węglami zębiastemi itd. Wołyńskie lepianki już wcale są inne i odrębny mają charakter, jak równie mazowieckie, podlaskie, wielkopolskie, lubelskie, z których każda ma coś właściwego, słupek, tramik, przyczołek, okienko, okiennicę itp. Oprócz nich, różne rodzaje wrót, więznic, przejazdów, płotów plecionych, żerdziowych, tynów, wałów, nasypów, budek, chlewków.. są dla malarza wielkiem tematem bogactwem. W Podolu naprzykład, kosz na kukurudzę nakształt wieżyczki, całe odrębną daje zagrodzie fiziognomja. Karczmy stare, ze swemi perystylami tak malowniczymi, spichrze całe w słupach, stare lamusy, piętrowe świrunki i serniki litewskie, wreszcie młyny ze

swemi groblami, upustami i mnóstwem palów i belek, stanowią bogatą kopalnię dla malarza. Kościółki i cerkiewki stare, okrążone krużgankami, z kośnicą, wrotami, z krzyżkami na mogiłach, to znów nieskończonej różnaitości przedmiot. Nie pojmuję żeby się tu na brak, na jednostajność, na ubóstwo uskarżać można, odkładając nawet na bok zamki i ruiny, które z umysłu pomijam, choć dla umiejętnego artysty użycie ich rozległym jest placem popisu. Temi materiałami, które tu pokrótce napomknąłem, ileż to rzeczy powiedzieć można, ile w nich wlać poezij, smutku, tęsknoty, myśli głębokich!!



## XI.

Kiedy tak myślą przebiegam od Karpat po-nad Bałtyk i Morze Czarne, od Wisły i Dniepru do Dniestru, i liczę co tu leży skarbów malowniczych na własnej ziemi, jakże nie żal, że dla nauczania się natury jeździemy zwykle malować kampanję rzymską, Tivoli, Cassatelle, i Grotę lazurową, brzegi Albano, ruiny Colosseum i grób Cecylii Metelli! Jeżeli kto, to pejzażysta krajowy nie powinienby napasać oczów barwami cudzego nieba, i nabierać nawyknień nie-stosownego nam kolorytu. We wszystkich tych, co nie pokochawszy i nie pojąwszy swej ziemi, wyuczeni za domem u obcych, poczęli ją potem z pewną dumą i lekceważeniem przerabiać wedle danych przez mistrzów prawideł, przy największym talencie, jest zawsze coś konwencjonalnego, jest sposób idealizowania niewłaściwy, wynaturzający, jest naprowadzanie krajobrazu naszego na cudzoziemczyznę. Ledwiebym nie powiedział, że poznam powracające-

go z Włoch artystę po zakroju, w najmniejszym rysunczku. Nasza sosna przerabia się zaraz u niego na parasolowy *pin d' Italie*, nasze domki przekształcają się na białe ville, a pola wesole, uprawne, w puste i smętne kampanje, zarażone malarią. Rzadko kto nie wywozi z zagranicy jakiegoś nałogu i manjery, jakichś okularów, przez które widzi wszystko żółto, niebiesko, czerwono, ale nie tak jak jest.

Będzie tam więcej stylu, ale nie naszego, więcej wdzięku może, ale zniewieściałego, wypieszczonego; zabrzmii nam w uchu śpiew ten cudzoziemczyzną, odezwą się w nim mimowolnie wspomnienia Italij, koloryt, linije, światło nasze razić będą w tam tłumaczeniu na język obcy; mało kto powraca bez gotowej palety i z tą swobodą jaką ma tylko genjusz, którego skrepić nie może żaden nałóg, bo w nim płonie swobodna iskra potężniejszego nad wszystko ducha. Nie mówię tu wcale przeciw kształceniu się za granicą, ale zawczesne i zadługie, uważam za zgubne. Calame nie wiem czy kiedy po za obręb swych szwajcarskich gór wyjeżdżał, i dla tego tak je odtworzył, że serdecznie pokochał, że codziennie z okna patrzy na jezioro geneueńskie, i śnią mu się co nocy otaczające go iglice.

A! coby to był za Album przepyszny, któryby połączył w sobie charakterystyczne widoki ogromnej przestrzeni kraju, tak dziwnie urozmaiconego, odrzuciwszy oklepane parki, pałace i budowy bez znaczenia, a ograniczający się kościółkami, chatami, figurami nad-drożniami, lepianką, dworkiem szlachcica, zagrodą wieśniaka, wiejskim cmentarzem, domkiem gospodarza, karczmą w lesie, młynem nad stawem, i tą nieskończoną ilością prawdziwie malowniczych zadań kraju naszego.

Step z mogiłą ukraiński, chata strzelca w puszczy Białowiezkiej, poleskie sioło, wołyńska na górze lepianka, stawy podolskie, brzegi Wisły, Bugu, Narwi, Styru, Horynia, Bohu, Niemna, Wilij, Wilejki, Dźwiny, Dniestru i Dniepru! Każdy inny a wszystko piękne!

Wydanie takiego Album byłoby istotną zasługą i stokroć by miało więcej znaczenia, niż nieustanne powtarzanie Janowca, Pieskowej skały, Czorsztyna, Łazienek, lub kościołów z XVII i XVIII w. i pospolitych i nie pięknych pałaców bez architektury a z pretensją, ruin których już nauczyliśmy się na pamięć, parków od których lasy sto razy są piękniejsze. Ale ktoż będzie miał odwagę wziąć kij i torbę, tekę i ołówek i pójść z niemi a z książką szu-

kać natchnienia u strzech słomianych, w polach pustych, pod omszonymi krzyżami? Zazdroszczę młodości i swobodzie człowieka, który się tego podjąć może; zazdroszczę mu wrażeń jakich dozna i dzieła które stworzyć może. Pomimo tylu prób, kraj nasz pozostał *terra ignota*, nikt go jeszcze z duszą nie dotknął i nie pojął jak potrzeba.

Szkoda zaprawdę! ale jak historia miała swojego Zorjana Chodakowskiego, tak sztuka mieć go powinna i będzie. Dopiero przezeń poznamy właściwą kraju naszego piękność, dotąd dla nas zakryta, niedostatecznie, cząstkowo, epizodycznie chwytana, i nie jedna karta tej xiegi o której marzę, łązy i myśl smutną wywoła... jeśli ją myśl artysty natchnie, a łąza jego obleje.

Dnia 24go stycznia  
1856.

VI.

**POEZJA SZLACHECKA, LEGENDY  
HERBOWNE.**





## I.

**Z**da mi się że historia literatury dotąd z wielu względów pełną nie jest; Obraz ten, by się mógł nazwać całkowitym, wiele jeszcze objąć powinien.

Książki, literatura pisana, są wyrazem życia umysłowego, jednej tylko, stosunkowo szczupłej choć najbardziej wykształconej klasy narodu; obok niej są warstwy społeczności na innym stopniu rozwoju, które nie mniej mają swe życie duchowe i jego objawy, choć ich nie wyraziły martwą literą, ale żywym śpiewają słowem. U nich literatura jest wprawiona w życie, tkwi w niem, nie oderwała się jeszcze od tego co ją stworzyło, jest w pieśni, w podaniu, w legendzie, tak zespolona z żywotem, że jej tam ani rozeznąć łatwo, ani od niej oddzielić. Wszakże, powtarzam, historia literatury dopóty pełną nie będzie, dopóki w sobie nie zamknie utworów wszystkich klas społeczności, dopóki się nad nimi nie zastanowi i otrząsnawszy się z resztek przesądu,

przykuwającego ją do papieru i książki, nie uzna pięknem co piękne, gdziekolwiek ono jest, i nie zrobi miejsca obok pisarzy, poetom i gawędziarzom ludu i klasz niepiśmiennych.

W końcu XVIII wieku już zwrócono oko na pieśni gminne, które dotąd zbierają u nas gorliwie, na podania ludu, na bajki; ale dotąd jest to tylko surowy materiał, któremu zaledwie ostrożnie, niechętnie, prawie pogardliwie w historii literatury małuczko oddzielają miejsca. Najświeżsi nawet historycy, licząc najdrobniejsze pisane broszury ze skrzętnością największą, nie prowadzącą do żadnego wniosku, opuszczają cały cyklus poezij i podań, o których charakterze, znaczeniu, piękności mówić się wahają, zbywając je odsyłaczem lub półsłowem.

Toż co do podań. Syrokomla wykazał w nich wprawdzie ślad jakiegoś pierwotnego poematu, którego poezja w baśniach pierwszych kronikarzy się przebija, ale nikt, o ile wiem, nie zgromadził całości legend po ziemi naszej krążących, aby je porównać do wschodnich i germańskich, i wyrzec, jaki jest charakter tej literatury, którą żyje i żyła cała jedna klasza społeczności. Jest to, jak widzimy, *tempus colligendi lapides*, ale czas budowy jeszcze nie nadszedł, myśl ożywcza jeszcze tych materiałów nie

tknęła. Przecież w nich musi być charakter, życie, piętno właściwe, przecież nie są to wybryki bez znaczenia, to w porządku materialnym i moralnym cały szereg istot z ciała czy z ducha, nie może nie mieć znaczenia jakiegos, nie może być wydziedziczonym z należnego mu miejsca.

Obok podań ludu, na tle słowiańskiem osnutych jak pieśni, mamy w Polsce literaturę żywą całej najważniejszej w narodzie klasy społeczności, szlachty, która po większej części nie miała czasu zająć się pismem i księgą, ani zresztą zajmując się nawet niemi, życia swego w nie wlać wiele nie mogła. Ceniła szlachta literaturę zwłaszcza obcą, klassyczną, ale nie myślała wcale w jej martwe objęcia dawać życia swego; uczucia, ani śmiałyby do udatnych bajek starej Greeij i Rzymu, przymieszać tego co tworzyła sama. Ztąd w literaturze polskiej aż do naszych czasów, poezja szlachecka nie odbija się prawie, nie wyraża, chyba przypadkowo, wyjątkowo i bojaźliwie. Trzeba jej szukać, jak rozsypanego różańca wśród stosu gruzów i najrozmaitszych okruchów. Spiewano, opowiadano, tradycyjalnie przechodziły stworzone na tle rzeczywistości poemata z ust do ust, z pokolenia w pokolenie, ale jakiś pudor nie dozwalał ich spisywać na karcie. Były to rzeczy zbyt żywe, zbyt oso-

biste, zbyt bliskie sercu, by je zakopywano na martwym papierze i xiędze, w tem grobowisku myśli.

Dziwi mnie, że dziś, gdy tak gorąco zwrócono się do pojęcia i odtworzenia żywota szlacheckiego w przeszłości, nikt nie pomyślał o jednym z najpoetyczniejszych może jego objawów, o legendach rodzin herbownych, o tych mythach, które każda familja, każdy dom zawieszał razem z herbownym szczytem na ścianie dworu i w pamięci dzieci. Zdaje mi się że to kopalnia, która jak Olkuskie, zaszła wodą, zasypała się rudą i ziemią, choć czegoś więcej jest warta. Wyjątkowo wspomniano o tem zapewne tu i owdzie, użytkowano z tych legend, zresztą heraldycy spisali je jako tako mówiąc o herbach, ale nikt dotąd nad całością tych podań się nie zastanowił, i w jedno je nie zebrał. Tymczasem całość dopiero może dać pojęcie ich wartości; nie rozróżnicie kłosa pojedynczego jakiej jest barwy, zbierzcie w snop, a kolor dopiero się w nim okaże. To co w XVII i XVIII wieku heraldycy powiedzieli o legendach szlacheckich, popsulo je raczej niż wyjaśniło. Ceniliśmy naówczas nadto wszystko obce, wiedliśmy się gwałtownie zkąd kolwiek byle nie z własnego zagona, woleli Pacowie szukać sobie Pazzich i świętej patronki we Florencij, niż zobaczyć u X. Szyrwida że *Pats* znaczy *pan* po

litewsku; inni szli do Serbij, do Dalmacji, do Wandalów po przodków, a za tem i legendy swojskie przerabiano do tego modnego kroju. Większą część ich przystrojono z cudzoziemska tak, że wziąłbyś je za przybyszów, choć im patrzy z oczów że się u nas rodziły. Nie wszystkie jednak jeszcze popsuto i nie wszystkie spisano, wiele błąka się po świecie, wiele świeżo wygląda i da się rozdziąć z pożyczanej sukienki.

Nim skreślim choć krótko i pobieżnie rys ogólny legend szlacheckich herbownych, które wedle nas dopełniają w literaturze dotąd próżnego miejsca i stanowią właściwą poezję szlachty, poprzedzim je kilkoma uwagami.

Zwracamy tu szczególny wzgląd na własne nasze, krajowe, odrzucając na bok te, których pochodzenie jawnie jest obce lub w nich ślad widoczny przerobienia i naśladowania, wszakże nie wyrzekamy się innych, acz podobnych do cudzych, ale napiętnowanych czemś domowem i własnem. Mnóstwo też, jakśmy już napomknęli, dobrowolnie z cudzoziemczono, szukając za morzami niepotrzebnych protoplastów, choć rzecz w nich swoja, nazwiska tylko i sceny dodano.

Ogół podań, jakkolwiek szczegółowie nie da się

historycznie dowieść ich pierwotne utworzenie i czas powstania, pochodzi wszakże widocznie z czasów Bolesławowskich, najwięcej z Krzywoustego, coraz mniej i mniejszego znaczenia mamy od tej epoki ku nam się zbliżając.

Epoka ta, w której szlachta na wzór się zachodni wyrobiła, z siłą wszakże samoistną, epoka rycerska, epicka, odbija się szczególnie w poezjach szlacheckich. Najpiękniejsze, najbardziej uderzające legendy zawsze pochodzą prawie z panowania Bolesława Krzywoustego i liczba ich przemaga wśród całego zbioru. Ogólnym ich charakterem, jak czasu, który je stworzył, jest rycerskość, wojowniczy duch, i jakkolwiek są legendy, w których uczucie religijne, dowcip, traf, los jakiś dziwny lub inne wyprowadzają się na scenę sprężyny, tło zawsze jednostajnie w nich rycerskie. W ogóle co do ducha, bije z nich myśl równości stanów u Słowian i zasługi osobistej jako pierwiastku wszelkiego szlactwa. Mnóstwo jest herbów i legend, których symbola, nazwania lub treści poematu wyraźnie mówią o pochodzeniu rodzin od kmieciów, rolników, od sług pańskich, a nawet od rzemieślników. Tam kamień młyński, ówdzie ucho od kotła, grabie, kosy, kroje, lemiesz, przypominają młynarzy, kotlarzy, wieśniaków, choć pó-

źniejsi posiadacze herbu, krzywiąc nosem na tę plebejuszowską *originem*, panegirystom swym dyktowali, jako przodków rodu, książąt Serbij i Etruryjskich mocarzy. Lemiesz, kroje, grabie, kosa, mimo to, wyraźniej mówią, że pocziwa ręka kmieca krwawo sobie to znamie zasłużyć musiała narzędziem pracy, obróconem w potrzebie na oręż przeciw nieprzyjacielowi.

Coraz dalej, w XVII i XVIII wieku, idea szlachecka zmieniać się zrećźnie i modyfikować zaczęła, a choć Klonowicz wołał, że cnota szlachectwo daje i cnota je trzyma, choć Batory z Zamojskim swe własne klejnoty dawali mężnej piechocie i puszkarzom a raketnikom skromnym, co kocioł węgla pod bramy obleżonych miast nieśli z odwagą (herb Połota) niemniej szlachta wołała się wywodzić od urojonych bohaterów mytycznych, byle cudzoziemskich, niżeli z własnej zagrody, krwią pocziwą oblanej. I zapierano się dziadowskich zasług, dla tego że dziad w kápocie chodził. Ztąd bajki, które już nie należą do poezij szlacheckiej, bo się tworzyły na stolikach mniichów — panegirystów, *junctis viribus* dumy i pochlebstwa.

O ile piękne są legendy istotnie stare, na których wszystko ludzkie i męztwo i słabość, wierność



i zdrada, kładły swe piętna, w których maluje się człowiek jakim był i wiecznie będzie, o tyle znowu owe dołączane dla pochlebiania czyjemuś zachceniu kłamstwa, są śmieszne, czcze, nie zgrabne i nic nie mówiące. Raz tylko tu o nich wspomniawszy, nie widzimy potrzeby, mówiąc o starych legendach, przywozić ich nawet; są to wilki tego pięknego drzewa, połamanej tej epepei Bolesławowskich czasów.

---

## II.

Nie będziemy się też szeroko rozwodzić nad wiekiem i powstaniem herbów; myśl o nich Maciejowskiego jest tak, zda mi się trafną, żeby ją za punkt wyjścia wziąć potrzeba. Polskie herby były przedtem zapewne znakami, godłami całych gmin słowiańskich, ich chorągwią, ich grobowym kamieniem, a później stały się dopiero wyłącznym znakiem przewodniczących im rodzin, symbolem tworzącej się i wydzielającej szlachty. Kiedy się to stało, nie należy do literatury; zostawujemy historykom rozstrzygnięcie.

Jak powstały w Litwie herby, wiadomo dokładnie; stworzono je w XIV i XV wieku na wzór polskich, po zjednoczeniu z Polską, a że rodzinnych nie było, to dowodzą jasno i słowa pierwszych nadań szlacheckich i same owe herby. Jakkolwiek dumą szlachty i bojarów litewskich temu by się sprzeciwić chciała, rzecz jest historycznie pewna. Miała Litwa klasę, odpowiadającą znaczeniem szlachcie

polskiej, i tej nie stworzył żaden przywilej królewski, tylko rzeczy natura, bo bez tej klasy nie ma społeczeństwa w epoce rozwoju o jakiej mowa, niema społeczeństwa nigdzie, ale formę szlachecką tej bojarszczyźnie nadała Polska, już na wzór zachodu rycersko ukonstytuowana.

Co się tyczy Rusi, choć mało różne jest powstanie herbów tu i na Litwie, wszakże z obejrzenia ich pokazuje się, że godła rodzin jakieś exystować musiały na Rusi, nim się ona zbliżyła do Polski i wpływowi jej uległa. Były to jak w Polsce znaki, głoski szczególnież zaginionego alfabetu, jak drudzy chcą wprost słowiańskie litery klejmów i tamsz czyli pieczęci, które służyły i tu zapewne gminom, później ich kniaziom, starszyźnie, nareszcie tylko im i ich rodzinie. — Wszystkie te herby prawie są jednej natury, a obejrzenie licznych starych na Rusi smętarzy dowodzi, że dziś jeszcze forma krzyżów grobowych ma związek z kształtem herbów i liter. Każda gmina zapewne miała godło swoje, swoją literę i kładła je na mogiłach, krzyż do nich po przyjęciu chrześcijaństwa dodając, a stary kształt symboliczny weń się wcielił



W herbach często się powtarzają te kształty grobowych figur, godeł czy liter gmin, a później rodzin, rodzaj znaków jakichś runicznych czy słowiańskich, które Niesiecki i inni heraldycy *charakterami* zowią. Zdaje mi się, że to nazwanie jest tradycyjne, nie przez nich utworzone, wiemy że w Rusi czarnoxięźników *charakternikami* zowią, mogły znaki tego starego pisma, także mieć czarnoxięzkie, magiczne znaczenie, jak miały pierwiastkowo Skandynawskie runy; lub jeśli przypuścim w nich tylko litery słowiańskie zwyczajne, wytłumaczyć się to równie daje wrażeniem, jakie znaki wszelkie czyniły w początku na nieoświeconym tłumie.

Ogół herbów Rusi bardzo pod tym względem wart jest zastanowienia, i godzien by je zbadano — niektóre bowiem znaki popsute i przeinaczone przez nieumiejętne rycie, z trudnością się dziś dają zrozumieć. Może być że się bardzo mylę widząc podobieństwo Borejków herbu do Indyjskiej *Swargi*, świętego znaku indyjskiego, który często na słowiańskich popielnicach się znajduje, ale to mnie uderza; tegoż charakteru runicznego czy piśmiennego są herby Dederkało, Hołownia, Hutor, Jełowicki, Juńczyk, Kirkor, Kornicz, Kruniewicz, Kurcz, Massalski, Odyniec, Olszewski, Sielawa, Świerczek, Ulanicki i mnóstwo

innych. Na nieszczęście, może w skutek zwrócenia gdzieindziej uwagi zbieraczów, może dla innych powodów, herbom tym braknie po większej części legend, wiele z nich przeszły w skazki i bajki ludowe i w nich zatoneły bez śladu.

### III.

Legendy herbowne właściwie polskie, wzięto jako utwory poetyczne, są wielkiej piękności, mają one ściśle pokrewieństwo z podaniami ludu, a często spotykają się z pieśnią i tradycyjną klechdą w po-myśle i szczegółach. Toż samo w nich bogactwo fantazij wśród prostoty, te same motywa, też postaci olbrzymie, jedne charaktery i piętna. Znać zaraz że bracia to rodzeni tworzyli i układali, że jedna krew w ich żyłach, jedna myśl w słowach i jedno uczucie w sercach płynęły, i jeszcze się byli nie rozdzielili wspólną ojcowizną.

Męztwo jest cnotą główną, na której się tu wszystko niemal opiera, rycerskiego też stanu zarodem musiał być hart duszy i siła; rzadziej daleko występuje jako sprężyna przebiegłość, dowcip i ślepe tylko szczęście; wszakże i o tych nie zapomniano i one też czasem dank biorą, nawet przed siłą i męztwem. Na pierwszym jednak planie odwaga rycer-

ska, poświęcenie się zupełne, zaparcie siebie, *ofiara* jako pierwszy zaród szlachectwa. Już ten go się stał godzien, kto niósł życie dla kraju, dla króla, dla brata, dla słabszego. Na równi prawie z czynami wznioślejszego, natchnionego męztwa występuje siła pięści, siła czysto materialna, wielkiej ceny w walkach i boju, gdzie często jedna rozstrzygała prawicą o losie całej bitwy. Złamanie rogów dzikiemu zwierzęciu, schwycenie żubra za nozdrza rozdęte, zcięcie mu łba jednym topora zamachem, dają też prawo do szlachectwa. Na ostatek przebiegłość, dowcip, siła umysłu, w której już jest mniej serca a więcej zimnego rozumu, stają obok poprzedzających cnót rycerza. Ten krzaki poubierał w tarcze i na przedzie porobione hełmy, ów fortelem podszedł nieprzyjaciela i naprowadził go na zasadzkę, inny głodem morzoną fortecę obronił zabiciem kozła, którego krwią umalał skóry wołowe, i tak się dobili szlachectwa i szczytnego znaku dla potomków. Nareszcie i ślepe szczęście, ten los nieubłagany, którego niepojmując zowiemy dołą, fortuną, choć go daleko lepiej *sadem* zowie uczucie ludu, grają także rolę pewną w legendach szlacheckich. Może też w głębi tego pojęcia tkwi przekonanie, że los, traf, że szczęście jest zawsze jakiejś niedostrzeżonej dla nas cnoty nagrodą,

choć niepojętą a sprawiedliwą. Coś mu się tam u Boga rachować musiało, gdy go Bóg nagrodził, lub niezasłużoną nawet nagrodą chciał popchnąć ku dobremu, zawczasu płacąc je z góry.

Charakter jednak ogólny tych legend jest zawsze rycerski i chrześcijański, jest na nich piętno średniowieczne, z pozaktórego widać rzadziej prastarą bajkę, powtórzoną i zastosowaną w świeższej epoce.

Obok czynów rycerskich, ślady występków niezatarte także pozostały w tych legendach; jest mnóstwo herbów przeznaczonych by ich pamięć przechowywały, zbierzemy je osobno, bo pełne są prawdy i jedne z najpiękniejszych. Takimi są przywiązane do herbów Trupia głowa, Krzywda, Łzawa, Mądrostko, Niezgoda, Orla, Pobóg, Pokora, Pomian, Starykoń i t. p.

Nie obojętną tu rzeczą, na którą także wskazać musimy, są same symbole z jakich się herby składają, polskie znacznie się różnią od heraldyki innych krajów, już to daleko mniej dziwaczną strukturą, już samymi żywiołami swemi. Głównie panuje w nich *podkowa*, która w najstarszym Jastrzębcu jest matką i rodzin i herbów mnóstwa z niej powstałych. Niepodobna dziś dojść jak się to stało, że



to znamie weszło w herby rycerskie, ale sędzę że to jest wprost hieroglyf konia, część za całość, że ona tu tylko rumaka zastępuje, a sama przez się nie ma znaczenia właściwego. Obok niej stoją; topor wojenny, krzyż różnie ukształtowany, strzała, pierścień, kopja, miecz, tarcza, hełm, klamry, łuk, trąby myśliwskie i wojenne, mury i wieże i t. p. Ze zwierząt znajdujemy tu lwa, lisa, zającą, węża, wilka, niedźwiedzia, żubra, jednorożca, konia, dzika, kozę, osłą głowę (raz) i t. p. Z ptaków, jastrząb, sęp, orzeł, gęś, paw i skrzydła ich i szpony trafiają się. Z roślin, sosny, róże, lilje. Postacie ludzkie są rzadkie, parę razy trafia się cały rycerz zbrojny, a więcej daleko zbrojne ręce i nogi, panna nie często, występuje wszakże. Kieźyc, gwiazdy, słońce (rzadko) spotykają się w połączeniu z innymi godłami, jako oznaki czynów przy ich świetle, wedle tłumaczenia heraldyków, spełnionych. W wielu herbach małeńką różnicę stanowi położenie przedmiotu, dodanie krzyża, ujęcie go, barwa (Nałęczce białe i krwią złane); zdaje się, że w czasach gdy herby przybierano i zmieniano prawie dowolnie i gdy się niemi bracia z jednego pochodzący rodu niejako dzielili, powstały te odmiany dla odznaczenia linii starszych, młodszych, i t. p. Tradycja u Paprockiego spisana wzmiankuje,

że *Stawnik* na przykład, ojciec, licznej rodziny herbu *Róża*, między synów tak rozdzielił znanie swoje, pierworodnemu dał złotą różę, drugiemu białą, trzeciemu niebieską, czwartemu czerwoną, a nieprawemu a przyznanemu za syna czarną. Z herbów Rosenbergow rodzonych braci (Różyców), które cytuje Niesiecki, znać że jedni pojedynczą, drudzy dwie, ci trzy różę dla odróżnienia się nosili. Dodajmy nawiasowo, że belka poprzeczna, częsta w zamorskich tarczach (barre) i oznaczająca pochodzenie z nieprawego łoża, z tem znaczeniem u nas nie powstała i nie jest wcale znaną. Mamy liczne dowody, że herby za karę przemieniano, że je spajano przez małżeństwa, czyniąc z nich nowe, że często powaśniony z rodziną, by się od niej oddzielić, inny sobie herb obierał (Krzywda, Stary koń i t. p.) Ztąd małe często różnice, nowe potworzyły godła i imiona, choć pochodzenie ich wspólne było z wielą innymi, starszemi.

Klasyfikacja podań, do których przystąpić mamy, nie jest jedną z najłatwiejszych, zbliżają się one do siebie wszystkie prawie charakterem; większa część pochodzi z jednej epoki, chronologia tu wielce być może zawodną, bo jej na niczem innem prócz na samego opowiadania charakterze oprzeć nie można;

szukać więc potrzeba jakichś różnic, któreby pozwoliły pewne ustawić szeregi.

Dowolnie podzieliliśmy uzbierane legendy, na:

- I Legendy pierwszej epoki, już to odnoszone do niej przez heraldyków, już w powieści samej starożytności cechę okazujące; kończym ją na Mieczysławowskich czasach.
  - II Legendy o kmieciach i nieszlachcie uszlachconej za zasługi.
  - III Legendy rycerskie o dziełach męztwa.
  - IV Legendy o czynach przebiegłości, zręczności, dowcipu i t. p.
  - V Zachowujące pamięć waśni i występków.
  - VI Na ostatek legendy o dziwnych trafach i zrządzeniach losu.
-

#### IV.

Do najniezręczniejszych ukutych należy owa przyczepiona do herbu *Abdank* o *Skubie*, jakoby prostym rzemieślniku, który Krakusowi podać miał myśl zatrucia barana siarką, dla podrzucenia go smokowi na Wawelu, i sam ją wykonał. Heraldycy kształt pasów, a raczej podział tarczy widocznie pochodzenia niemieckiego, jak nam się zdaje, tak sobie wytłumaczyli dowolnie, usiłując Abdanków odnieść do jak najdawniejszych pierwotnych czasów Polski, czego i tak stary herb zresztą wcale nie potrzebował. Legenda ta, będąc właściwie nie naszą i powtarzająca się na Zachodzie, wzięta tu z pożyczanej także dziejowej powieści, nie ma nawet wdzięku innych podań tego rodzaju. Wolę daleko drugą, tyle zaszczytu przynoszącą Abdankom, o Janie Hrabi z Góry, co do skarbcu Henryka Cesarza dorzucił swój pierścień dając mu przez to znać, że sumienie nie rzuci tak łatwo, a złoto niżej ceni niż siebie. Ta prześliczna

powieść, którą historyczną być sędzę i prawdziwą, bo czemużbyśmy tak pięknemu faktowi wierzyć nie mieli, nadała hrabiom przydomek *Habdank'a* i nazwę herbowi, który wprzódzy zwać się miał *Skubów*. Ale to jeszcze poezja czynu nie legenda poetyczna... miło jest jednak wchodząc w ten kraj zaczarowany, tak piękną rzeczywistość powitać na progu.

Do pierwotnych legend liczę także ową, którą opowiadają *Nałęcz* o swojej chuście. Nazwisko jej *Nałęcz*, ma pochodzić od *Nałonia*, nazwania starego chusty, zasłony, którą Chrystus Pan okryty był wisząc na krzyżu... Znak ten nadany być miał Dzierzykrajowi ze Człopi, przy chrzcie jego za Mieczysława na pamiątkę przyjęcia przezeń Chrześcijaństwa. Drudzy powiadają, że Mieczysław z głowy swej zdjętą przepaskę narzucił na neofita i tę mu w herbie nadał; ale: piękne i to, że nowy chrześcianin zasłonę uświęconą najwyższą ofiarą na ziemi, przyjął za godło swojego szlachectwa.

Jest jeszcze trzecie podanie o *Nałęcz*ach, którzy się pieczętują chustą białą, krwią zbryzganą, jakoby Bolesław Krzywousty, po bitwie pod Haliczem, gdy sam na placu boju rany swych rycerzy opatrywał i zawieżywał, jednemu z nich, swą królewską ręką przepasanemu, znak ten nadał krwią oblaną, na męztwa jego pamiątkę.

Do tejże epoki nie tak charakterem podania jak datą jego, odnosi się legenda herbu *Gerald*, inaczej zwanego *Osmoróg*, nadanemu jakoby we Włoszech. Oto o nim tradycja. Za Mieczysława jeszcze, gdy cała Polska z królem chrzest przyjmowała i wiarę Chrystusową, długo się jeden z rycerzy opierał i natebnieniu Boga i rozkazowi pana, trwał on w pogaństwie i chciał w niem umierać. Jakiś cudowny wypadek otworzył mu oczy, i *Gerald*, bo takie zapewne przybrał na chrzcie ś. imię, aż do Rzymu pieszo poszedł, Boga za swój upór przebłagać. Wróciwszy do kraju, potem i sam się w klasztorze zamknął, pokutując za pierwszą zatwardziałość i fortunę swą całą na kościoły rozdzielił. Herb *Osmoróg* miał mu być nadanym w Rzymie, czy na pamiątkę ośmiu lat grzechu, czy dla wspomnienia wiekuistego o ośmiu latach pokuty.

Mimochodem zrobimy tu uwagę, że legendy o pokutnikach, w rocznikach szlachty są bardzo pospolite. Były duszo namiętne, które grzech wikał łatwo, ale jak występki gwałtowny, tak pokuta też była ogromną i ciężką. Owa figura, klęcząca u stóp Łysej Góry, co zdaje się być pamiątką pokutnika, który na klęczkach ku ś. krzyżowi się drapał, owe powieści o pokutnikach, skutych z ciężkim łańcuchem

na szyl pielgrzymujących do miejsc świętych, dwa kroki naprzód, jeden w tył i tyle innych legend świadczą, jak powstanie z grzechu w tych duszach hartownych było silne. Namiętność nie przepalała ich do dna, nie wyczerpywała z nich wszelkiej energii, powrót do cnoty był rychły i potężny, gdy się tak pięknymi objawiał symptomatami. Tu by należało przypomnieć, z powodu pokuty, legendę herbu *Mądrostki*, ale ją niżej opowiemy.

Legendy herbów *Korwin*, *Ślepowron*, *Ogończyk* i *Zienowicz*, bardzo się do siebie zbliżają charakterem, treść do najstarszych odnieść je każe; czysta to bajeczka, jaką u łuczywa przy kądzieli stare jeszcze opowiadają czasem niewiasty — posłuchajcie.

Onego czasu, w napadzie na Morawy, a miało to być 1400 roku, nieprzyjaciel wtargnął na zamczysko Odrowążów, i jedynaczkę, ukochaną córę dziedzica pochwyciwszy, poganin jakiś, nim się ku obronie ruszono, z nią uszedł. Piotr z Radzikowa ku któremu nieszczęśne dziewczę, gdy je uprowadzano, wyciągało ręce błagając o ratunek, natychmiast zebrał garść ludzi i pobiegł w pogoń (*Pogończyk*, *Ogończyk*) za rabusiem. Udało mu się w trop za nim pędząc dognać najezdzcę, zatrzymać, a Piotr pierwszy dopadłszy go powalił (*Powała*), zabił i Odrow

wązówkę mu odebrał. Naówczas oswohódzone dziewczę, widząc się cudownie z rąk dziczy uratowaną, pierścień z palca zdjęło, i dało mu go połowę, rozłamawszy na znak wiary, z przysięgą, że nikomu prócz niego ślubować nie będzie. Znać Piotr czy nie śmiał się o jej rękę upomnieć, czy go wojenna wyprawa gdzieś dalej uniosła, dość że nie zaraz się zjawił, a Odrowążówna została u rodziców. Trafiać się poczęli zalotnicy, najeżdżali swaty, bo nikt o złamanym nie wiedział pierścieniu; rodzice przynaglali żeby wybór zrobiła, panna się zrazu opierała, odkładała, ale wreszcie gdy Piotr się nie zjawił, ojciec coraz silniej nalegał, myśląc że już został zabity na wojnie i nie powróci więcej, na ślub z innym też zwołała.

I dzień już wyznaczono na gody weselne, i zamek Odrowążów przystroił się do wielkiej uroczystości, a kapłan miał stanąć przy ołtarzu, gdy Piotr z Radsikowa na ziajanym koniu z połową pierścienia nadjechał. Zjawił się rycerz na sali wśród zdumionych gości, pannie młodej pół pierścienia okazując i dopominając się zaprzysiężonej wiary. Odrowążówna ujrawszy go, ze łzami zawołała, że woli umrzeć, niż ślubowaną wiary mu złamać; a jeśli rodzice za niego nie pozwolą, za nikogo iść niechoe.



Tak starzy Odrowążowie nareszcie zezwolić musieli, a Piotr z Radzikowa dziedziczkę poślubił.

Inna cokolwiek jest legenda Zienowiczów.

Było to w Serbii, w czasie jakiegoś pogan napadu; tłuśzeza najechała dworzec książęcy, a jeden z najezdników pochwyił córkę kniazia i uprowadził ją do blizkiego lasu. W ślad za nim, wiedziony krzykiem dziewicy w gęstwiny, pognął rycerz Zeno i dopędził poganina, ubił go a pannę oswobodził; ta jak w poprzedzającej powieści, dała mu pół pierścienia wieczną ślubując wiare. Rycerz, nie zadowolniony tem jeszcze, począł ze zbroi i oręża odzierać zabitego, pan Bóg za chciwość ukarał, bo wśród krzątania pierścień mu się wysunął w gęszcz i zarośle, i przepadł — ani śladu! Na próżno go szukał i szukał, znaleźć nie mógł, a bez niego nie śmiał się pokazać, żeby go za oszusta nie wzięto. Panna powróciła do ojca, obwołano by się stawil zbawca jej z połową pierścienia, a Zeno przeklinał swe losy, tułał się po lesie, nadaremnie dzień i noc swojej zguby szukając. Nareszcie Bóg, co ukarał, zlitował się jego meczarmi; gdy tak błądzi po gęszczach, zakrakał ptak na gałęzi; spojrz w górę, siedzi kruk na drzewie i pierścień jego w dziobie trzyma. Szczęściem, Zeno miał łuk przy sobie, drzącą go ręką naciągnął,

strzelił, spadł ptak i zguba została odzyskana. Tak cudownie powróconą obraczkę przyniósł rycerz, poświęcił córkę księcia Serbii i od nazwania władcy (Despota) czy od imienia dziewczyny (Despos) rodziną jego przydomek Deszpotów przybrała.

Tenże kruk cudowny z pierścieniem w pysku; siedzi w herbach Korwin i Siewowron; ale któż z nas nie słyszał bajeczki o tym kuku z pierścieniem w pysku? Bajka to czysto słowiańska, kruk to nasz stary znajomy; żadna powieść ludowa, żadna pieśń nie obejdzie się bez niego. Czy wojnę wróżyć, czy pobożowisko w przeddzień bitwy okrzakać, czy z pola walki przynieść krwawą z pierścieniem rękę narzeczonego tęskniacej dziewczynie, czy wodę pokanać żywiącą, czy wieść śmierci lub pokoju zwiastować... zawsze kruk poseł wystąpić musi, kruk wieszczek przez szare przeciąga niebo. Z nim rozmawia chętniej kochanka, z nim ranny, dogorywający wojak; kogo o syna pyta matka? czarnego kruka pielgrzyma? W każdej niemal pieśni ludu jest kruk lub sokoł, bo Słowianin bez ptaka nie stąpi, i świat ptasi, rzekłbyś jakimś mytów starych zabytkiem żyje z nim w pobratymstwie, w nieustannym związku; człek język ptasi, ptak umie język człowieczy... i kobia swego i bydle pracowite nie tyle kocha Słowianin, co

skrzydlatych gności swobodnie unoszących się nad jego głową. — W grobach starosłowiańskich pierwszym naśladowaniem żywego stworzenia, jest niesforemny ptak ulepiony z gliny. — Z tego to charakteru pierwotnego wnosim, że legenda ta do najstarszych herbownych zaliczyć się może.

W tymże rodzaju jest śliczna powieść przywiązana do herbu *Papryca*, a herb ten w tarczy ma kamień młyński, a nad hełmem szezeńiąt ośmioro. Podanie to piękne jest, jak skazka ludowa, jak jedna z tysięcy Nocy

Miało się to dzieć w Czechach, bo tego rodzaju historie zawsze gdzieś za morzami, lub przynajmniej za górami się dzieją; ale opowiadają je z różnemi odmianami w szerz i wzdłuż po całej Słowiańszczyźnie. Jak to Bóg karze nierozważne sądy ludzkie. —

W pewnem państwie, uboga jakaś kobieta na raz wydała na świat synów dziewięciu; dano o tem znać królowej, której ta niesłychana płodność bardzo się jakoś podejrzana wydała. Posądziwszy biedną kobietę o jakieś pokątne miłostki, w gniewie ukarać ją kazala. Spelziono rozkaz, aż oto w kilka miesięcy, gdy królowa już była o wszystkim zapomniała, przyszła i na nią kolej rozwiązania, i zdumiona ujrzała

w kolebce — dziewięciu synów od razu. Co tu począć! wstyd i hańba! Rozgłosiło się potępienie biednej wieśniaczki, jakże się samej przyznać do tego grzechu, za który ją ukarano! Rada w radę z zasłużoną starą zausznicą, babą jakich pełno w bajkach, widać wezwaną za lekarkę do królowej — jednego tedy z synów zostawiono, a ośmiu oplakawszy biedną matkę ze wstydu za poradą baby utopić kazali. — Baba posłuszna zawinęła niemowlęta w płachtę, włożyła w koszyk i poniosła drogą ku młynowi, ku stawowi...

Aż oto, spotyka króla jadącego z polowania, bo król trzeba wiedzieć, był wielkim łowcem, jak wszystkie rycerze tamtych czasów, tak dalece myśliwym, że się z domu wybrał niezważając na chorobę żony.

— Co to tam niesiesz babo? zapytał niszczawszy ów koszyk.

— N. panie, niemę szczenięta do' wody, bo' je trzeba potopić.

— A dużo ich tam masz?

— Ośmioro.

— Pokaż ino, może się co do łowów przydatnego znajdzie.

Baba w wielkim kłopotcie, ale król postrzegłszy

ta, jej nalegać, rękawicę, kiedy wróty do klatki, osmiore chłopiat, w nim, płasze.

— Takie to twoje szczenieta? mów, babo przeklęta, skądś je wzięła? czyje to są dzieci? zawołał król groźnie, kto ci je topić kazano?

Stchórzyła starucha i trzasnęła się na kolana, nią przed królem spowiadać jak to było, skąd to poszło. dla czego jej królewskie dzieci topić kazano. Król z razu uniósł się gniewem wielkim, ale go w sobie pohamował, babę odprawił do pałacu, polecając jej ażeby królowej oznajmiła, że dzieci potopione, a sam synów po cichu oddał na wychowanie młynarzowi i mleczal. Tytuś kiedy niekiedy dowiadując się o nich, pytał: — A co jak się tam mają moje szczenieta?

I szczenietami je nazywał.

Nie wiem jak to trwało długo; królewicze porośli, pochowali się ślicznie, a nic o swym pochodzeniu nie wiedząc, mieli się za synów młynarza; nareście gdy wybiła godzina sądu, król ucztę kazał na zamku zgotować wielką, przywołał książąt i panów, swoich i sąsiadów, sam siadł w końcu stołu z królową i synem, a że mowa była o polowaniu; tak ni ztąd ni z owąd, pocznie opowiadać, jakie osmiore szczeniat ślicznych ocalił, gdy je topić miano, i

dał je młynarzowi wychować. Królowa trochę pobla-  
dła, a król nic nie zważając, zawołał — Przypro-  
wadźcie tu moje szczenięta!

Otwierają się drzwi, wchodzi chłopców ośmiu  
jak jeden, jednako poubieranych, królowa tylko na  
nich spojrzała, poznała krew swoją i zemdląła. Le-  
dwie się jej docucono... Brat też domyslił się braci;  
wszyscy zmartwieli ze strachu, nie pojmując co się  
stało.

W tem król zabrał głos i począł surowym to-  
nem opowiadać swoich bliźniąt historją, a gdy do-  
kończył, zapytał xiążąt i panów, na co by zasługiwała  
kobieta która dzieci własne na śmierć dała.

— Śmierci jest godną! zawołali z żalem sę-  
dziowie.

Ale w tem dzieci rzuciły się do nóg ojcu, pro-  
sząc go za matką, życiem więc ją darowano, wielka  
uczta była, na niej miód pili i t. d. i t. d.

Legenda kończy tem, że ojcu przybranemu kró-  
lewiczów, młynarzowi *Paprzycy*, nadano w herbie  
kamień młyński i szczeniąt ośmiuro, inni herb ten  
znowu ośmiu braciom szczeniętom przyznają.

Nie słyszeliżeście tej bajeczki gdzieś na wie-  
czernicy? mnie ona przynajmniej żywo przypomina  
jedną z nianiek moich, a nawet miejsce, gdzie ją

raz pierwszy słyszałem, a jednak ma ją i poważny Niesiecki S. J. i inni heraldycy nasi.

Śliczna zaprawdę, śliczna powiastka! a jaka w niej myśl głęboka, jaka chrześcijańska i piękna! Nie spiesz się z sądem o drugich, by ci samemu przed sądem ludzi stanąć nie przyszło; nie rzucaj kamieniem pospiesznie, a spytaj sumienia swojego czyś także niezgrzeszył?

Wszystkie postacie tej legendy żyją i przedziwnie są charakterystyczne... Królowa więcej się obawiająca posądzenia o niecnotę niż samej zbrodni, co to za trafny obraz ludzi wyższej społeczności klasy, zawsze i wszędzie wyżej ceniących pozory nad sumienie... Ta stara baba, posłuszna pani, posłuszna panu, bojaźliwa, wykretna, nie umiejąca ani się oprzeć złemu, ani języka utrzymać, ani dotrwać w wierze, co to za typ wyborny! Król wręcz jako król i sędzia, przedstawiciel moralności i sprawiedliwości, zarazem surowy i łagodny jako na pana przystało, a zażarty myśliwy po rycersku — jaka wspaniała postać średniowieczna! Widzisz go jak z polowania jedzie do zamku i spotyka babę z koszykiem... A ów młynarz pracowity, co w milczeniu hoduje przybranych synów i przywiązuje się do nich, jak do własnych dzieci! Nie sąż to figury mistrzowską skreślone

ręką w samym zawiązku powieści, które widzimy do razu żywe, choć dramat tylko sam poznać nam daje ich charakter, choć poemat ten zaledwie kilka prostymi linjami jest zarysowany, jak pierwotna rzeźba, bez wykwintu sztuki, bez perspektywy, jednak uderzająca wyrazem. Jest w tem wszystkim coś Shakespearowskiego, powiem, jeśli mnie o przesadę nie posądzicie za to. Wieki się na ten poemat zbierały, i utwór to zbiorowy, za wzór powiastki ludowej czy legendy szlacheckiej służyć mogący.

Sięga on widocznie czasów gdy szlachta jeszcze się z łona ludu nie była odszczepiła, nie ma cechy odrębnej, zapisano go w herbarzu, ale opowiadają po chatach, do dziś dnia.

Tu także należy legenda herbu *Rawicz*, który jak wiadomo, wyobraża pannę siedzącą na niedźwiedziu, z koroną na głowie, z rękami podniesionemi, jakby wołała ratunku. Taż sama postać powtarza się nad hełmem między rogami żubrzemi — heraldycy i miańki tak tę historją sobie opowiadają.

Był sobie król, daleko gdzieś w obcej ziemi, a miał on syna i córkę, ten, czując się bliskim zgonu, a niewiele ufając braterskiemu sercu syna, za żywota rozporządził spuścizną swoją, zestawując królestwo synowi, a córce wszystkie skarby. Panna



była piękna, skarb wielki i wielu się o nią starało przybyszów z za morza. — Brat, po śmierci ojca począł jej zazdrościć wydziału; zauszniczy przedstawiali mu, że skarbiec uzbierany przez ojca wyjdzie z państwa i obmyślano jakby ją zgubić. Umyślili więc dać ją dzikim zwierzętom na pożarcie. Ale znać panna nieraz wprzód chadzała do zwierzyńca i karmiła z rąk swoich te stworzenia dzikie, które ją znały i przywykły były do niej. Kiedy więc z rozkazu brata wepchnięto ją między głodne bestje, nieulekniona panna chustę zarzuciła na niedźwiedzia, siadła nań i jakby cudem z pośrodku rozjuszonego zwierzyńca wyjechała na nim. Brat zawstydzony i tknięty skruchą, za cud to uznawszy, musiał poprzestać prześladowania i oddać jej ojcowiznę.

W legendach średniowiecznych, ta cudowna potęga czystości i dziewictwa nad dzikimi zwierzęty, bardzo często jest wysławianą.

Można by to inaczej rozumieć, i sądzić, że powieść mówi o jakiejś córce królewskiej, danej za żonę władcy dzikiego ludu, małemu jakiemuś Atylli, który ugłaskany przez żonę, na państwo brata napadł i do oddania sobie wiana przymusił.

Choć, co do swej poetycznej budowy piękna, a imionami bohaterów własna nasza, legenda o przod-

ku Toporczyków Starzów, Walgierzu Hrabi z Tyńca, nie zdaje się nam pochodzenia polskiego, ale przyniesioną z Zachodu. Charakter jej wcale nie słowiański, zbyt wiele zepsucia, okrucieństwa, krwi i zemsty, nadto zalotności, miłość gra w niej zbyt wielką rolę, występki i zdrada są zbyt rozmysłne; jest wręcz w niej coś nie naszego, co się czuje wyraźnie, i mówi o obcym pierwiastkowym pochodzeniu. Zresztą, któż tej tylekroć obrabianej, zawsze dosyć nieszczęśliwie, nie zna powieści?

Hrabia Walgierz długo wędrując po obcych krajach, zajechał wręcz na dwór króla Franków. Była tam podówczas sławna z piękności i zalotności królowna Heligunda, o której rękę i Ariwald Niemiec i Walgierz począł się ubiegać. Poszczęściło się ostatniemu, i porwawszy królownę, zemknął z nią do Polski. Nie długo się nią jednak cieszył; ta co nie poszanowała ojca, nie mogła poszanować męża, a gdy Walgierz gdzieś bojował, ona wdała się w pokątne miłości z Wiślimirzem. Walgierz odkrył jej zdradę i już miał za nią ukarać, gdy chytra córka Franków uprzedziła go, zasadzkę nań uczyniła z kochankiem, schwytano Walgierza i w klatce żelaznej osadzono w tej samej izbie, w której się kochankowie z sobą pieścili, dla większego udręczenia nieszczęśliwego.

Nie wiem już jak długo trwały te wymyślne męczarnie, jedna tylko wielkiej brzydoty siostra Wiślimierza, jeść podawała uwięzionemu i zbliżyć się do niego miała prawo, klucz mając od klatki żelaznej. Walgierz przeciągnął ją na swoją stronę i obietnicą małżeństwa do zemsty wspólnej nakłonił. Ona rozkuła jego więzy, otworzyła więzienie, i gdy kochankowie usnęli, podała mu miecz, którym zabił niewierną córę Franków i zdrajcę. — Podanie wzmiankuje, że w r. 1242 w Wiślicy nad grobowcem Heligundy, widziano jeszcze rzeźbioną twarz zalotnicy, której niewiem, zabójca sam może, pomnik ów postawił.

Ale cała ta historia, którą się pewnie nie chwaliłi Toporczycy choć ich z jakimś królem Franków bratała, krwawa, nie nasza, gdzieś pożyczona.... Heligunda, Wiślimierz, jego siostra, wszystko to widocznie przybysze z krainy Nibelungów, do której niewiem jak zawędrował Walgierz z Tyńca. Stara rodzina Toporczyków dosyć miała własnych podań, i nie potrzebowała się zapożyczać. Wiemy, że żadna rodzina w Polsce tak troskliwie około sławy swojego domu i cnoty jego członków nie chodziła, jak oni. Ich to rodzinnem więzieniem była owa wieża, od jednej z uwięzionych w niej Dorotką zwana, w której

zamykano każdego, co imię Starzów mógł splamić. Nie czekali oni ani sądów królewskich, ani wymiaru sprawiedliwości publicznej, sami obwoływali się na wielką wiecę rodową, przyzywali winowajcę, i karali go, aby obca ręka nie tknęła ich krwi i sławy.

Wiemy także że w domu ich znajdować się miała księga dziejów rodu, starannie przez kilka wieków spisywana, po łacinie i po słowiańsku, ale ją jedna z niewiast wraz z wianem, w obce imię przeniosła.

Naostatek, przyłączamy tu jeszcze legendę o herbie *Wezele*, choć starego kroju, ale może dla wyvodu nazwania herbu, nowszem przystrojoną zakończeniem.

Słowianin jeden (Słowak pisze Niesiecki) nazwiskiem Hołub, puścił się w podróż po świecie, a jak to się zdarza tym co pielgrzymują, że nie zawsze trafia tam gdzie chcą, los go zaniósł aż do maurytańskiego królestwa Grenady — niepotrzebnie i trochę daleko. — Hołubowi nie brakło ani urody, ani męstwa, ani dowcipu, w szachy nawet dobrze grać umiał. Stał tedy na dworze króla; a król ten miał córkę, która i siłą ręki i dowcipem nad inne celowała, w dodatku zaś za niezwyciężoną w szachy się uważała.

Nie wiem czemu zachciało się jej mierzyć z Hołubem, o dziwną stawkę — wygrywający miał przegranego w głowę uderzyć szachownicą. Król był grze przytomny, a choć królowna silnie się opierała, zamatowaną jednak została przez rycerza i przegrała stawkę... Hołub, przez winne dla kobiety uszanowanie prawa swojego użyć nie chciał, ale król go zmusił dotknąć czoła dziewicy (*Wczele*). Upokorzona Maurytanka uciekła ze łzami. Na pamiątkę tego wypadku rycerz wziął za herb szachownicę, którą czasem *Wczele*, czasem *Łebno* zowią.

Herb ten miał przywędrować do Polski za Krzywoustego, około r. 1103. Zdaje mi się, bacząc na liczne szachownice i szachowane szaty w herbach niemieckich, że z Niemiec musiał być przyniesiony. Bajka ta ma swoją oryginalność; w Maurytance dobrze się przedstawia typ plemienia, co bohatersko zdobyło i bohatersko postradało Hiszpanią. Hołub, jako prawy rycerz, grzeczny jest dla damy, ojciec surowy dla córki, ale w obyczajach wschodu podobny wypadek jest niepodobieństwem — wprost sobie rycerska legenda, w której Maurowie dla przechwałki stoją.

Maluczko jest powieści, któreby jak poprzedzające nosiły cechę epoki pierwotnej, zebraliśmy tu

najgłówniejsze, omijając te tylko, które się z małemi odmianami po kilkakroć powtarzają. Wśród nich czujemy się w świecie nasz szlachecki, poprzedzającym, przedhistorycznym, bajecznym, fantastycznym, w krainie cudów i czarów, a każda z legend wykwita na tej ziemi usłanej drogiemi kamieniami, jak cudowny kwiat paproci, w płomienistą, w tęczową, w nieziemską barwę ubrana. Młodość naszą zabawiano niemi, bo też to młodych ludów płody, młodej wyobraźni utwory, pełne blasku przy prostocie, z tak dziwną sprzecznością od naszych odbijające czasów!

Jak to być musi stare! ile to lat ubiegło od pierścienia Ogończyków, od szczeniąt Paprzycy, do naszych ślubów w białych rękawiczkach, i naszych domów podrzutków! wieki! wieki! — wszystko się zmieniło i bajki znikły ze świata... a sama na nim została sucha i chłodna prawda... Wolałbym jednak bajkę, taka ta jejmość wysznurowana i smutna...

## V.

Zbierzemy teraz w jeden snopek legendy o kmi-  
ciach i nieszlachcie, którą się nie wstydzono poło-  
żyć na czele drzew genealogicznych. Powiedzieliśmy wy-  
żej, że stara legenda nie rumieniła się żadnego po-  
chodzenia: wszakże już w XVI i XVII wieku wiele  
podobnych powieści uledez musiały przetworzeniu; są  
dotąd ślady, że z kmiociów praojców, z poczciwych  
sług i pacholków xiążących, z rzemieślników tęgiego  
serca i dłoni, porobiła później дума dorobkowiczów,  
przybyszów z dalekiej krainy, xiażątka i królewiczów.  
Nie chciało się wojewodzie lub kasztelanowi wywo-  
dzić choćby od pięćset lat temu wyszlachconego pro-  
letariusza, potworzono dzieje nowe, dosztukowano  
legendy i wiele ich dziwnie połatanych barwę pier-  
wotną potraciły, inne się całkiem zatarły, tylko go-  
dło i nazwanie herbu świadczą, o niezręcznej robocie.

Ów Skuba, o którym mówiliśmy wyżej, czy  
szewc był, czy coś około skór chodzić musiał, kie-

dy tak sobie dobrze dał rady z baranym kozuchem; przebąkuje o tem podanie, ale kopyto później schowano, a szewc wyszedł na dworzanina krakusowego ze skromnego rzemieślnika.

Mniejsza o to. — Z herbem *Cholewa* nie śmiało czy nie umiano tak sobie postąpić, i legenda o jego protoplaście doszła do nas w pierwotnej swej prostocie; — piękna też jest szczerotą swoją. —

Herb ten jak wiemy ma w tarczy dwie klamry, zagadkowe znaki tak przez heraldyków w braku innego lepszego imienia nazwane, (podobne do dzisiaj używają się do rozłupywania drzewa) w pośrodku między nimi miecz prosty otłuczony, stępiony na zbrojach i łbach nieprzyjacielskich, w herbie jest to zawsze godło potężnej walki. —

Było to za Bolesława śmiałego, po jakiejś zwyciężkiej bohatera potyczce, zbito nieprzyjaciela uchodzącego w lasy, z pobranym wprzód łupem, ale mu go nie odebrano, a król gnał najeźdźców, by odbić niewolnika i grabieżę. Tym czasem garść zbójcka wpadła w gąszcze i znikła. — Takie w istocie były wówczas wojny i sąsiad dobierał pory gdy gospodarza nie było w domu, wpadł, palił, siekł, zabierał, ludzi pętał, zganiał konie, skarby łupił i z taborem do domu dniem i nocą, na zamczyska



uciekał. Zapewne pogonią za takim gościem Bolesław Śmiały w lasy poszedł, ale w gąszczach ani śladu gdzie się podzieli najezdnicy. Wjechał król w głęboką puszcze, słyszy pukanie siekiery, zbliża się, patrzy, chłopek sobie spokojnie rąbie kłodę na chatę. był to ów przyszły bohater, a zwał się po prostu *Cholewa*. Król począł go rozpytywać o nieprzyjaciela, a gdy kmieć rozsądnie odpowiedział, kazał mu się Bolesław prowadzić ku miejscu gdzie obóz zastać byli powinni. —

Cholewa spełnił królewskie rozkazanie żywo i roztropnie, powiódł go znanymi sobie manowcami, naszli cicho na obozowisko bezpieczne, natarli żywo, król na czele, Cholewa przy królu, ale prócz dwóch klamer do łupania drzewa, nic nie miał; nawet topora, którym rąbał kłodę, nie wziął z sobą. W tem na Bolesława puścił się wódz nieprzyjaciół. Cholewa widząc to na niego ze swoją klamrą, koniowi naprzód nogę podciął, drugą leżącego na ziemi ranił, a mieczem jego własnym życie mu odjął. Król widząc to meztwo kmiecia dał mu w herb klamry z mieczem, a od nazwiska chłopka godło *Cholewą* nazwano.

Legenda ta, ledwie by historyczną być nie mogła, tem bardziej, że zwać herb Cholewą i wywodzić się od drwała, nikt by tak bardzo nie pragnął,

żeby to sobie aż stworzył, takie rzeczy nie wymyślają się zwykle. Jest w tem poezja, w obrobieniu, w udramatyzowaniu, ale treść czuć rzeczywistością. Chłopak co w śród najazdu nieprzyjaciół spokojnie drwa rąbie w lesie, doskonale przedstawia stan włościan w owej epoce, w której sprawy wojenne wieśniaka nie obchodziły wcale. Patrzali na nie z obojętnością tych, którzy ani radzić ani pomagać nie wezwani nie mają prawa, a powinności swego życia powszedniego spełniają wśród szczęku oręża. Słowo króla wywodzi kmiecia z uspienia, budzi w nim rycerskiego ducha; powołany, tknięty, staje się natchmiasz mężem, podnosi głowę, i wyrasta na bohatera.

Zdaje mi się że i herb *Chomąta* pierwiastkowo miał tego rodzaju legendę, choć go później heraldycy uszlachcili i upletli mu inną. Piękniejsza by może była ta powieść, gdyby jej bohaterem nie był bajeczny Dobrosław z Cygienbergu. Jakoś ten rycerz z Chomątem nie do pary, ale mówmy jak nam o nim podano. W jakiejś wojnie, ów Dobrosław widząc że pod królem konia ubito, swojego mu poddał, a sam na *wołu z chomątem* (?) siadłszy, nacierał na nieprzyjaciela, przy królewskim boku. Heraldycy robią tu uwagę, że chomąta takiego dawniej do wołów

używano, ale to wierutna bajka, bo całemu światu wiadomo, że jarzmo starsze od chomąta, a chomąt jest już produktem cywilizacji i nigdy do zaprzęgnięcia wołów u nas nie służył. Nie na wole więc, ale na koniu zapewne z woza wprost wyprzężonym, rycerzów czy plebejusz popisywać się musiał i cudów o-wych waleczności dokazywał. Dosyć że po bitwie, król rycerzowi nadał w herbie *Chomąto*.

*Dęboroga* wywodzą świeżo bardzo, bo za Zygmunta Augusta, od jakiegoś łowczego królewskiego, myśliwca, który wrosł w pień dębowy rogi królowi przyniósł w darze i w herbie je otrzymał. — Są w prawdzie co *Dęboroga* starszym daleko robią, ale zawsze też sama się w nim legenda powtarza.

Sama postać herbu *Kroje* powiada, że go kmięcz musiał otrzymać, ale tradycja aż do Piasta go odnosi. Toż z *Brogiem* (Leszczyc) rzekłbyś, że go pewnie wieśniak od brogu swego otrzymał, bo i Bielski i inni za nim świadczą, że ród Leszczyców ludzie bywali prości, szczerzy i gospodarze dobrzy, ale o kmięciu ani słyhu.

Nazwanie herbu *Napiwon* trudno inaczej tłumaczyć jak datkiem *na piwo*, tak też go i wywodzą, — ale *na piwo* dać szlachcicowi zdaje się nie sposób.? Wprawdzie, poprawia nieco to, że tym

który na piwo dawał, był sam Bolesław Krzywousty. Protoplasta — był jak Dęboróg prostym myśliwcem, który królowi żywo schwytanego przyprowadził jelenia, a król mu miał rzec: Naści na piwo... Ten że wolał szlachectwo jak datek, otrzymał w tarczy jelenia. Od królewskiego zaś słowa herb się *Napiwon* nazywa.

Szerzej jeszcze i dobitniej mówią o pochodzeniu herbu *Nowina*, w którym jest ucho kotła, miecz i goleń zbrojna. W bitwie z Rusią pod Haliczem, którą dosyć często herbowne wspominają legendy, jakiś kotlarczyk, wprost sobie ucho od kotła urwawszy, gdy go chętka do boju wzięła, wniósł się w tłum, a szczęśliwym trafem i króla miał od Rusi obronić i konia mu poddał, i sam walcząc z tym lichym orężem, nogę utracił. Ztąd skład herbu, ucho od kotła, miecz i noga, a nazwanie od dobrej *nowiny* po wygranej bitwie, lub jak sądzę, że *nowina* było w tarczy ucho od sagana. Piękna i to legenda, ale zważając na sam kształt herbu, podobieństwo do *Złotogoleńczyka*, domyślałbym się, że od niego raczej pochodzi, a nazwiskiem nadanem miał się od niego odróżniać. Nie króla zapewne, ale rycerza *Złotogoleńczyka* obronił mężny ów kotlarczyk, za co do herbu *Salva melioratione* został przyjęty, z przyzwo-

leniem królewskim. Czy tak lub inaczej, zawsze pięknie, a nadewszystko dziwno, że kotlarczyk zakradł się do herbarza... gdzie jemu podobnych tak niewielu. — Młynarz z Paprzycy, on drugi i po wszystkim.

Zrobił mi tu ktoś z herbownych uczoną uwagę w Kurjerku Warszawskim, o znaczeniu kotła w heraldyce hiszpańskiej, o symbolicznej powadze tego znamienia, i podobno niedorzeczności legendy o kotlarczyku. To pewna, że ja jej nie wymyśliłem, a kocioł może istotnie w Hiszpanij być godłem szlacheckim i prastarym herbem, ale my tu nie mówimy o Hiszpanij, i to dla nas rzecz obojętna. — Wątpię wręcz by *Nowina* nasza aż z Hiszpanij przywędrowała.

Żadna powiastka wiąże się z herbem *Rustejko*, który dwie trąbki (jakby Radziwiłłowskie) i miecz wyobraża. Na wojnie jakiejś, (legendy co chronologią się nie wdają) w zajadłym boju, zapewne na Litwie, wielki pan jakiś, może który z Radziwiłłów, bo trąbki zdają się to przypominać, gdy się ścinał z nieprzyjacielem, a obok krok w krok z nim zasłaniając go piersią swą idzie wierny jego sługa *Rustejko*, oba otoczeni, ściśnieni, przemożeni, w niewolę zostali wzięci. Poddali się, bo sił im zabrakło

do obrony, bo ręce spracowane opadły. Wzięto ich wtedy, spętano i zaprowadzono na jakieś zamczysko, gdzie pan czekając okupu siedział zamknięty, a służba wolniej puszczony, na swój i jego chleb zarabiał, żywiąc siebie i nieszczęśliwego jeńca. Rustajko we dnie chodził do miasta i pracował dla pana i siebie, a nocą powracał do więzienia. To mu dozwoliło rozpoznać położenie zamku i sposób ucieczki obmyśleć, a po cichu pracując w ciemności, zostawionym sobie mieczem wykuć w murze otwór, którym pana szczęśliwie z niewoli uprowadził. Nadano mu w herbie dwie trąbki, które mi się zdają wzięte od Narbutów lub Radziwiłłów, i miecz, — jego własny. —

Legenda herbu *Sokola*, na którym pól dzika, pól niedźwiedzia widzimy, odnosi się do czasów Kazimierza W. Król chłopków musiał być myśliwy, jak wszyscy jego czasów panujący i szlachta, łowy były jedyną prawie rycerskich wieków zabawą. Raz tedy, wjechawszy w knieję, szukał miejsca, gdzieby stanął w gęstwinie, gdy spojrzy, osobliwsze postrzegł nieopodal spotkanie. Na polance stał niedźwiedź stary, zaczajony na dzika, który tuż gnuśnie się dźwigał z rozrytego świeżo barłogu. Król, ciekaw co z tej walki na którą się zapaśnicy gotowali wyniknie, stał i patrzył na nich. — Nim dzik ospało i wołno podniósł

się ze swego łożyska, niedźwiedź śmiało rzucił się na niego, ale odyniec, spostrzegłszy niebezpieczeństwo, jednym ruchem ryja nieprzyjaciela odtrącił i przez siebie przerzucił, potem rozdrażniony za przerwanie spoczynku, popędził za nim odważnie. Zwarli się ostro, nuż ciąć, nuż dusić, nuż borykać, niewiadomo jaki by był koniec pojedynku, gdy dwaj bracia Sokołowie, łowczowie królewscy, ludzie wielkiej zręczności i siły, nie mogąc dłużej wytrzymać, poskoczyli ku nim, jeden niedźwiedzia za uszy, drugi za łeb dzika pochwycił i łby im poucinawszy, u nóg króla złożyli. Król im za to miał nadać ów herb, zwany *Sokolą*.

Na tem koniec legend, w których pamięć uszlachcenia plebejuszów uchowała się szczerze, otwarcie, wyraźnie; daleko więcej powieści takich poprzrabiano, i te dla nas zatracone zostały. — Z tych przecie które pozostały, widzimy, że był czas, w którym nie rumieniono się od kotlarza i młynarza, od myśliwca i pańskiego sługi pochodzić. Męstwo, wierność, poświęcenie uszlachcały każdego, kto je miał w sercu; szlachectwo stało otworem zasłudze, było nagrodą, było pamiątką, było zakonem, do którego po próbie każdy mógł wstąpić, z którego też za zbrodnie wypędzano jak niektórych Boleszczyców,

to jest Bolesławowskich dworzan, po zabiciu ś. Stanisława, i wielu innych, za mniejsze zbrodnie, odejmując część godeł, lub kładnąc na nich znamie pokuty, znak kary.

Za Stefana Batorego powstało mnóstwo różnych herbów, wysłużonych krwawo przez ludzi najniższych kondycij, ale tych legendy już są czynami historycznymi, należą do dziejów szlachty, nie do poezij szlacheckiej, jak poprzedzające; chociaż to co człowiek czyni ręką i głową, i co wymyśla w większym jest i ściślejszym związku, niż dotąd sądzono. Często ta sama fantazja rodzi poezje i czyny, jeśli czyny są poetyczne.





## VI.

Powieści o czynach rycerskiej odwagi, o dziełach męstwa na placu boju, składają najliczniejszy szereg podań, dosyć co do treści jednostajnych, ale pięknych myślą swoją i przypominających nam stare czasy, w których ofiara życia nic nie kosztowała tego co wdział zbroję na piersi i miecz do boku przypasał. Wchodzimy tu w świat olbrzymów, po których dziś zostały skarłale dzieci, chore, bojaźliwe, szyerskie, przenoszące wygodki nad zasługi życia, a jednak noszące na palcach sygnety przedziwnie rzeźbione z herbami przodków, krwawo przez nich wysłużonemi. Jesteśmy jak w lesie wśród tłumu niezliczonych powieści, nie wiedząc co wybrać, co opuścić, co na czele postawić, .. a liczebnie szereg ten najobfitszy, choć nie wielka w nim różnaitość kolorytu, czyni jednak, zasadą ich poświęcenie; gdzie-niegdzie tylko tchnienie fantazij ożywia ten świat zmarłych rycerzy.

Litewski herb *Akszak*, rodziny Aksaków, która się później w Kijowskie przesiedliła, wyobraża serce przebite strzałą; pozyskany został w wojnie Rusi z Tatarami, za obronę (*Akszak*) jakiegoś grodu i postrzelenie w samo serce wodza Tatarów; w *Belinie* ręka zbrojna nad hełmem z podniesionym mieczem, jest pamiątką po Zelisławie Jastrzęlchyku, któremu Bolesław Śmiały złotą posłał prawicę na miejsce utraconej w boju. Heraldycy dosyć śmiesznie nazwanie *Beliny*, wywodzą od tego, że nieprzyjaciela zagnał w chwasty (*Belinę*). Paprocki znowu inne wie podanie o nich i wiezie ich od córki Kraka, a siostry Lubuszy, *Biłoj Titki*, *Biłyny*, sławnej niewiasty, która tak była silna, że z niedźwiedziami chodziła za barki.

Stary herb *Bogorjów*, w którym są dwa strzały żelazce i paw na hełmie ze strzałą, miał w ten sposób być ułożony za Bolesława Śmiałego, i jest pamiątką bitwy z Połowcami pod Snowskiem. Niejaki Bogorja walczył obok króla tak dzielnie, że się do zwycięstwa wielce przyczynił i kilka postrzałami został raniony. Po bitwie, sam król własną ręką wyjął zakrwawione dwie strzały z jego piersi, i te nadał mu w herbie. Tym bohaterem miał być Michał Bogorja; nasi heraldycy, którzy każdej rodzinie dają ciekawą charakterystykę rodu, powiadają o Bogorjach,

że byli zawsze *humani et tractabiles*, tylko, jak widać, nie dla Połowców. — Druga to już powieść, w której widzimy panującego po boju opatrującego rany, własną ręką obwiązującego swych zboczonych rycerzy, i spełniającego obowiązek miłosierdzia; tak krwawy Nałęcz zawiązany był ręką Krzywoustego, strzały Bogorjów wyjęte ręką Śmiałego, a historia Florjana Szarego także napomyka o podobnym wypadku. —

Topor *Bokojów* z krzyżem, nadany być miał przez któregoś z kniaziów ruskich za walkę z Tatarem, zabitym toporem w niedostatku innej broni. Często same herbu nazwanie jest już niemal całą legendą; niektóre z nich są pobożnemi westchnieniami lub życzeniem: *Boża wola! Pobóg.* — *Boże zdarz* i t. d. O pierwszym z tych herbów, który z Lubicza powstał, mówią, jedni to mieszcząc w Mazowszu, drudzy bez oznaczenia miejsca za Krakusowych czasów, że Lubiczanie jeden dostawszy języka o nieprzyjacielu, napadł nań po xięzycu i łatwe nad przełęczym otrzymał zwycięstwo. Xięzyc jak tu, tak w wielu innych herbach zawsze nocną oznacza wyprawę; piękne to, że ów rycerz sobie nie przypisując tego co uczynił, widział w tym tylko siebie narzędziem *Woli Bożej*.

W herbie *Chrynicki* jest wędka z krzyżem sponjoną; powodem połączenia tych godeł miało być następujące zdarzenie. Niewiadomo kiedy, z kim i jak się to stało, sądzą jednak, że być musiało na Wołyniu gdzieś u Styru, bo się tu Chrynicy gnieździli; protoplasta ich, postawiony na dalekiej czacie, stał długo i zatęsknił się bezczynny. Modlił się, wzdychał, ziewał, przechadzał, a czasu zabić niemógł; — że u stóp jego woda płynęła, patrzył w jej fale, wreszcie ubezpieczony długą ciszą, z konia zląwszy i cugle na rękę zarzuciwszy, przysposobił sobie wędkę na przódce, złapał muszkę, siadł na obrywie i zapuścił ją w wodę. Okiem za rybą, uchem jednak był na czatach, i choć nie zdawało się żadne grozić niebezpieczeństwo, konia nie puścił, uwagi nie odwrócił od okolicy... Zwąchał nadbiegający podjazd tatarski i w mig dosiadł konia. Tak się dzielnie spisał ów rybowłowiec spokojny, że starszyznę jakiegoś na wędkę wzięwszy, wodzowi przyprowadził, za co później w herbie znak ten otrzymał.

*Godziembowie*, ród silny, mają w herbie sosnę o trzech wierzchołkach, i nie darmo ją sobie dostali. Pierwszy z nich ze Sieciechem wojewodą krakowskim do Moraw posłany, w jednej z bitew z nieprzyjacielem tak dobrze nacierał, że wszystek oręż potracił

i pokruszył na karkach wrażeń, a że się to działo kędyś w sosnowych zaroślach, niedługo myśląc, wyrwał z korzeniem sosenkę i kończył nią dobrze rozpoczęte dzieło. Po łbie nią hetmanowi samemu dawszy, do Sieciecha go przyprowadził, sosnę jeszcze trzymając w ręku; i ztąd sosna z korzeniem o trzech wierzchołkach w herbie Godziembów.

*Grzymalitów* rycerz stojący w bramie, jest pamiątką najazdów na Mazowsze Litwy i Prusaków, gdzie szlachta tej rodziny mężnie murem stawała koło Zielonej i Słasów i za to jej mur w herb włożono. Jest inna legenda o Selberszwehcie, który sam jeden stanąwszy w bramie zamku, napadającemu nieprzyjacielowi się nie dał, za co rycerza w bramie postawiono mu na szczycie.

W herbie *Hełm*, przechowuje się pamiątka mężstwa i siły jakiegoś masztalerza, który w bitwie z Pomorzany i Prusakami w XII wieku, jednym zamachem rycerzowi jakiemuś łeb odciął z hełmem i tak królowi go przyniósł. Hełm zachował kształt tradycyjny i sterczą na nim dwa rogi. —

Ruski herb *Hołowińskich*, dwie góry, krzyż i więzyc, gdyby legendy nie miał, sam by ją godłami swemi opowiedział; na dwóch to górach po więzycu

odniesione zwycięstwo nad nieprzyjacielem krzyża początek mu dało.

Któż nie zna tysiąc razy powtórzonej przesłizanej legendy o Florjanie Szarym? Jest w niej wszystko co potrzeba, by się mogła nazwać kwiatem tego rodzaju powieści. Było to za Władysława Łokietka, król po bitwie zwyczajem królewskim zwiędzał pobojowisko okryte trupami nieprzyjaciół i wiernej swojej drużyny, a gdy ujrzał Florjana Szarego, własną ręką przytrzymującego uchodzące *jelita* z rozprutego brzucha, zadrzał na straszliwy widok i zawołał z politowaniem: — A! jak to boli!

A Florjan na to z wytrwałością stoicką rzekł: — To mniej boli... więcejem wytrwał na wsi od złego sąsiada! Wiecie resztę. Florjanowi Szaremu król połowę wioski dokupił, a w herbie nadał trzy włócznie, któremi był przebity, i herb ten zwie się *Jelita*.

Zabawna jest legenda herbu *Junosza*, a heraldycy wielki dali dowód wstrzemięźliwości, że widząc w herbie barana, oparli się pokusie wywodzenia go od Jazona, Kolchów i Złotego Runa:

Rzecz się tak miała wedle podania. Owego czasu rycerz Junosza z zamku swojego wyjeżdżał po żonę, która u rodziny bawiła, w małym poczie,

z garścią ludzi, o wojnie mu się ani śniło, ale przecież nie jechało się pod owe czasy bez oręża i zbroi, ani samotrzeć z pachółkami. — Na zwodzonym moście zamkowym, gdy już w drogę wyruszał, baran, jakie to u nas z dawna po stajniach trzymano, nawinał mu się i razy kilka poskoczył przed nim wesoło, jakby na dobrą wróżbę przed podróżą. Pojechał Junosza z pogodnem czołem, nie spodziewając się że mu te skoki harc z nieprzyjacielem wywróżą. Nagle, natknęli się na przednie straże jakichś najeźdźców i szczęśliwie je rozgromiwszy, niedobitków w niewolę pobrali, tak że ani noga ich nie uszła. Od nich dowiedział się rycerz, że niedaleko obozował oddział znaczniejszy, który w tej chwili konie na paszę puściwszy, spoczywał. Dalej więc nań, zagarnawszy naprzód konie na pastwisku i baran ów wielkie a łatwe wywróżywszy mu zwycięstwo, w herbie jego pozostał.

Siedzą dotąd we Włodzimierskiem, gdzie już w r. 1453 siedzieli Iwaniccy, na rodzinnym swym starym zagonie; herb ich xiężyc i krzyże. We wzmiankowanym czasie Bohdan Iwanicki, na zwiady wysłany przy xiężycu w pełni, nieprzyjacielskie wojsko rozpoznał, i w porę dał znać o niem wodzowi. Walczył on długo potem, a zginął pod Litowiszczami,

w bitwie z Tatury, gdzie później, jak mówi Niesiecki, mogiłę jego długo zwano *Iwanicą*.

Ale można wypisać te wszystkie legendy, których na kartach dziejowych jak mrówia? — a tyle we wspomnieniach rodzinnych, w pogrzebowych panegyrykach, w herbarzach? Lękam się bym już niemi nie utrudził, choć każda ma coś w sobie pociągającego, tak że żał opuścić. Tam widzimy towarzysza Bolesława Śmiałego, który strzegąc króla (*Strzegowia*) pod Snowskiem długo się potykając, miecz otłukł i postrzału dostał w piersi; za co mu herb zmieniono (*Kościusza*); dalej dziedzica Ładów (herb *Łada*), który wyjeżdża w pole dla obejrzenia jak mu tam około roli robią parobcy, a trafia na Jadźwingów, na których z ludem od zagona wpada, gromi, a nareście przed przeważającą siłą cało w lasy uchodzi; z tąd w herbie widły mu zostały, bo musiało się niemi opędzać Jaćwieżom; to znowu przodka *Nieczujów*, który głośnem wołaniem w czasie walki Krzywoustego z Czechami, wysłużył sobie to godło. —

Nie zasługujesz na wzmiankę legenda o *Złotogoleńczyku*, heroicznego poświęcenia przykładem? Hetman i rycerz co u boku jego walczył, razem się w niewolę dostali, skuto ich i do ciemnicy wrzucono.



Hetman nie bolał nad sobą, ale nad wojskiem, które pozbawione głowy mogło się stać łupem nieprzyjaciół; wierny towarzysz uczuł to mocniej jeszcze. Ale skuci razem uciec, ani nawet myśleć o ucieczce nie mogli, a łańcucha przepiłować nie było podobna. Rycerz więc nie myśląc długo, poświęcił siebie dla wodza, uciął sobie goleń, by mu ucieczkę ułatwić, za co potem złotą nogą udarowany, w herbie ją dla potomków otrzymał. Tak to z poświęceń rodziły się poświęcenia i ofiarami karmiło szlachectwo, a herby były tylko mówiącemi obrazami, przykładem dla dzieci, pobudką do czynu, i piękniej się było w ówczas nowego szlachectwa dosłużyć, niż starem na poduszkach przechwalać.

*Odrawążowie* a raczej *Odrzywały* wedle podania ród prastary, z Moraw przyjsć do nas mieli, a strzały owej z wasami, tak się jakoby dosłużyli.

Na dworze jakiegoś xiążęcia i Odrawążów, i jakiś pół-błazna, pół-dworaka żyli razem, nie cierpiąc się wzajemnie. Dworak był wielkim faworytem pana i wszystko mu uchodziło, bo go bawił; dość silny zresztą, dosyć dowcipny, ale ani siłą ani umysłem przeciwnikowi nie zrównał. Raz, dla pańskiej zabawki, pewien że go w złym razie łaska xiążęcia

obroni, poczał dworak Odrowąza wyzywać i stanęli do popisu. W obyczajach naówczas były szermierstwa tego rodzaju. Poszli naprzód za barki, ale faworytowi się nie udawało, i choć kpinami nadrabiał, kości mu trochę nadgruchotano. Rozgniewany, powstawszy z ziemi, żeby się pomścił żartem, prosił o pozwolenie rozpoczęcia walki na szcutki. Strzelali w przód z łuku, do celu; Odrowąż miał kołczan przy sobie a niemogąc już dłużej ścierpieć błazna, który śmiał go na tak nierycerski harc wyzywać, porwał go za wąsy, odarł je i zatknięte na strzałę podał xięciu. — Z tad nazwisko Odrzywās i strzała w herbie z wāsami; faworyt zawstydzony w kąt naturalnie pójść musiał.

Herb *Odyńców* i nazwisko ich, jest pamiątką po sławnym siłaczu, który sam jeden za całe wojsko stawał i na rękę zastępy wyzywał. Pierwszemu z *Ostojczyków* i mężtwo posłużyło i szczęście. Miało to być za Bolesława Śmiałego; *Ostoją* puścił się na nieprzyjaciela z garścią ludzi niewielką, a wpadłszy na przednie straże nie tylko je pogromił, ale któregoś śmiercią nastraszywszy zmusił, że życie ocalając, drugą część wojska na zasadzkę naprowadził.

Herb *Późniaków* sam już jest malowaną legendą,

rycerz w nim stoi na wskrós strzałą przeszyty, *Przerowa* nadany za przerwanie nieprzyjacielskich szyków pod Wrocławiem za Krzywoustego, *Przyjaciół* podobny do *Akszaka*, tłumaczy następną powieścią swe serce przebite strzałą. Niejaki Mirosław z Henrykiem xięciem sandomirskim ścigającym Prusaków, razem się walecznie potykał, nie odstępując od jego boku. Xiążę poległ, a *przyjaciół* ciało jego chcąc odzyskać poszedł w bój najzaciętszy i zginął strzałą w serce przeszyty.

W *Radwanie* chorągiew kościelna przypomina dzielne znalezienie się protoplasty, który w czasie jakiegoś niespodzianego Rusi napadu, gdy się lud strwożył, do kościoła wpadł, chorągiew pochwycił i z nią na czele ludu stanawszy, który się na głos jego zgromadził, mężnie nieprzyjacielowi się oparł. Miało się to dziać za czasów Śmiałego.

Za Chrobrego w Rusi zasłużyli sobie *Strzemieńczykowie* godło swoje *Strzemie*. W śród boju jeden z nich padłszy z konia upłatał się w strzemie i byłby zginął, gdyby obaczywszy już nieprzyjaciela nad sobą i za strzemie pochwycawszy, nie ugodził nim w łeb napastnika. Tego ubiwszy i konia po nim dostawszy ze strzemieniem w rękę walczył dalej, udało mu się tym orężem nowym w twarz Hetmana ugodzić

i zabrać go w niewolę. — Rycerz zwał się *Lawsowa*.

Historja *Szaławitów* na Ruś nas przenosi, w czasy Włodzimierza W. gdyż rodzina to ruska. W tarczy ich jest zakreślone koło, a w pośrodku jego trzy krzyże, nad hełmem zaś ręka z mieczem. Włodzimierz W. gdy zamysłał rzucić bałwochwalstwo i posyłał ludzi swojego dworu dla zbadania, jakaby wiara najlepszą była, przodka domu tego, niejakiego *Strzyża*, do Carogrodu wyprawił. Pojechał *Strzyż*, przypatrzył się obrzędom chrześcijańskim, poznał świętość wiary Chrystusowej i gdy na dwór Włodzimierza W. powrócił, począł mu ją gorąco zachwalać. Ale nie w smak to było poganom, którzy xięcia ośmiaczali, poczęli go wysmiewać i nazywać *Szaławitą*, niby szaleńcem, mówiąc że w Carogrodzie oszalał. Zapalił się na tę obelgę *Strzyż* gniewem wielkim i nie wahając się walczyć za Chrystusa, zakreślił na placu koło, trzykroć je przeżegnał, a wyzwawszy na rękę tych co zeń szydzili, z pomocą Bożą wszystkich trzech obalił. Na pamiątkę tej jego gorliwości miał być nadany herb, a przezwisko zmieniło się w chlubny przydomek *Szaławitów*.

Herb *Trzaska* zowie się także *Lubię-wa* (*Lubięwas*) i pochodzić ma z czasów Chrobrego; są na nim

dwa odluczone miecze, świadczące, że rycerz i swój i poddany mu przez króla otłukł na karkach nieprzyjacielskich. — Po boju, król klepiąc po ramieniu *Trzaskę*, rzekł mu *Lubię was*, i to słowo bohatera na pamiątkę przy herbie Trzasków zostało. Cóż ho to za piękne słówko, jak malujące Chrobrego, jak krótkie, wymowne, ojcowskie, serdeczne!

Niezliczony szereg tych legend dałby się jeszcze zbierać, ale już mamy próbę, czem one są wszystkie... parę tylko i koniec. —

*Wieniawę* wysłużono na Morawach; było to w lesie na łowach, żubr wyszedł przeciw xiążęciu i stanął, przy nim był rycerz imieniem *Łastek*, mąż siły ogromnej, o jakiej dziś tylko z podania wiemy, rzucił się na dzikie zwierze i za rogi schwywszy, przytrzymał, drugą zaś ręką wić dębową skręciwszy, przez nozdrza ją rozjuszonemu przeciągnął bykowi. Tak obuzdanego dawszy komuś przytrzymać, gdy zwierz się silnie targał i tylko co nie wyrwał, *Łastek* jednym cięciem miecza głowę mu odrąbał. Jak ta żubrza głowa, tak w herbie *Zerwi kaptur*, trzy kozie łby świadczyć mają o odrąbanych jednym zamachem trzech jakichś zakapturzonych łbach nieprzyjaciół, może krzyżaków.

Tak powstały z czynów mężstwa za Kazimierza W. z Jadźwingami i Masławem wojującego, herb *Brodzie*, przez rycerza Brodę zdobyty, *Dąbrowa*, po którą Pobożanin aż do Jerozolimy z Gotfriedem de Bouillon wędrował; *Dołęga* za ustrzelenie wodza jakiegoś, Pobożaninowi także nadany, *Drogomir*, o trzech zbrojnych goleniach, *Gozdawa* za Władysława Hermana, *Jasieńczyk* za Kazimierza W. *Kierdeja* przy zdobyciu Belza, za Ludwika Węgierskiego, *Kopasina* za Śmiałego, *Pilawa* za Krzywoustego, *Terebesz* z głową ludzką na mieczu wetkniętą, i nie zliczone mnóstwo innych.

Jestli i tu poezja? spytacie. Jest, zaprawdę, odpowiem, dwoista poezja czynu i słowa; wiemy co cenila najwyżej szlachta z tego czem się szczyčila (szczyt (tarcza) zaszczyt — szczyścić się, malować na szczycie) — o to poświęcenie, ofiarę, mężstwo ślepe w dobrej sprawie i ten hart duszy rycerski, który sercu pod zbroją nie dawał bić za życiem, ale je zagrzewał do obowiązku, do sławy... do ofiary. Temi obrazy herbowemi tyle mówiacemi zagrzewali się synowie do czynów nowych, do nowych klejnotów. Nieraz o wieczornej porze, u domowego ogniska, patrząc na ciemne oblicza obrazów praocjów, sędziwy dziad karmił tą legendą stojącego

w pokorze u progu drzwi wnuka, nieraz je córce opowiadała matka; tak w każdym domu dwa duchy opiekuńcze, dwie legendy przeszłości, jak dwa gołębie latały nad kolebką dziecka, na skrzydłach swych podnosząc duszę jego w świat ideałów.



## VII.

W nie mniejszej ilości pięknych legend pozostały dowody, jaką cenę przywiązywano do samej siły pięści, a z drugiej strony do dowcipu, przebiegłości i żywości umysłu, co siłą kierując czynił ją zwyciężką. Przy sercu mężnem potrzeba było i głowy przemyślnej, i zręczności i rozumu. To też dowcip tak często wygrywał jak męztwo i siła. —

Tak naprzykład *Doliwy* za wojen z Jądzwingami dobił się przebiegłością *Porajczyk*. Miało to być w Mazowszu, u jakiegoś zamku obleżonego przez Jądzwingów; siłą go dostać nie mogąc, dzicz usiłowała zdradą. *Porajczyk* ów, czy zachwycony przez nich, czy wywabiony z zamku został i ujęty, a na pozór, oświadczył się im zaraz ochotnie że do zdobycia grodu pomoże. — Przekradłszy się z niemi do obozu swego, wskazał im miejsce, z którego na zamek wpaść mieli, sam zaś puszczony na wolność do swoich powrócił. Tu nie tracąc chwili, zebrał ludzi, po-



kierował wycieczką i wpadłszy na ową zasadzkę, która się niczego nie spodziewała, w pień ją wyciął i Jadźwingowie upokorzeni odeszli. Przemysłem także dosłużył się Janik *Janiny*, jedni mówią za Chrobrego, drudzy piszą za Łokietka. Mały to miał być wzrostem, ale z dobrą głową rycerz, typ właśnie tych, co ręką nie mogąc wojowali przebiegłością i radą; miał on wojsku, stojącemu pod gradem strzał, rychło bardzo porobić tarcze, lub jak chcą drudzy, krzaki w tarcze i hełmy poubierał, ażeby nieprzyjaciela większą liczbą wojska omamił. Fortel ten szczęśliwie użyty, przyczynił się do zwycięstwa.

I *Jastrzebiec* także powstał przemysłem rycerza, który w czasie napadu na Łysą górę, gdy ją poganie opanowali i z otaczających wojsk urągając się, bo ją śliska gółoledź okryła, wyzywali ich do walki, wymyślił podkuć konie na ostro, wdrapał się na górę, tam na rękę wyzwał samego wodza i trupem go położył. Na hełmie pozostał stary Jastrzębczyków ptak łowczy, z kapturkiem i dzwonkami u pęt, a w tarczę weszły krzyż i podkowa. Od tej to podkowy później poszły mnóstwo herbów, rozmaicie ułożonych, z tem znamieniem, gdy bracia dzieląc się po ojcu spuścizną, po jednej, po dwie, i po trzy ich brali,

a małżeństwa, pokuta, wypadki, dorzucały do nich lub odejmowały znamiona nowe.

Tak samo *Kisiele* nabyć mieli swojego namiota z krzyżem, a było to w czasie jakiegoś obleżenia Kijowa. Świetoldycz dowodził załogą przeciwko Pieczyngom, którzy opasawszy gród do koła, głodem go już brać chcieli, i ściśle strzegli. Dostawszy o tem wieści dowódzca, a chcąc przekonać Pieczyngów że się głodu nie lęka, dwa doły wykopać kazał, w jeden nanosić wody, w drugi maki nasypać, rozczynić chlebów nakisnąć (kisiel) napiec i rzucać je do obozu oblegających, na namioty Pieczyngów. Zdziwieni tem poganie, namyślili się, odstąpili, a Świetoldycz od kiszienia chleba Kisielem został przezwany, namiot wziawszy za godło.

Przodek herbu *Lis*, wsławił się także raczej przebiegłością niż meztwem, w czasie bitwy z Jadźwingami pod Sochaczewem. Wysłany on został aby zająć tył dziczy, wówczas gdy z czoła będą na nią nacierać główną siłą, i wymyślił gdy stanie w miejscu przeznaczonem dać znać o sobie strzałą ognistą. Jadźwingowie zostali na głowę porażeni, a *Lis* ma strzałę w herbie. —

Bajeczka o herbie *Łukocz*, trochę naciągniętą się być zdaje. Pod Gniwem w Prusiech, długo ob-

leganem, Łukocz ów protoplasta zawiązał stosunki z jakimś obleżonym, i jak to bywało w dawnych wojnach, gdzie w przestankach po boju bracili się z sobą nieprzyjaciele, ów gadając z nim dobadał się, że w Gniewie już nie wiele było żywności, a raczej ukazawszy obleżonemu i zgłodzonemu pól dzika z ryjem zapchanym kłosami pszenicy, wywołał z ust jego to nieuważne wyznanie. Od słowa do słowa, nie było się już co zapierać i wyszła bieda na wierzch. Łukocz przekonywał, że lepiej się poddać niżeli męczyć daremnie, i tak jakoś umiał to umówić, że mu ów głodny za ową głowę dzika, ukazał z kąd na zamek napaść miano. Za ten fortel herb Łukocz został nadany.

*Nowicki* miał być przyznany rycerzowi, a raczej żołnierzowi tego nazwiska, który, gdy wojsko uchodząc od przeważnego nieprzyjaciela zatopiło w rzece swe mienie, hakami je później dobyć poradził. Pełno jest tego rodzaju pomysłów wynagradzanych szlachectwem; *Półkoziec* miał być nabyty przy jakimś zamku *Ezech* (?) od pogan obleżonym, przez rycerza *Stawisza*, który się długo w nim bronił. W końcu zabrakło mu żywności, a nieprzyjaciel czekał tylko chwili poddania, bo już niedostatku się domyślał. *Stawisz* myśląc jakby go oszukać i dać wyobrażenie

o swoich zapasach, zabił, niemając już co, jakiegoś biednego osiołka i nieszczęśliwą kozę włóczącą się po murach; krwią ich stare skóry wołowe pomazał i powywieszał, niby je tak świeżo dla załogi pozarzynano, mięso zaś kawałami po murach poprzybił, niby je susząc... Widząc tę ucztę oblegający i sądząc z niej o wielkich zapasach, natychmiast odstąpili od twierdzy.

W inny sposób, zamku Przemęt, ściśnionego przez Czechów, obronił przodek domu *Przosnów*. Już się do szturm przysposabiali Czesi i podkopywali, gdy zważywszy grożące niebezpieczeństwo, dowódzca rozkazał nocą na drodze do wrót wiodacej podrzucić trupa w podróźnej odzieży, za nadrę mu włożywszy zmyślony list królewski, obiecujący silną odsiecz, nazajutrz przybyć mającą. Jak świt spostrzegli trupa żołdacy i odarli go, a znalazłszy przy nim pismo, do wodza je zanieśli; ten uwierzywszy w odsiecz, nie czekając jej, natychmiast odstąpił od Przemętu.

W innych dość mnogich legendach, sama tylko zrzeczność, siła dłoni, wprawa w rycerskie ćwiczenie nagrodę otrzymują.

Tak *Białynia* miała być nadana jakiemuś Jastrzębczykowi za Krzywoustego czy Łokietka, za trafne wypuszczenie strzały do obozu i namiotów nie-

przyjacielskich; tak *Bajbuza*, herb dziwaczny, wystawujący strzałę z obwiniętym wężem w około i trzy rosnące na ziemi grzyby, nadany był jakiemuś Murzie tatarskiemu za zręczny wystrzał do węża; tak *Działosza* na polowaniu znowu za Krzywoustego zasłużony został. Król na łowach miał przy sobie *Działoszę*, wypadł na nich jelen, którego ów za rogi pochwyciwszy, królowi przyprowadził. Ale nie koniec na tem. Na krzyk i hałas podniósł się sęp i zaszumiał nad ich głowami. Spojrzy *Działosza* na zrywającego się do lotu ptaka, i jak ciśnie buzdycanem, sępowi skrzydło odbił.

Za tegoż króla nad rzeczką *Hołobak* stało wojsko, oczekując harcu z nieprzyjacielem, w rzece wyrzucały się co chwila łososie; rycerz stojący tam z królem rzucił tak zręcznie toporkiem, że rybę w powietrzu na pół przeciął, a że to była dobra wróżba przed bitwą, w herbie ma pół łososia. Herb *Igłowski* ma być jednemu z Abdanków za trafny strzał do pierścienia nadany; herb *Niasobia* zdobyty był także zręcznością strzału, w czasie wyprawy Kazimierza przeciw Wratysławowi. Nad wojskiem unosił się orzeł czarny, krążąc długo i powolnie, a ludzie za różną to poczytując wróżbę przed bitwą, gwarzyli już niespokojnie. Byłoby może to złe wrażenie jakiego po-

płochu przyczyną, gdyby *Niesobia* postrzegłszy orła nie zawołał — Jeśli go trafię wygrana nasza! Jakoż strzelił i ogon mu obciął, konkludowano z ogona że Czesi uciekną, i tak się stało. Takich powiastek liczba jest znowu zbyt wielka, żebyśmy je wszystkie przywodzić mogli, dosyć i tych na próbę, przejdziemy do legend innego rodzaju.

---

## VIII.

W początkach swoich, później przerodzona i skarlała, instytucja szlachectwa, prawo, że tak rzekę, stanu rycerskiego, opierało się na zasadach najczystszej moralności; szeregi rycerstwa były ludem wybranym, były wzorową garścią przewodników, mających przykładem swoim wieść całą masę narodu do postępu, do ulepszenia, do wielkich cnót idealnych. Nagrodą ofiary, męztwa, wierności, siły, dowcipu, zręczności, było szlachectwo, był szczyt i godłem przypominającym *czyn*.

Nie był i nie mógł być czem innym na ówczas szlachcic, jeno bratem starszym, ani się uważał wyższym krwią i rodem od szeregów klasy, z której wyszedł zasługą, bo się sam dobijał tego co posiadał — jaśniał tylko tem co posiadał krwią i poświęceniem. W narodzie kmieć stał z nim może na równi, a szlachcic nie wynosił się nad niego, bo wiedział że jutro wieś-

niak lemiuszem mógł się dobić rycerstwa, mógł je pozyskać jednym czynem odwagi, prosty od pluga parobek. To też jak w herbach zachowywano pamiętki cnoty wszelkiej, tak na nich rysy niezgluzowanemi zapisywano plamy, wskazując i cel i szkopuł, tarcz nosić musiała na wieki skazę przez jednego z przodków zadaną. Było to logicznem rozwinięciem jednej myśli; kto się chwalił i świecił cnotą i zjednoczony był z ojcami zasługą, musiał też za ojców niecnoty dźwigać karę, jak nagrodę podzielał. Mmóstwo szlacheckich, może najdramatyczniejszych legend, opowiada różne zmiany zaszłe w herbach, które panujący lub same rodziny, po smutnym lub ciężkim wypadku, przerabiali dla wiekuistej jego pamięci. —

Legends te stanowią odrębny cyklus, najobfitszy w sceny piękne, w wielkie obok występów przykłady skruchy i żalu; a pod względem wdzięku poetycznego, z niczem się te powieści porównać nie dadzą, chyba z pierwotnemi, któreśmy położyli na czele. Niektóre też z nich dałyby się odnieść do najstarszej epoki.

Tak z herbu *Lubicz*, powstał zwany *Krzywdą*. Po śmierci ojca zostało dwóch braci, starszy opiekunem młodszego. Gdy ten dorósł i przyszło do



podziału ojcowizny, korzystając z nieświadomości i słabości brata, starszy na majątności go pokrzywdził. Ukrzywdzony młodszy później nie chcąc z bratem jednego używać herbu, krzyż zdjął z podkowy ojczystej i herb swój nazwał *Krzywdą* na wieki.

Tak *Łława* jest smutną pamiątką nieczujności rycerza, którego na straży w obozie postawiono. Miało to być za Leszka Białego — żołnierz długo się ze snem pasował, ale nareście w pośród nocnej ciszy, wśród szumiącego wichru, sam jeden, sparty na włóczni, zadrzemał. We śnie jednak żyła w nim myśl i obowiązek czuwania, spał czując że oka zmruczyć był nie powinien i marzył o nieprzyjacielu, o napadzie, o wojnie, nagle z tych marzeń przykrych obudził się z wrzaskiem instynktowym — Do broni! Wnet obóz cały się zrywa, kto żyw za oręż chwyta, rozruch w namiotach, przestrach i wołanie — do broni! Gdy stanęli wszyscy z orężem i zbroją, gdy się rozpatrzyli w koło, gdy ani nieprzyjaciela ani powodu do trwogi nie znaleziono, gniew wszystkich spadł na nieszczęśliwego Belinę. Leszek Biały był tak okrutnym lub jego rycerstwo tak nielitościwym, że zmusili Belinę do zdjęcia jednej podkowy z herbu za karę, i od *Łły*, *Łława* nowe godło przewzano. —

Cieęższa zaprawdę była kara od przewinienia, ale rycerz czuwać powinien.

Dwóch rodzonych braci *Nowinów*, nienawidzili się po bratersku. Nie ma jak miłość braoi, ale też nie ma jak braci nienawiść. Długiemu laty rosła, zwiększało ją sąsiedztwo, każdy dzień przydawał iskry do tego pożaru, aż nareszcie zbrodnią zawarł się ten dramat domowy. Jeden z braci znaleziony został zamordowanym na rozstajnych drogach. Kto był jego zabójcą, żadnego śladu; brata posądzać nawet nie było podobna i nie znajdował się podówczas w domu; tysiące dowodów świadczyły że ręka jego nie mogła w pierś braterską ugodzić. Szukano indziej winowajcy, i szukano go na próżno. Zieloną darnią porosła mogiła, kości już w niej tylko spoczywały i wszystek świat o zbrodni zapomniał, ale z nią chodził jak z kamieniem na duszy zabójca.

Długie upłynęły lata, czoła młode szron starości poprzysypywał, a śladu zbójcy, żadnego. Ale pozostały Nowina zmienił się bardzo; oczy mu wpadły, grzbiet się złamał, i jak obłąkany dźwigał ostatki nieznośnego żywota. Naraz wziął kosztur i w prost poszedł do sądu, gdzie się lud zgromadził dla wymiaru sprawiedliwości, wyciągnął rękę i sam rzekł niepowołany — Sądźcie i karzcie, jam zabójca brata!

Oslupieli wszyscy na to wyznanie dobrowolne tak straszliwej zbrodni, ale król ruszonemu zgryzotą karę darował i czas do pokuty zostawił; tylko mu z Nowiny, inne godło, krzyż na znak pokuty dodawszy uczyniono i herb ten dla mądrości z jaką się tak długo tać umiał z występkiem, nazwano *Mądrostki*. Mądra była namiętność, ale mądrzejsze sumienie, choć się nie rychło zbudziło.

Nie powiedzieliżbyście że to jedna z tych legend starych, które począwszy od Indij i Grecij tylekroć się powtarzają w historij człowieka i w podaniach ludów? Co za charakter potężny tego zabójcy, walczącego długie lata z gryzącym robakiem wspomnienia i sumienia, a nareście równie gwałtownie rzucającego się pod miecz katowski, jak do występku. Jak silne tu uczucie występku, sprawiedliwości i bojaźni Bożej, czysto-chrześcijańskie, jak mocna wiara w człowieka, który chce kary na świecie, aby od niej w przyszłym życiu był wolen. W ostatku przebaczenie króla, krzyż w herb wstawiony, są pełnem piękności zakończeniem tego dramatu.

Takich historij poważnionych braci jest maństwo w legendach herbownych, różnie opowiadanych; toż w *Krzywdzie*, *Mądrostkach* i *Niezgodzie*, która się miała urodzić ze sporu dwóch braci *Dołęgów*. W her-

bie *Orla* (orzeł bez głowy z gwiazdą) głowa ma być odjętą na pamiątkę zabójstwa brata; nazwisko herbu *Pokora*, samo opowiada o karze z której urosło. Legenda jednak nie wzmiankuje wyraźniej, za co przodek domu tego aż do Rzymu chodził z pokorą, i na pamiątkę pokuty, klucz do rodzimej przyłączył podkowy. Niżej wspomniemy kilka jeszcze powieści podobnych.

Krwawej kary zabytkiem ma być herb Werszowców Czeskich, którzy przeszli do Polski przenosząc z sobą *Okszę* swoją. Topor ów przeciął żywot jednego z Werszowców, któremu Mnat, książę Czeskie, rządu państwa całkowicie był powierzył. Nieograniczone mając w nim zaufanie, Mnat zdał nań wszystkie sprawy krajowe, sam się łowami zabawiając i o rządach myśleć nie chcąc. Werszowic z czasu korzystał i począł sobie jednać stronników, przygotowując już wiecę, na której Mnata jako niezdolnego usunąć, a jego na tron książęcy powołać miano. Rzeczy już były ułożone, czas spełnienia się zbliżał, gdy Mnatowi przyjaźni i wierni poszepnęli mu o zabiegach Werszowica. Wnet książę zwoławszy sąd gromadny i Werszowicowi kazawszy stanąć przed nim, zapytał groźno, czegoby był godzien sługa, któremu pan zaufał jak własnemu dziecięciu, a któryby go zdradził hamiebnie?

— Śmierci! zawołali zgodnie ci nawet co głową winnego, milczenie dla siebie zakupić chcieli. Mnat potwierdził ten wyrok, ale litując się dawnego ulubieńca, dał mu wolność nie tkniętemu ręką kątowską, samemu sobie śmierć zadać. Werszowie ciał się toporem, a rodzina jego później z krwawą Okszą wyniosła się do Polski, i z niej poszli wszyscy Okszyce i Mikołaj Rej poeta.

Herb *Pomian*, jak wiele innych wspomnianych, ma być pomieniony, to jest zmieniony potomkom Łastka Hebdy z Grabia, którego brat Jarand był dziekanem gnieźnieńskim. Bracia wcale do siebie nie byli podobni, pierwszy wiódł życie rozwiązłe i na wszelką wylane swawolę, drugi był świątobliwym i energicznym człowiekiem. Upominał więc ciągle brata o złe życie i strofował go surowo, strasząc karą Bożą i ludzką, jeśliby się nie poprawił; przyszło do tego że Łastek zatwardziały w swoim począł się dziekanowi odgrażać, gromić, a nareszcie buchnawszy gniewem ubił go własną ręką we wsi Lubani. Potomkom tego Łastka bratobójcy *Wieniawe* na *Pomian* zmienić miano z tego powodu.

Dramatyczniejsza jest jeszcze historia zmiany *Topora* Starżów, na herb *Starykoń*.

Trzech było niegdyś braci herbu Topor, Sędzi-

wój, Nawój i Żegota. Dwaj pierwsi zostali doma, orząc skibę ojcowską, trzeci poszedł se szczęścia i rozumu szukać za granicę u obcych. Długo tam jakoś na rycerskich zabawil sprawach, tak długo, że w końcu zapomniano już o nim, mając za umarłego. Gdy się już byli bezpiecznie bracia Sędziwój i Nawój ojcowizną podzielili, zjawia się dosyć chudo i ubogo nieznajomy, podstarzały mężczyzna, na starej szkapie hreczką okrytej, odarty, wynędzniały i puka do wrót zamku ojcowskiego, witając Toporczyków imieniem braci.

Wielkie było ich zdumienie... ale i w pamięci o nim już nic nie zachowali, a radzi nie będąc mu dla majątności, którą podzielić by się przyszło, poznać nawet, czy niechcieli, czy nie mogli.

— Nie mamy brata, brat nasz gdzieś zginął na wojnie... odpowiedzieli... tyś samozwaniec i przybłąda... uchodź dopókiś cały. Na próżno Żegota przywodził im wspomnienia dzieciństwa, opisywał swój wyjazd z ojcowskiego domu, sługi stare po imieniu wołał, do serc ich starał się przemówić. — Bracia trwając w swoim, zaparli się go z oburzeniem. Ze łzami w oczach, klątwę rzucając na swoją rodzinę, Żegota poszedł od wrót ojcowskiego zamku odepchnięty, ze skargą do króla samego. Tu się

szczeńciem znaleźli co go znali w pielgrzymkach rycerskich za granicą, poświadczyli jako był istotnie Toporeczykiem, a gdy się dowodnie wywiódł Żegota, zawstydzeni bracia musieli mu dział ojczysty zwrócić i niechętnie wyciągnąć dłonie. Nie przyjął już stary braterskiej przyjaźni, co więcej nawet zrzekł się herbu i towarzysza wiernego swej doli, konia, co go na grzbiecie w dalekie nosił kraje, w tarczę herbowną włożył, a topor na hełm wyrzucił. — Lud go nazwał *Zaprzającym*, czy że on braci, czy że oni go się zaparli. (Szafraniec z pieskowej skały.)

Pięknej tej historyjki o braciach jak widzimy mnóstwo jest odmian różnych, znać nienawiść w rodzinach, jak dziś, nie była rzadkością. Tak samo herb *Zagłoba* (za głowa), powstał za Kazimierza I. w skutek zabójstwa brata, i za głowę, podkowę herbowną mężobójcy przeszyto mieczem. Z *Jastrzębca* także (ludzie to bywali popędliwi i są niemi do dziś dnia) — ciężkiej winy pamiątką jest przerobiony herb, zwany *Tępa podkowa*, obcięty, poniżony, Boleszyczcom, którzy ze Śmiałym do zabójstwa ś. Stanisława należeli. Tak piszą heraldycy; podania jednak rodzinne świadczą o tem, że wielu Jastrzębczykom za zbrodnią tę i herb i szlachectwo odjęto, ale je później zwrócono potomkom, i o zmianach nie wspominają.

Jest jeszcze inne podanie, że w rodzinach, które do tego zabójstwa należały, jeden być zawsze musi szalony.

Wszystkie te legendy, nie licząc już wielu innych które z umysłu omijamy, są gotowemi poematami, skarbem dla poetów; a dotąd z nich albo się czerpać nieośmielono lub użytkowano najniezręczniej. Rychlej kto sklecił bajkę nową niż starej użyć potrafił. Co za przedmiot w tym Toporczyków sporze! jaki dramat! jaki dramat! ile w nim akcji, ile uczucia, jakie charaktery w tych braciach, co się rodzono swego milczeniem zaparli, co wmawiają sobie niepoznanie, zapierają się wręcz z chciwości... A tenże trzeci sierota, sterany wygnaniem, zmieniony pobytem u obcych, którego serce bije na widok zamku, w którym się urodził, któremu łzy wynoszą z serca zastygłe wspomnienia. Nareszcie uznany, odrzekający się z kolei swej braci i wierną szkapę swą starą kładący w miejsce spadkowego topora — co to za obrazy prześliczne! Ale któż ich dotknąć potrafi i nie popsuć... na historją *Starżców* potrzeba by tego geniusza, co z podobnej powieści stworzył *Romeà* i *Julją*, i króla *Leara*!



## IX.

Na ostatku mieścim podania o herbach, którym los szczęśliwy, traf szczególny dał początek, w których poszanowano niejako wolę Bożą, dzielając dobra ziemskie wedle niepojętego dla nas prawa. I tu obfite żniwo powieści. Po zasługach, po niecnocie — los, zagadkowe szczęście, którego nie wiziemy przyczyny, a przeczuwamy sprawiedliwość.

Do tych szczęśliwych bohaterów przypadku liczymy rycerza protoplastę herbu *Dębno*. — Legenda ta dwojako jest opowiadana, ale wybierzemy tu starszą wersję, jako starszą, choć może mniej prawdopodobną. — Tatarzy, dzicz owa co się tak często w serce krajów słowiańskich wpędzała dla grabieży, a których przeznaczeniem było może niepokojem boju zrobić z nas naród rycerski, dopadli raz, mówi podanie, do klasztoru i kościoła ś. Krzyża na Łysej górze.

Bezbronny dom Boży padł ofiarą; zabrano skarby niezmierne, łupy wielkie, a z niemi najdroższą

relikwię, drzewo żywota najdroższą krwią Chrystusa oblane, ów talizman, który z wierzchołka Łysej góry stał jak palladium nad krajem. Tatarzy nawiązawszy jeńców, między którymi nie mało było szlachty i jedno dziewczę pobożne z rodu Abdanków, pociągnęli w stepy swoje nie czekając pogoni... Za koniem Tatarza szła spętana niewolnica i rycerz jeniec, oboje modląc się do świętych relikwii sponiewieranych, rzuconych na wóz ręką poganina, jak okrucieństwo niepotrzebny.

Już się Tatarzyn nie oglądał za odsieczą i pewien był bezkarności, bo wypłynął na dzikie stepy swoje, gdy nim jeszcze do podziału łupów przyszło, straszny mór na ludzi, na konie i bydło, całe obozowiska i osady ich niszczyć zaczął. Dzicz przeleżała nie wiedziała gdzie nań szukać ratunku; nie pomagały czary, zaklęcia, ni leki, ni miejsc odmiana, aż dziewczę natchnione przez usta owego jeńca wyłożyło im, widzenie senne, że dopóki świętości owe do Polski odesłane nie zostaną, kara Boża nie ustąpi i ścigać ich będzie. Przerażony Chan, oddał zaraz świętości dziewicy i wybrał owego jeńca tłumacza, ażeby ją do kraju z niemi przeprowadził, a za ledwie wóz obrócił się ku zachodowi, mór ustał zaraz cudownie. Śpiewając pieśni pobożne, szli za skar-

bem swym przez puste ziemie, przez ziemie ludne, wciąż ku Łysej górze, aż relikwje na dawnym złożyli miejscu. Rycerz ów co dziewcze odprowadzał, ożenił się potem z nią i Abdank na znak tego związku w Dębno, dodaniem krzyża, zmieniony został dla ich potomków.

Taż historia opowiada się o Litwinie i Polskiej brance, użył jej pięknie Bernatowicz w Pojacie.

Jeszcze mniej na pozór było zasłużonem nadanie herbu *Drzewica*, bo Prokop z Drzewicy winien je tylko szybkości nóg konia swego. Dowiedziawszy się o wyborze Leszka Czarnego, po nocy pędził, by mu o tem oznajmić, i pierwszy tę dobrą zwiastował nowinę, za co i xiężyc i gwiazdy przyświecające mu w drodze do herbu dodano w nagrodę.

Niejaki *Pierzchała* znowu, za to, że grając w szachy z xięciem Mazowieckim, *Rochem* go zamatawał, w herbie dostał Rocha. Szczęśliwemu trafowi winien *Dęboróg* uszlachcenie swoje, o którym wyżej wspomnieliśmy.

*Sreniawici* mają piękną legendę o jednym ze swoich przodków Przybysławie, którą, jak wiemy, Suchodolski miał w jednym obrazie przedstawić. Ten Przybysław Sreniawita, rycerz zubożały i podupadły, miał dworzec na górze pod Proszowicami, a był

wielkim miłośnikiem koni; cóż, gdy w końcu i stada się trzeba było wyrzec, nie mogąc go utrzymać. Z ostatnim wreszcie, najulubieńszym, najpiękniejszym koniem musiał się rozdzielić, choć to był faworyt, choć towarzysz broni! — Kupił go jakiś możny pan do Węgier. Co tam leż spadło na grzywę białonózki, który z głową zwieszoną na Węgry powędrował!.. Osmutniał dwór Przybysława i cisza w nim trwała lat kilka, żałobna cisza ubóstwa, niedostatku, który niema przyjaciół, od którego ucieka rodzina. Aż jednej nocy budzi Sreniawitę rzenie koni, kopyt bicie, brama stęka od nacisku; czy napad zbójców po nocy, czy najazd nieprzyjaciela? Przed dziedzińcem koni stado, na przedzie rzy białonogi, do bramy się dobija, a gdy ją otworzono, pędzi wprost do starego pana pod ganek znajomy, gdzie chleb jadał z jego ręki. —

Miejsce gdzie się to stało, nazwano *Koniusza*, a na pamiątkę dnia ś. Piotra, w którym białonogi powrócił, założył Sreniawita kościół śś. Piotra i Pawła, na którego szczycie jest wizerunek konia.

Ze strony konia, przesłicznie, ani słowa! ale Sreniawita? Nie rozumiem jak się z tem mieniem tak nabytem pogodził, prawa nie czując do niego? Domysłajmy się, choć heraldyce milczą, że końca

tej historij brakować musi. — Ów pan węgierski w ślad przybył za stadem swoim, rozczulił się, upił ze Sreniawitą (teraźniejsi romansopisarze historyczni nie pozwalają pominąć tego szczegółu) — i stado darował.

Otóż stanęliśmy u kresu dosyć już długiej wędrówki, a tyle jeszcze umyślnie pozostawiliśmy za sobą! Nie wymieniając innych, historia Piotra Dunina i jego dwu herbów, nie jestli najcudniejszą z legend, perłą najświeższą w tej szlacheckiej koronie podań? Ale któż jej nie zna? Krytyka może sobie i w niej i w tych wszystkich, któreśmy cytowali upatrzyć mnóstwo omyłek, niezgodności, ana — i para — chroizmów i najoczewistszych baśni — ale odesłemy ją do jej dat, do jej poważnych zatrudnień, a od legend — wara! Poezja nie ulega historycznej krytyce — wszystko w niej prawdziwe co istotnie piękne.

Święta to i nietykalna po pradziadach puścizna, i jeśli nie jest ich czynem, to jest ich czynu pojęciem; jeśli nie tak było w istocie, pragnęli przynajmniej by tak było, czuli, że takby być powinno. Zawsze to o nich mówi, zawsze to ich maluje, poezją tą pokłonili się ideałom swoim.

W niektórych legendach znajdujemy dosyć uderzające do zachodnich podobieństwo, ale to bynaj-

mniej ich obcego pochodzenia nie dowodzi; — ludzie są jedni wszędzie, a wypadki i pojęcia powtarzać się muszą. Z tem wszystkiem, podania te nasze, wzięte w ogólności, niezmiernie się różnią od zachodnich, germańskich, francuzkich i innych. Jest w nich duch słowiański, jest tego plemienia łagodność, wstydlivość, szlachetność, wstręt od krwi i występku. Ilekroć trafia się zbrodnia, jest przypadkową, nierozmyślną, gwałtowną, a po niej skrucha gorąca, serdeczny żal i pokuta, następują prawie zawsze.

Jedyny może przykład uczucia zemsty niepomowanego, zradliwego, znamy u nas w podejrzanej legendzie o Walgierzu, w innych go całkiem niema. Na zachodzie częściej daleko, legenda uświęca niejako przebiegłość, chytryść, zdradę, krwawą zasadzkę, czyn jakiś pogański, u nas niema prawie przykładu, a odwrócenie nieprzyjaciela fortem od zagrożonej twierdzy, jest już najpodstępniejszym czynem tego rodzaju. Zebrane razem, zdaje mi się, że te podania wskazują dobrze ducha, co stare rycerstwo ożywiało, poezij co je karmiła, ideału, ku któremu się wspinało.

Mniej li tu fantazij i polotu niżeli w poezij ludowej? Nie sędzę. Natura legend też sama, niekiedy

nawet głos ich braterskie ma podobieństwo. Jedno uczucie miłości prawie zupełnie zostało zabyte, o-puszczone, nie żebyśmy my z niego ogołoceni byli, ale inne jego pojęcie, na widownię wyprowadzać nie dozwalało. Miłość była świętą aureolą tych głów, które biała zasłona wstydu przykrywała do siwizny, skar-bem, którego oku obcych otwierać się nie godziło, i w tem jego pojęciu widzimy wstydlivość wrodzoną, jaką się odznaczali słowianie od najdawniejszych cza-sów. Mało też niewiast występują w legendach, bo pojmovano niewiastę (nie wiedzącą złego) po rzym-sku, z kądzielą w kolebki dziecka, przy domowem ognisku raczej, niżeli w boju i radzie. Mamy legen-dę o Małgorzacie z Zębocina, ale obok można po-stawić drugą o Rusinowskiej zbójczyni, o której wspo-mniał Bielski, jak by umyślnie dowodzącą, do czego niewiastę doprowadzić może swawolne rzucenie się za poświęcony próg domowy. Cicho też tu o niewie-ście, nie ma jej czynów, nie ma jej chwały, ona oddzielnej nie potrzebowała — jej chwałą była rodzi-na, byli synowie, spartańską wykarmieni piersią, był mąż a pan, był dom, gniazdo, które białemi słała rękoma i białem uświęcała sercem. —

Taki jest ogólny tych legend charakter — o-gólny, bo zaledwie rzuciliśmy okiem na nie, ledwie-

śmy ich pobieżnie dotknęli, wcale nie wyczerpując  
 bogatego przedmiotu; chcieliśmy tylko wskazać jesz-  
 cze jedno źródółko, z którego sączy się woda czy-  
 sta... dla ust spragnionych poezij. — A jeśliśmy  
 was znużyli — przebaczcie. —

Dnia 17 — 20. Października 1854 r.

Kisiele.

KONIEC.

*Wiceoj nie wysłała  
 M. Wilder Książki nr. 12  
 str. 15.*







Nakładem tejże księgarni wyszły także:

Kraszewski, J. I. Tomko Prawdzic. Wierutna bajka. 1850. 40 kr.

Skorowidz wszystkich miejscowości położonych w Galicyi i Lodomeryi jako też w Wielkiem księstwie Krakowskiem, i księstwie Bukowińskiem, pod względem politycznej i sądowej organizacyi kraju, wraz z dokładnem oznaczeniem parafii, poczt i właścicieli tabularnych, ułożony porządkiem abecadłowym. Z mapą według nowego podziału.

Wydanie na papierze klejonym 3 zlr.

„ „ „ drukowym 2 zlr. 40 kr.

W półskórkę oprawne 36 kr. więcej.

Szajnocha, K. Jadwiga i Jagiełło opowiadanie historyczne. 1856. 3 tomy. 15 zlr.

Tegoż. Jerzy Lubomirski. Dramat historyczny. 1850. 1 zlr. 15.

Tegoż. Szkice historyczne tomu I. wydanie 2. pod prasą.

Tegoż. Szkice historyczne tom II. pod prasą.

Ujejski, Kornel. Melodye biblijne. 4 zlr. 50 kr.

Tegoż. Zwiedle liście. 1 zlr.









This book should be returned to the Library on or before the last date stamped below.

A fine is incurred by retaining it beyond the specified time.

Please return promptly.

**STALL-STUDY  
CHARGE**

4142 59

JAN 29 1959



Slav 7115.6.32

Gawedy o literaturze i sztuce.

Widener Library

003406036



3 2044 085 693 059